

Janusz Rolicki: Wrzesień '39
– jak wpadliśmy w pułapkę

Afganistan
I po co to wszystko było?

Nauczyciele
jak chłopcy do bicia

Dzieciobójca
Gehenna Kasi i Adasia

KRÓTKA PAMIĘĆ POLSKIEJ EMIGRACJI



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102

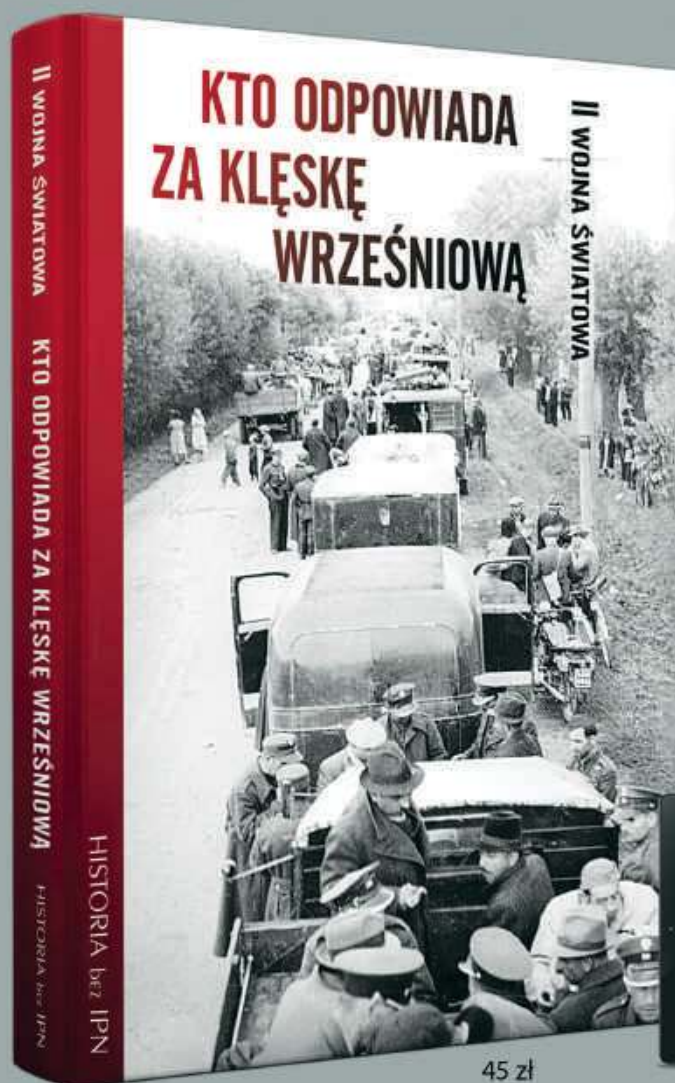
Polscy uchodźcy w obozie w Traiskirchen koło Wiednia, 15 grudnia 1981 r.

W latach 80. wyjechało ponad milion Polaków

Pamiętamy o 1 września 1939 roku

Pamiętamy o 6 milionach ofiar agresji Niemiec hitlerowskich na Polskę

Kup książkę PRZEGLĄDU



45 zł



E-BOOK
19,90 zł

Uciekli za granicę, a mieli „nie oddać ani guzika”

Wywieźli pieniądze Skarbu Państwa

Raporty i wspomnienia świadków

Zbiór dokumentów komisji gen. Sikorskiego w sprawie klęski wrześniowej

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Fucha, a nie służba

Kryzys humanitarny rozgrywający się w Usnarzu Górnym na granicy polsko-białoruskiej jest przede wszystkim dramatem koczujących tam uchodźców i uchodźczyń z Afganistanu. To oni od prawie trzech tygodni, dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie, sekunda po sekundzie marzną, głodują, są spragnieni, chorują, nie mogą swobodnie, bez wstydu zaspokoić potrzeb fizjologicznych, są obserwowani bez ustanku, zagłuszani przez samochody wojskowe czy Straży Granicznej. Są świadomi, że to europejskie państwo, na granicę którego dotarli, łamie prawo – konkretnie zapisy konwencji genewskiej – są świadomi własnej bezradności, są słabi, upokorzeni, chorzy, głodni i spragnieni. Kolejna chwila spędzona w takich warunkach może bezpośrednio przyczynić się do śmierci którejś z osób. Polska jest za tę sytuację wprost odpowiedzialna, jest sprawcą.

Kryzys na granicy – w jakiejś mierze, rzecz jasna, sprokrowany przez Białoruś – nie pokazuje nam zjawisk nowych. Zarówno jeśli chodzi o polskie, jak i o inne europejskie granice. Żyjemy w „twierdzy Europa”. Obstrukcja, agresja, łamanie i nieprzestrzeganie praw uchodźców przez Straż Graniczną nie zaczęły się w Polsce dwa tygodnie temu.

Oglądamy tam sceny jak z niemego filmu. Uzbrojeni w długą broń strażnicy graniczni tworzą wraz policją

i niezidentyfikowanymi żołnierzami fizyczny mur, izolujący uchodźców od wszystkich, którzy próbują im pomóc: lokalnych mieszkańców, aktywistów, parlamentarzystów, dziennikarzy. Nie mają naszywek z nazwiskami, mają zasłonięte szczelnie twarze, na pytania reagują metodycznym milczeniem. Nie wiadomo, kto dowodzi. Co jakiś czas pada zakłęcie o „wykonywaniu rozkazów”, niestety, nie można się dowiedzieć czyich, choć po aktywności takich urzędników rządowych jak wiceminister Wąsik czy minister Błaszczak – widać.

Kiedy patrzę na tych funkcjonariuszy, zadaję sobie pytanie: komu służą? Polsce, państwu polskiemu, polskiej konstytucji, prawu? Czy chwilowym szefem resortu, którzy dla politycznego interesu własnej formacji będą grać kartą antychodźczą? A da się nią grać? Polacy w większości podzielają tę niechęć. Obserwujemy bez pośredników zachowania zbadane i opisane przez Zimbarda i Milgrama – ślepe posłuszeństwo władzy. Bo bronią ojczyzny, bo ta ziemia jest święta, a oni są jej rycerskimi obrońcami. Wierzą w to, bo to fajna robota jest. Nawet nie zmokną za bardzo, bo mają supermundury. A rozkaz to rozkaz. Ta fucha musi się skończyć. A służby trzeba będzie się nauczyć. Od nowa. I bez takich dowódców.

BAKOWSKI



Znajdź PRZEGLĄD w sieci

**REFLEKTOREM
W LEWO** YouTube

**NASTĘPNY PODCAST
PO LEWEJ** Spotify

Bądźmy w stałym kontakcie!



CYTATY

DANIEL PASSENT, komentator

W Polsce niczego nie robi się na sto procent, to i dyktaturę mamy kulawą. Naszą polską dyktaturkę.
„Polityka”

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog UW
Kapitalizm zbliża się do ekologicznych i społecznych granic swojej reprodukcji.
„Trybuna”

W NUMERZE

HISTORIA

- 8** Amnezja narodu emigrantów
Gdy byliśmy uchodźcami
- 27** Czy wrzesień mógł być lepszy?
Rocznica największej klęski

KRAJ

- 13** I po co to wszystko było?
Żołnierze rozgoryczeni po Afganistanie
- 16** Sprawiedliwość umiera
za zamkniętymi drzwiami
Ograniczona jawność rozpraw
- 19** Syndrom sztokholmski – odmiana edu
Gdy zabraknie nauczycieli
- 22** Piętno dzieciobójcy cz. I
Gehenna Kasi i Adasia
- 24** Odchodzą
Większa śmiertelność chorych na raka

OPINIE

- 30** Roman Kurkiewicz
Solidarność, moja miłość

ZAGRANICA

- 34** Lustro amerykańskiej demokracji
Korespondencja z USA
- 38** Kościół się doigrał
– rozmowa z Ailbhe Smyth
- 42** Hiszpania walczy z wyludnieniem wsi
Prowincja na sprzedaż
- 44** Raj zupełnie utracony
Haiti – tykająca bomba

KULTURA

- 46** Rok Różewicza: Kartoteka prawników
Interpretacje młodych pokoleń
- 50** Szarość, czyli mieszanina
najdalszych kolorów
– rozmowa z Krzysztofem Storem
- 53** Culturalia
- 66** Luksferyzm art

SPORT

- 54** Kapela PZPN w rytmie disco
Cezary Kulesza nowym prezesem

ZDROWIE

- 56** Każdy ruch niesie zdrowie
– rozmowa
z dr. n. med. Tadeuszem Mazurem

OBSERWACJE

- 58** Nie jedz tego!
Weterynarz kontra łakome czworonogi

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Roman Kurkiewicz
Fucha, a nie służba
- 33** Andrzej Romanowski
Tryptyk o sensie II. Kościół
- 41** Tomasz Jastrun
Resztki z wakacji
- 49** Wojciech Kuczek
Obrona narodowa



RAJ ZUPEŁNIE UTRACONY

Haiti – tykająca bomba



46 KULTURA

ROK RÓŻEWICZA: KARTOTEKA PRAWNIKÓW

Interpretacje młodych pokoleń



NIE JEDZ TEGO!

Weterynarz kontra łakome czworonogi

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AP/EAST NEWS





f Miska ryżu dla budżetówki

Umowa jest taka: PiS zapewnia państwo dobrobytu, a my, czyli lud, pozwalamy PiS rządzić. Ale to lud rządzi, PiS wykonuje wolę ludu. I ma bronić jego interesów. Nie ma mowy o likwidacji 500+ czy jakichś cięciach wydatków. Ludzie pracy nie mogą być traktowani w ten sposób, że się obniża wy-nagrodzenia. Place, emerytury, renty muszą rosnąć. Lekarz ma przyjmować pacjenta z uśmiechem, a nie zamykać przychodnię i kazać się leczyć przez telefon. Autobusy i pociągi muszą jeździć jak trzeba. Szkoły uczyć jak trzeba, a zegarki wskazywać czas jak trzeba. I to jest państwo jak trzeba.

Paweł Stawicki



f Kretynizm parlamentarny

Lewicy w Polsce nigdy nie było łatwo. Zastanawiam się nieraz, czy aby na pewno zasługujemy na lewicę, skoro część społeczeństwa nie szanuje jej dziedzictwa, boi się nawet samego słowa. Posądza ją o najgorsze zło tego świata. A część społeczeństwa boi się przyznać do swojej lewicowości, bo wie, że nie spotka się z uznaniem. Niektórzy ludzie, owszem, są lewicowi. Nie twierdzą, że nie. Ale ja sam nie miałem szczęścia ich spotkać. Czasem wątpię w istnienie lewicy w naszym kraju. Takiej czystki już dawno nie widziałem. Może w Stanach Zjednoczonych?

Jarosław Kutyla

Dopóki istnieje kapitalizm, lewica nigdy nie przestanie istnieć w takiej czy innej formie. Pytanie, jaka lewica jest potrzebna klasie pracującej. A odpowiedź oczywiście taka, że bardziej niż mniej lewicowa. Problem w tym, że lewica to nie tylko reprezentacja klasy pracującej, ale też jej samoorganizacja, a z tym jest gorzej.

Łukasz Wiewiór

✉ Wstyd, że Polska słabo sobie radzi handlem ludźmi

Jestem informatykiem, ponad sześć lat pracowałem w firmie europejskiej w Brukseli, a w styczniu wróciłem do rodzinnego Wrocławia. Wcześniej kilka lat pracowałem w samorządzie i mam jeszcze kontakt z ludźmi z MSWiA. Uczestniczyłem w projekcie przebudowy obejmującego całą Unię Europejską elektronicznego systemu identyfikacji osób ubiegających się o azyl Eurodac i ludzie z Komisji Europejskiej opowiadali mi o handlu ludźmi. To, co mówi prof. Zbigniew Lasocik (PRZEGLĄD nr 34), jest bardzo trafne, ale i bolesne. Dodatkowo problemem jest totalna dezintegracja urzędów, jakiej dokonało PiS. Miejscem zsyłek dla „złych” urzędników są teraz... komórki integracji europejskiej! Znam kilka takich przykładów! Jeśli dodamy, że w administracji publicznej wrze po informacjach o nagrodach, jakie „swoim” dał minister Dworczyk, to daleko nie zajdziemy.

Miroslaw



ZDJĘCIE TYGODNIA



Ruszyła budowa płotu oddzielającego Polskę od Białorusi. Pomiędzy metalowymi słupkami wojskowi rozpinają drut ostry polskiej produkcji o wdzięcznej nazwie „Falanga”.



PYTANIE TYGODNIA | Z czym młodym Polakom kojarzy się dziś Solidarność?

MARIANNA NOJSZEWSKA,
studentka psychologii

Młodym lewakom Solidarność kojarzy się z rozczarowaniem. Mówi się, że z solidarnością łączy ją tylko nazwa, że źle się zestarzała, że to tylko partyjna przybudówka. Miała ogromny potencjał jako duży oddolny ruch społeczny z lewicowymi postulatami, ale dziś kojarzy się z karierowiczami, neoliberalami i zacofanymi światopoglądowo katolikami. W Solidarności, a przynajmniej w jej centrali, widzimy – o ironio – porażkę w walce o prawa pracownicze, hipokryzję, brak szacunku wobec osób nieheteronormatywnych. W 1981 r. Solidarność określiła się jako ruch moralnego odrodzenia narodu, dla nas jest obecnie zupełnym przeciwieństwem tego hasła. Jej świetność jest legendą, którą wciąż często się opowiada. Jednocześnie zdają sobie sprawę, że młodsza część lewicy to nie wszyscy młodzi Polacy. Zauważyłam, że niestety wiele młodych osób nie wie o Solidarności praktycznie nic poza pojedynczymi informacjami z lekcji historii na temat porozumień sierpniowych czy wyborów czerwcowych.

GABRIELA FISZER,
studentka studiów polsko-niemieckich i zdrowia publicznego

Moje skojarzenia są raczej pozytywne. Raczej, ponieważ z racji swojego PESEL-u, rozpoczynającego się od 00, nie mogę znać tych przełomowych wydarzeń z autopsji. Pierwszym, co przychodzi mi na myśl, jeśli chodzi o największy polski związek zawodowy, są zasłyszane od starszych pokoleń hasła, jak to rozpoczynające się od słów: „Gdyby nie Ursus, gdyby nie Radom...”. Drugim jest instytucja Poczty Polskiej i jubileuszowe znaczki z Lechem Wałęsą.

są. Ale nie tylko to. Solidarność jest mi poniekąd znana z kultury. Dzieła wielkich polskich reżyserów, takie jak „Człowiek z żelaza”, „Człowiek z marmuru” czy ironiczna „Ucieczka z kina Wolność” to chyba nic innego jak kwintesencja tamtej czasoprzestrzeni. Innymi doskonale znanymi mi tekstami kultury są liczne protest songi. Jestem zdania, że sztuka mówiąca o Solidarności nie tylko przedstawiała bunt i strajki, wolność jako najwyższą wartość czy mechanizmy władzy, ale przede wszystkim uczyła postaw obywatelskich, a to niewątpliwie jest aktualne.

WOJCIECH KURIATA,
nauczyciel historii i WOS

Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to Lech Wałęsa, obalenie komunizmu czy Okrągły Stół, jednak niemal od razu pojawiają się niuanse i dalsze skojarzenia. Solidarność to nie tylko Wałęsa, ale również Anna Walentynowicz i wiele innych osób. Obalenie ustroju nastąpiło znacznie później, a „socjalizm z ludzką twarzą” wylaniający się z 21 postulatów niechybnie przyprawiłby wielu „tropicieli lewactwa” o atak apopleksji. Z biegiem czasu Solidarność zmieniała się, według niektórych w to, z czym sama walczyła, a jej obecna odsona jest dość odległa od pierwotnych założeń. Choć przyćmiła inne organizacje opozycyjne, nie można jej odmówić tego, że stała się symbolem i fenomenem, który rozlał się po bloku wschodnim i przyczynił do obalenia komunizmu. Moim zdaniem Solidarność jest świetnym przykładem tego, co mogą osiągnąć oddolne ruchy zwykłych ludzi, a jednocześnie ostrzeżeniem przed tym, co może z nich wyrosnąć.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

AMNEZJA narodu emigrantów

Polacy nie uważają, że są komuś coś winni

Te obrazy wyparliśmy ze zbiorowej pamięci. My, naród emigrantów.

A pamiętać powinniśmy choćby lata 80. W tym czasie z kraju wyjechało na stałe ponad milion Polaków. W różny sposób. Przez Austrię, co było najprostsze, bo nie trzeba było mieć wizy. Albo jadąc do Włoch – też nie było to trudne, tam z kolei organizowanych było wiele wycieczek. Wiadomo, papież, Watykan... Był też kierunek południowy, wakacyjny – Grecja. No i niemiecki – ale do Niemiec potrzebne było, poza Berlinem Zachodnim, zaproszenie. A jeśli chciało się zostać – papiery dokumentujące niemieckie pochodzenie.

W latach 80. wyjechało na stałe ponad milion Polaków. To nie byli uciekinierzy polityczni, tylko emigranci ekonomiczni.

Taki był wtedy czas. Europa, i ta zachodnia, i ta południowa, doświadczyła Polski i Polaków. Małymi fiatami, polonezami zajeżdżali w każdy zakątek. Handlować, pracować, prosić o azyl.

Traiskirchen

Największa grupa azylantów przeszła przez obóz w Traiskirchen w Austrii. 30 km od Wiednia, usytuowany w starych koszarach szkoły kadetów cka armii. Przyjeżdżali tam albo małymi fiatami, albo ekspresem „Chopin”. I czekali na rozmowę, stamtąd kwalifikowani byli na emigrację do USA, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, RPA. Szacuje się, że przez Traiskirchen przeszło prawie pół miliona Polaków.

Jak pamiętają Austrię? W sieci nie brakuje wspomnień z tamtych czasów, oto kilka relacji, jak sami o sobie mówią, traiskirchenowców, zamieszczonych kilka lat temu na portalu Polonika:

Gen: Austria siedzi w nas głęboko, niezależnie od tego, czy mamy dobre, czy złe wspomnienia. To był czas Wielkiego Exodusu ze świata, w którym żyliśmy, to było przekroczenie Żelaznej Kurtyny i zderzenie się z innym światem. Do dziś w oczach stoi mi obraz pierwszej nocy w Traiskirchen, olbrzymia sala wielkości boiska do koszykówki,

a na niej stłoczonych kilkuset ludzi i piętrowe żelazne prycze, płacz małych dzieci, pijackie rozróby, kłótnie i wszędzie ta niepewność – co dalej?

Misio: Po dwóch dniach jazdy fiatem 126p stanęliśmy przed obozem. Z samego obozu pamiętam głównie surrealistyczną kwarantannę na

trzecim piętrze. Zatłoczone pokoje i łóżka na korytarzu, ubikacje, do których można było wchodzić tylko na szczudłach, ekscesy pijanych Rumunów i Albańczyków, łącznie z przechodzeniem z piętra na piętro po zewnętrznej ścianie budynku, tłum ludzi czekających na ewakuację do pensjonatów o magicznie brzmiących nazwach. Przez rok czekaliśmy na wyjazd za ocean. Galeria postaci, z jaką w czasie tego roku się zetknęliśmy, była imponująca: facet, który postanowił założyć Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie, kupić krążownik, popłynąć na Bałtyk i odbić Gdańsk. Dwóch troglodytów w poczekalni przed tzw. *interview*, udzielających sobie pouczeń na temat zeznań. Gdy jeden w końcu został wezwany, drugi wykrzykiwał za nim

Największa grupa azylantów przeszła przez obóz w Traiskirchen w Austrii. 30 km od Wiednia.

ostatnie wskazówki: „Pamiętaj, powiedz, że gliniarze wpier... ci pałami”. Panienska pracująca gdzieś w obozie, która chciała koniecznie nam pomóc i kupić naszego fiata 126p za sto szylingów, twierdząc, że już jutro policja nam go zarekwiruje i jeszcze wymierzy karę. Facet, który z dumą opowiadał, jak świadczył usługi Polakom przyjeżdżającym pociągami na Dworzec Główny w Wiedniu.

Dowodził ich samochodem do obozu za stawkę dwa-trzy razy większą niż taksówka. Dobry samarytanin. Podziwiałem wyrozumiałość Austriaków, którzy bardzo liberalnie podchodzili do beznadziejnych ekscesów niektórych azylantów. Temu krajowi należy się duże podziękowanie.

Ala: Przeżyłam obóz właściwie w pensjonacie, bo nie byłam singlem. Byłam z mężem, dziecko zostało w Polsce jako zakładnik, nie dostało paszportu, bo za komuny rodzina nie miała prawa spędzać urlopu razem za granicą. Patrzyłam na mojego męża i nie chciałam wywieść na niego presji, ale powiedział mi: zniosę wszystko, ale do komuny nie wrócę. Dziecko zostało z rodzicami. Wizę mieliśmy na tydzień. Kiedy nie zjawiliśmy się w określonym terminie w Polsce, SB zaczęła szaleć. Zbliżały się akurat święta. Mojemu dziecku odebrano kartki żywnościowe za karę, że rodzice przedłużyli pobyt za granicą. Nasza pierwsza wigilia w pensjonacie była smutna. Jedno trzymało nas przy życiu – nadzieja, której nie było w PRL-u.

Patrzyłam jako matka na ten exodus ludzi młodych, wspaniałych, którzy mieli tyle zapału, by nie żyć w niewoli. Podziwiałam również odwagę i pomysły singli, którzy nie

chcieli być w obozie. Dwie młode dziewczyny dogadały się z dwoma chłopakami i po prostu pobrali się szybko, nie znając się przedtem, by traktowano ich jako rodziny. Po przyjeździe do pensjonatu dziewczyny zajęły swój pokój, a ich nowo poślubieni małżonkowie drugi pokój i było OK.

dreptak2k: Austrii nie zapomniał nigdy. Gdy wylądowaliśmy na



Polscy uchodźcy ubiegający się o azyl protestowali przed duńskim parlamentem przeciwko deportacji, Kopenhaga, czerwiec 1988 r.

kempingu w Wiedniu, nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej ze sobą zrobić. Przypadkiem spotkałem znajomego z podwórka. Nie wiedział wiele na temat, który nas interesował; wiedział jednak, że na dworcu kolejowym są tacy, którzy za jedyne 300 szylingów przewożą ludzi do Traiskirchen. On sam osobiście nie radził nam korzystać z ich usług, ale mieliśmy nadzieję, że czegoś od nich się dowiemy. Byli chętni, żeby nas przewieźć, jednak żadnych informacji nie chcieli przekazać. Wyruszyliśmy motorem na miasto w poszukiwaniu posterunków policji, mając nadzieję, że czegoś się dowiemy. Tak dojechaliśmy do samego centrum Wiednia, do informacji turystycznej. Panienska w informacji była bardzo dobrze zorientowana. Pouczyła mnie, że jeżeli tylko chcę spotkać swoich rodaków, muszę jechać na Mexicoplatz. Za jedyne 5 szylingów sprzedała mi mapę, na której był zaznaczony obóz w Traiskirchen. Mapa okazała się wyjątkowo dobra, przez całe miesiące później była przez wszystkich pożyczana. Ciągłe jednak jestem

pod wrażeniem panienki z informacji, która wiedziała lepiej niż ja sam, czego chcę się dowiedzieć.

Radca: Postanowiłem wydostać się z reżimu i wyjechać. Lecz jak to zrobić, by uspić czujność SB? Tak, by można wyjechać z całą rodziną?

Utrzymanie Polaków kosztowało austriackie władze setki milionów dolarów.

Wyszukałem wycieczki do Wiednia, te handlowe. Wreszcie wyjazd do Wiednia. Przy wsiadaniu do autobusu patrzono dziwnie na nas: „Co takie małe torby?”. Przy wjeździe do Austrii dziecko siedzące na moich kolanach krzyknęło głośno: „Tata! Pewex”. Okazuje się, że dziecko zauważyło zwykły, normalny sklep w Austrii. Dojechaliśmy do Wiednia. Wyszliśmy z autobusu, powiedziałem do dzieci, że jesteśmy odtąd w kraju, gdzie panuje demokracja. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Tak wylądowałem w Traichu. No i wybrałem się z ciekawości na Mexicoplatz, ponieważ mój wyjazd na emigrację przeszedł

właśnie przez ten rynek. Stała tam handlarka z Polski z ogromną ilością ręczników. Zapytałem ją, ile takie kosztują w Polsce. Odpowiedziała: „Proszę pana! W Polsce nie ma w ogóle w sklepach”. Odparłem: „Nie wierzę”. A ona na to: „Ależ tak! Jestem kierowniczką sklepu z ręcznikami, to wiem, co mówię!”. Wtedy

wszyscy zrozumieliśmy, dlaczego te sklepy są puste. Ten towar znajdował się razem z panią kierowniczką na Mexicoplatz.

Dreptak2k: Nie wspominam Austrii z sympatią. Niemniej jednak muszę przyznać, że gdyby nie oni, to nie wiem, gdzie bym był dzisiaj. Przyjechaliśmy do Traichu na motocykle. Nie znając miasteczka, objechaliśmy je dookoła. Nagle zobaczyliśmy ogromny budynek, w którym w zakratowanych oknach siedzieli ludzie z nogami wystawionymi na zewnątrz. Widok był trochę przerażający. Wejście do obozu odbyło się niejako bez naszego udziału. Ja chciałem



Emigranci z Polski znaleźli schronienie na uniwersytecie w Getyndze, sierpień 1987 r.

► czegoś się dowiedzieć od strażnika, który siedział w budce przy wejściu. Nie mówiąc po niemiecku, zagadnąłem go po angielsku; on coś tam odpowiedział i poprosił o paszporty. Po kilku godzinach zrozumiałem, że właśnie w tym momencie poprosiłem o przyjęcie do obozu. Weszliśmy na słynne trzecie piętro i lekko się pod nami nogi ugięły. Takiej koncentracji ludzi na tak małej powierzchni

wyjazdem do USA, Kanady czy Australii, ale kłopot polegał na tym, że to wszystko trwało miesiącami. Jeśli komuś udało się przekonać urzędników konsularnych podczas przesłuchania w ambasadach, że był w Polsce prześladowany i został uznany za uchodźcę politycznego, to mógł szybko wyjechać. Jeśli uznawano go za uchodźcę ekonomicznego – wszystko się przedłużało.

dostatecznie dużo mąki, cukru i ryżu. Niech Amerykanie wezmą uchodźców!”, wołał Kreisky.

To w tamtym czasie było głównym celem austriackiej dyplomacji – by Kanada, Australia czy USA zwiększyły kontyngenty przyjmowanych Polaków.

Latina

Innym popularnym kierunkiem były Włochy. Też jako etap przejściowy emigracji za ocean. Owszem, wymagały wizy. Ale, po pierwsze, łatwo można było ją dostać. Po drugie, wyjazdów do Włoch było mnóstwo – handlowych (choć oficjalnie – wyprawczych) i pielgrzymkowych. Wiadomo, Watykan.

Zasada była więc prosta. Najpierw trzeba było wykupić wycieczkę. To samo w sobie nie było łatwe, bo co lepsze kaski sprzedawane były spod lada, a poza tym trzeba było mieć wsad dolarowy. Część ceny była w złotówkach, część w dewizach. Potem trzeba było załatwić paszport,

„Berlin Zachodni, Berlin Zachodni, tu stoi Polak co drugi chodnik”, śpiewał Big Cyc.

nie widziałem nigdy przedtem ani nigdy później, to był chyba szczyt polskiej emigracji.

Tyle Polacy, a jak pamiętają ich Austriacy?

Obóz w Traiskirchen był przepełniony i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Głównym problemem władz było, jak to rozładować. Teoretycznie miał to być punkt przejściowy przed

Ku wściekłości austriackich władz, których utrzymanie Polaków kosztowało setki milionów dolarów. Bo gdy w Traiskirchen zabrakło miejsc, rząd zaczął wynajmować pokoje w hotelach i schroniskach. Za nocleg i wyżywienie Polaka właściciele dostawali 11 dol. dziennie. Jest opowieść o reakcji kanclerza Austrii Bruno Kreisky’ego w styczniu 1982 r. Wtedy prezydent USA przesłał Polakom paczki z żywnością. „Mamy

a trzymane były one w komendach milicji i trzeba było pisać podanie, by go otrzymać. A potem był problem z wizą, choć niektóre biura pośredniczyły w ich załatwianiu.

Jak więc widać, najprostszy wyjazd zagraniczny był w tamtym czasie długo przygotowywaną wyprawą. Choć warto dodać, że z roku na rok coraz łatwiejszą do zorganizowania. Łatwiej było o paszport, w końcu, u samego schyłku Polski Ludowej, gdy premierem był Mieczysław F. Rakowski, można było paszport trzymać w domu.

A jak to wyglądało w praktyce?

Prof. Maria Pasztor opisuje to tak: – W samym lipcu i sierpniu

centrum miasta, w parkach otaczających Villa Borghese i siedzibę prezydenta na Kwirynale. Mieszkali tam, spali, gotowali, jedli, zmywali naczynia, prali odzież – wszystko na oczach przechodniów.

Podobno przymierzali się również do rozbicia obozowiska na placu św. Piotra w Watykanie. Ale udało się temu zapobiec za sprawą interwencji działających w środowiskach emigrantów księży.

Emigranty

To była więc cały czas walka – Polacy kontra system. Jak go oszukać, jak się wkręcić. Oto jak opisywała to

Zastanawiając się nad swoją niemieckością, przypominałam sobie o jednym z dalszych wujków, który miał fabryczkę w Łodzi na Wierzbowej, potem miał syna. Po wrześniu '39 ten syn został SS-mannem. Wyjechali, mówiąc delikatnie, bo to była ucieczka, na początku '45 roku. Inna część rodziny, niespokrewniona z łódzkimi fabrykantami, wyjechała w '68. Więc równie dobrze mogę być Żydówką. Najmłodsze pokolenie, czyli ja, wyjechało w '88. Nie był to rok polowania na Polaków. Był to po prostu kolejny rok w PRL i stwierdziłam, że następny rok w kraju byłby nie do zniesienia. Tylko tyle.

Nie mam ochoty zostać Niemką i tłumaczyć, że mówię tak źle po niemiecku, gdyż już w dzieciństwie

Polacy opanowali rzymskie parki. Mieszkali tam, spali, gotowali, jedli, zmywali naczynia, prali odzież – wszystko na oczach przechodniów.

1987 r. ambasada Włoch wydała obywatelom polskim 39 tys. wiz. Włoskie MSZ twierdziło, że zgodnie ze stanem na 22 września 1987 r. we Włoszech przebywało 11 714 Polaków, którzy wystąpili o azyl polityczny. Tylko w ten sposób mogli się ubiegać o pozostanie we Włoszech po wygaśnięciu wiz.

Włosi nie byli przygotowani na taką liczbę azylantów, dwa główne obozy dla uchodźców, w Kapui i Latynie, nie były w stanie ich pomieścić. Zaczęto więc lokować Polaków w ośrodkach obrony cywilnej i Włoskiego Czerwonego Krzyża.

Pojawił się też inny problem – Polacy szybko stali się kłopotliwymi gośćmi. Początkowo Włosi traktowali ich z sympatią, jako „biedaków, którzy uciekli z komunizmu”, ale potem było gorzej. Media zaczęły pisać o Polakach jako o tych, którzy wzniecają po pijanemu awantury, burdy, łamią przepisy porządkowe, a kobiety oddają się prostytucji.

Polaków w Rzymie nie sposób było nie zauważyć ani ominąć. Nie spodziewanie wymyślili oni nowy sposób zarabkowania – myli szyby na skrzyżowaniach. I błyskawicznie opanowali ulice. Tłumaczono, że w ten sposób pracują, czekając na azyl, ale z tygodnia na tydzień ich usługi stawały się dla rzymian coraz bardziej uciążliwe.

Polacy opanowali też rzymskie parki, rozbijając w nich obozowiska. W ten sposób znaleźli się w samym



Polacy w kolejce do banku żywności w Getyndze. 13 grudnia 1981 r.

Manuela Gretkowska w książce „My zdies' emigranty”:

„Papiery mam, jak każdy z lewej strony Wisły, w porządku – jaki dziadek czy stryjek w Wehrmachcie. Za dokument potwierdzający niemieckość wystarczy nawet zaświadczenie szczepienia wydane przed 8 maja 1945 r. W Berlinie Zachodnim jest biuro z kartotekami Wehrmachtu i po sprawdzeniu autentyczności papierów dostaje się kategorię przesiedleńca: zasiłek, mieszkanie itp.

prześladowano mnie na ulicach Torunia za posługiwanie się mową ojców i dziadków. Jeśli się okaże, że we Francji mieszkać nie mogę, to trudno, pojedę do RFN.

Na naukę hebrajskiego i zostanie Żydówką jestem za stara. Poza tym wierzę w fałszywego Mesjasza i – niestety – wygląd odziedziczyłam po aryjskich przodkach. Że nie nadają się na Żydówkę, stwierdził też Andrzej. Przypadkowo stał się ekspertem w tej kwestii. Przyjechał

► do Austrii na początku listopada. Przeleżał kilka nocy na trawniku przed jakimś już zamkniętym dla Polaków obozem. Być może innych męczyłoby takie wyczekiwanie, ale Andrzejowi trawnik zastępował łóżko szpitalne, gdyż przyjechał chory – temperatura prawie 40 stopni – po skomplikowanym wyrwaniu zęba. Było mu całkowicie obojętne, czy próbują go nocą okraść Arabowie, czy nad ranem wygonią kopniakami policjanci. Po kilku dniach tego alpejskiego Davos ozdrowiał na tyle, że przypomniało mu się o czymś takim jak Amnesty International, która to instytucja zaliczyła go kiedyś w poczet swoich podopiecznych. Po kilku dniach dostał pokój w hotelu

Z humorem – podziwiając eskapady fiatami 126p, obładowanymi do granic możliwości, z bagażnikiem na dachu, którymi, pokonując setki kilometrów, Polacy krążyli po Europie. Przewożąc różne „towary”, typu okulary słoneczne, pilniki do paznokci, ręczniki czy inne skarby.

„Berlin Zachodni, Berlin Zachodni, tu stoi Polak co drugi chodnik”, śpiewał Big Cyc. W Budapeszcie cinkciarze z Polski opanowali dworzec Keleti i tamtejszą „patelnię”. Zresztą podobnie działo się na bazarach miast węgierskich i jugosłowiańskich. W Wiedniu miejscem polskiego handlu był Mexicoplatz. A w gazetach mogliśmy wyczytać o protestach mieszkańców okolicznych kamienic.

i bardzo mocno go idealizowali. „Jesteśmy antykomunistami i demokratami, a więc USA i Włochy mają obowiązek nas żywić i ubierać”, tak niektórzy z nich tłumaczyli swój los.

Symptomatyczne są też słowa Karla Radka, ówczesnego dyrektora ośrodka w Traiskirchen, który mówił dziennikarzowi „New York Timesa”, że najbardziej się martwi, jak jego podopieczni poradzą sobie w wolnym świecie. I czy z powodu frustracji nie zaczną pić.

Nikt chyba nie badał, jak wielu Polaków, którzy przeszli przez obozy dla uchodźców, miało potem kłopoty z alkoholem. Ale po latach można stwierdzić, że zdecydowana większość z nich ułożyła sobie życie w nowych miejscach. Co więcej, jeszcze lepiej poradzili sobie emigranci z kolejnych fal.

Jeżeli we Włoszech w latach 80. Polacy mieli opinię nadających się jedynie do prostych prac fizycznych, to dziś jest już inaczej. Polki nie kojarzą się już nikomu z paniami lekkich obyczajów, ten stereotyp przejęty emigrantki z Afryki i z południa Europy. Polacy mają zaś opinię bardzo sprawnych i pracowitych fachowców średniego szczebla. A w ostatnich latach – nawet wyższego.

Teraz pewnie będą kojarzyć się z powodu zbiorowej amnezji. Naród emigrantów, wobec których Europa przez lata była wyrozumiała, cierpliwa i hojna, zapomniał o tamtych czasach. Nie czuje się nikomu nic winien.

W sumie – niebawem.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Francuscy dziennikarze pisali, że miejsca, gdzie mieszkają Polacy, można rozpoznać po zapachu gotowanej przez wiele dni zepsutej kapusty.

i spokojnie czekał na bilet do Kanady. W Wiedniu spotkał górników ze Śląska na tyle zdeterminowanych brakiem pieniędzy, że zdecydowali się wstąpić do armii izraelskiej, bo usłyszeli gdzieś o naborze. Andrzej, znający język angielski, został wydelegowany do ambasady izraelskiej, aby uzgodnić warunki przyjęcia. Czy – w gwarze wojskowej – zaciągu nowej siły. Ślężacy czekali cierpliwie przed ambasadą, gdy oburzony dyplomata izraelski tłumaczył Andrzejowi, że armia izraelska jest armią narodową, a nie Legią Cudzoziemską. No, ale jeżeli ci panowie są Żydami, to...

– Nie proszę pana, nie sądzę. Nie wyglądają na Żydów.

Dyplomata jednak dyskretnie popatrzył zza firanek na niefortunnych ochotników i potwierdził zdanie Andrzeja: – Rzeczywiście, coś, bardzo mi przykro...

Tak więc Andrzej też ocenił, że bez mocnych papierów, na sam wygląd trudno mi będzie zostać Żydówką”.

Ci inni to my

Polacy stali się uciążliwi dla Europy nie tylko dlatego, że zapchali obozy dla uchodźców. Także dlatego, że nie przestrzegali obowiązujących reguł. Na przykład oddając się działalności handlowej. Europejskie gazety, opisując naszych rodaków z tamtych czasów, robią to raz z humorem, innym razem ze zgrozą.

Że Polacy zdeptują trawniki, że nie można przejść chodnikiem, że wchodzi na klatki schodowe, tam koczują, zafatwiając potrzeby fizjologiczne.

A skąd wiedzieli, że to Polacy?

W Europie dość łatwo ich rozpoznawano: dzinsy marmurki, fryzura niepamiętająca fryzjera, wykoślawione, zdarte buty.

Znajomy Holender (przez lata zbierał wśród sąsiadów ubrania i artykuły spożywcze, które paczkami ekspediował do Polski) miał inny sposób na rozpoznawanie naszych rodaków – jeżeli Holendrzy chodzili zawsze chodnikami, to Polacy szli na skróty, po trawniku.

Francuscy dziennikarze pisali z kolei, że miejsca, gdzie mieszkają Polacy, można rozpoznać po zapachu gotowanej przez wiele dni zepsutej kapusty. Chodziło im zapewne o bigos...

Z relacji miejscowych dziennikarzy, którzy opisywali mieszkających w obozach Polaków, z ich obserwacji, a także rozmów z zajmującymi się nimi urzędnikami, wyłania się dość jednorodny obraz emigranta znad Wisty. To nie byli uciekinierzy polityczni, tylko emigranci ekonomiczni. Nie wierzyli, że w Polsce czeka ich jakaś przyszłość, więc wybierali emigrację. Głęboko też wierzyli, że przenoszą się do zdecydowanie lepszego świata. Kłopot w tym, że w większości nie za bardzo wiedzieli, jak w tym świecie się poruszać

Marcin Ogdowski

I po co to wszystko było?

Poafgańskie rozgoryczenie żołnierzy

Starszy szeregowy Piotr Marciniak, żołnierz V zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego (PKW) w Afganistanie. Strzelec z plutonu patrolowego z bazy Four Corners. Służbę wojskową rozpoczął w 1998 r., w kraju służył w 6. Brygadzie Desantowo-Szturmowej w Krakowie. Poległ 10 września 2009 r., miał 30 lat. Postanowieniem prezydenta Lecha Kaczyńskiego pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego, Gwiazdą Iraku i Gwiazdą Afganistanu. Decyzją ministra obrony narodowej Bogdana Klicha awansowany na stopień kaprała. Wyróżniony wpisaniem zasług do „Księgi Honorowej Wojska Polskiego”.

Starszy kapral Jarosław Maćkowiak, żołnierz IX zmiany PKW w Afganistanie. Dowódca drużyny w Zgrupowaniu Bojowym „Bravo” w bazie Giro. Służbę wojskową rozpoczął w 2004 r., w kraju służył w 17. Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej w Międzyrzeczu. Poległ 2 czerwca 2011 r., miał 27 lat. Postanowieniem prezydenta Bronisława Komorowskiego pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego i Gwiazdą Afganistanu. Decyzją ministra obrony narodowej Bogdana Klicha awansowany na stopień młodszego chorążego. Wyróżniony wpisaniem zasług do „Księgi Honorowej Wojska Polskiego”.

Lista

Ostatnie wydarzenia w Afganistanie odbiły się głośnym echem na całym świecie. Spektakularna klapa prozachodniego reżimu oraz chaotyczna ewakuacja współpracujących z siłami koalicji Afgańczyków rozpalili emocje także wśród wojskowych. Powrót talibów do władzy okazał się gorzką pigułą dla mundurowych w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – krajach najmocniej zaangażowanych w afgańską operację NATO. Lecz i w Polsce nie zabrakło pełnych gorzkości głosów. Wojsko Polskie powstało pod Hindukusz 33 tys. żołnierzy. 44 zginęło, więcej niż 200 odniosło poważne rany, kilkuset lżejsze kontuzje. Do dziś



Pożegnanie ciała kpr. Piotra Marciniaka w bazie Ghazni, wrzesień 2009 r.

u tysiąca wojskowych zdiagnozowano objawy stresu pourazowego (a są to wyłącznie oficjalne dane). Afgańska operacja kosztowała budżet państwa ponad 6,5 mld zł i jakkolwiek umożliwiła zdobycie doświadczenia bojowego, jednocześnie na prawie dekadę (czas największego zaangażowania) wyhamowała proces modernizacji sił zbrojnych. Wątpliwości związane z sensem tak poważnego zaangażowania są zatem jak najbardziej na miejscu. Idealnie oddaje je list, który otrzymałem przed kilkoma dniami od byłego „misjonarza”. Jego autor – oficer, z którym współpracowałem w Afganistanie – zdecydował się na lakoniczną formę. Wysłał mi mianowicie listę 44 nazwisk, którą zakończył pytaniem: „I po co to wszystko było?”.

Znam je wszystkie. Śledzę afgańską wojnę od początku, spędziłem w tym kraju, pośród naszych żołnierzy, mnóstwo czasu. Byłem

świadkiem śmierci jednego z nich, trzy razy brałem udział w ceremoniach pożegnania ciał poległych, które odbywały się na lądowisku w Ghazni. Marciniak, zwany przez kolegów „Foką”, zginął podczas mojego pobytu w Afganistanie. Okoliczności jego śmierci – podobnie jak zdarzenia towarzyszące tragicznemu w skutkach postrzałowi Maćkowiaka – chyba najlepiej ilustrują to, czym dla polskich żołnierzy był Afganistan – misją przez lata fałszywie określana mianem „stabilizacyjnej” bądź „pokojoyej”.

„Foka”

10 września 2009 r. afgańsko-amerykański patrol wpadł w zasadzkę w pobliżu jednej z wiosek w dystrykcie Andar. Najbliżej zaatakowanych znajdował się polski oddział sił szybkiego reagowania (ang. QRF), stacjonujący w bazie Four Corners. Gdy QRF dotarł na miejsce, rebelianci ▶

► wycofali się do wioski. Drużyna, w której służył Piotr Marciniak, natrafiła na krwawy ślad, prowadzący do jednego z domów. „Wchodzimy” – zdecydował Piotr i jak zawsze ruszył jako pierwszy. I to on przyjął na siebie ogień co najmniej dwóch bojowników. Ostrzał był na tyle silny, że Polacy musieli się wycofać. „Foka” – koledzy mieli nadzieję, że tylko ranny – został w środku.

– Moja drużyna była kilkadziesiąt metrów dalej – opowiadał mi przed kilkoma laty Adam Lewkowski, wówczas szeregowiec. – Znaleźliśmy dwa motocykle z granatnikami RPG przy sakwach bocznych. Oglądaliśmy je, gdy przyszła informacja przez radio, że jedna z naszych drużyn dostała kontakt. Że mają rannego i proszą o wsparcie. Pobiegliśmy.

Próba wejścia do budynku spełzała na niczym. Odrzuceni Polacy podzielili się na dwa zespoły – jeden miał szturmować drzwi główne, drugi zająć bojowników od tyłu.

– Byłem w tej drugiej grupie – kontynuował opowieść Lewkowski. – Gdy tylko pojawiliśmy się przy drzwiach, poszedł ogień. Kolega na przodzie oberwał w szyję. Dostał też w klatkę piersiową, ale uratowała go kamizelka. Po chwili sam poczułem silne szarpnięcie w okolicy prawej łydki i zorientowałem się, że zostałem trafiony.

Grupa Lewkowskiego odstąpiła. On z dwoma spadochroniarzami schował się za murkiem oddalonym od budynku o 5 m. Oddaje mu głos:

rękach, była straszna – zapewniał Lewkowski. – Z krążących nisko nad ziemią helikopterów AH-64 kilkakrotnie dostaliśmy sygnał, żeby się odczołgać dalej. Amerykanie chcieli zburzyć budynek rakietami Hellfire. Protestowaliśmy, nasz człowiek został w środku, a my musieliśmy go zabrać.

Wojsko Polskie poszło pod Hindukusz 33 tys. żołnierzy. 44 zginęło, ponad 200 odniosło poważne rany. Do dziś u 1000 zdiagnozowano objawy stresu pourazowego.

Ostatecznie Lewkowski i pozostali ranni – w sumie czterech żołnierzy – byli już na pokładzie śmigłowca ratowniczego, gdy strzały umilkły. W obiekcie zajęтым przez rebeliantów znaleziono zejście do karezów – podziemnych tuneli łączących domy i całe wioski. To właśnie nimi bojownicy wydostali się z okrążenia. W pośpiechu nie zdążyli zabrać ze sobą ciała Piotra Marciniaka.

„Maciek”

Wiosną 2011 r. przed załogą bazy Giro postawiono zadanie znalezienia najkrótszej drogi między bazą a główną arterią, zwaną Highway 1. Miało to związek z planem zorganizowania kilku ciężkich konwojów w ramach wyprowadzki Polaków z posterunku i oddania okolicy pod nadzór sił afgańskich.

2 czerwca kilkudziesięcioosobowy oddział wyruszył w stronę

W tym czasie spieszone pododdziały przemieszczały się między domami. Drużyna Jarosława Maćkowiaka, „Maćka”, zatrzymała się przy końcu muru jednej z kalat (posesji). Pójście dalej oznaczało wyjście w otwartą przestrzeń. Afgański policjant i tłumacz Polaków chciał ruszyć jako pierwszy. Maćkowiak, widząc że

Afgańczyk nie ma kamizelki kuloodpornej, zajął jego miejsce. Skoczył, a za nim kolejni. I wtedy rebeliancka seria skosiła dwóch Polaków.

Koledzy ewakuowali rannych w miejsce, w którym osłonę dawał im rosołek dowodzony przez st. kpr. Tomasza Byczka. Oto jego relacja:

– „Maciek” oberwał w udo, tuż pod pośladkiem. Zaraz po postrzale śmiał się, że będzie wstyd, gdy go spytają, w co został ranny. Siedziałem wtedy na kaemie, więc gdy znów zaczęły się ruchy w wiosce, skupiłem się na celach, by tamci nas nie podeszli. Gdy chwilę później spojrzałem w bok, mędyk już pompował „Maćka”... Amerykański lekarz powiedział mi potem, że tylko wykwalifikowany chirurg byłby w stanie pomóc rannemu z przerwana tętnicą. „Maciek” był już nieprzytomny, gdy ładowali go na pokład śmigłowca. Strasznie błady. Wiedziałem, że jest źle, ale nie sądziłem, że widzę go ostatni raz żywego...

Maćkowiak zmarł w szpitalu w Ghazni. Podczas akcji w Bahar zginęło 15 talibów. Skala i intensywność potyczki wzięły się stąd, że tego dnia do wioski zjechało wielu bojowników na wesele jednego z nich. „W ten sposób wesele zamieniło się w pogrzeb”, podsumował sytuację Grzegorz Kaliciak.

Koleżeństwo

Piotr Marciniak został pochowany 17 września 2009 r. na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Ciało Jarosława Maćkowiaka złożono 9 czerwca 2011 r. na Cmentarzu Komunalnym w Gnieźnie. Na pomniku tego drugiego można dziś przeczytać ulubioną kwestię chorążego z filmu „Helikopter w ogniu”: „Jak wrócę do domu, ludzie będą mnie pytać, dlaczego to

Afganistan nie był dla naszych żołnierzy wojną obronną.

– Kolega opatrywał mi nogę, drugi klęczał przy rogu, ubezpieczając nas. I nagle zobaczyłem nadlatujący granat. Byłem pewny, że zginie. W eksplozji najbardziej ucierpiał Łukasz, ten, który nas ubezpieczał. Na szczęście wrócił później do służby. Poturbowani, ale żywi, zaczęliśmy się odczołgiwać na bezpieczniejszą odległość. Zatrzymaliśmy się po jakichś 50 m i tam czekaliśmy na przyjazd Medavacu (śmigłowca ewakuacji medycznej – dop. MO).

Atak z przodu budynku również się nie powiódł.

– Tamci działali jak wściekłe osy. Mieliśmy już pewność, że Piotrek nie żyje, ale świadomość, że jest w ich

popularnego „hajteja”. Paweł Szczyszek, dowódca bazy, w książce Grzegorza Kaliciaka „Afganistan. Odpowiedzieć ogniem”, tak zrelacjonował początek patrolu: „Spokojnie mijamy kilka osad, aż dojeżdżamy do wioski Bahar. I nagle w naszą stronę idzie ogień. Nie jest groźny ani szczególnie zmasowany. Ale musimy odpowiedzieć”.

Polacy zaczęli napierać na wioskę, a ogień rebeliantów zgęstniał do tego stopnia, że niezbędne okazało się wezwanie samolotów. Dwa F-15 poprzestały na niskich przelotach – użycie działek czy rakiet w gęsto zamieszkanym rejonie nie wchodziło w grę.

Pokaz siły nie pomógł.



Przylot do Polski ciała mł. chor. Jarosława Maćkowiaka.
Poznań – Krzesiny, czerwiec 2011 r.

robisz? Wojna Cię kręci? Nie powiem ani słowa. Dlaczego? Bo tego nie rozumiem, nie rozumiem, dlaczego to robimy, nie rozumiem, że tu chodzi o kolegę – tylko to się liczy...”.

Tani sentymentalizm? Być może, ale właśnie takim emocjom ulegał wojskowi i byli w ich przeżywaniu

gość”, czytam w liście od jednego z „misjonarzy”. Znam wiele takich historii, jeśli mogłem, pytałem ich głównych bohaterów, po co wracali do linii. Odpowiedź zwykle kryła się w pytaniu, które brzmiało mniej więcej tak: „Kumple zapier... w Afganie, a ja mam się objąć w Polsce?”.

– Nie dali się pobić, chronili ludność cywilną, zabezpieczali trwanie przyjaznych Zachodowi władz. Wszystko posypało się, gdy odeszli, ale to wina polityków i wojskowych strategów, którzy nie potrafili nakreślić jasnych ram dla całej operacji. Nie da się w nieskończoność trzymać w jakimś miejscu wojska – taki kraj trzeba przygotować na czasy samodzielności. Rządy państw NATO tego nie zrobiły. Niby chciano zbudować nowy Afganistan, ale trochę w myśl zasad „jakoś to będzie” i „samo się zrobi”, bez uwzględniania lokalnych specyfik, bez odpowiedniej determinacji i z relatywnie niewielkim zainteresowaniem samych mocodawców.

– Daliście nam 20 lat względnej normalności – mówi M., jeden z wywiezionych z Kabulu Afgańczyków (nazwiska uratowanych z Kabulu osób dla ich bezpieczeństwa pozostają niejawne). – Moje dzieci dostały go mniej, ale dobre i te kilka lat. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale czas spędzony w ojczyźnie, w której nie rządzą talibowie, na zawsze pozostanie pozytywnym punktem odniesienia dla mnie i mojej rodziny.

Marcin Ogdowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

W tekście wykorzystałem fragmenty książek własnego autorstwa „zAfganistanu.pl. Alfabet polskiej misji” oraz „W naszej pamięci. Irak i Afganistan 2003-2014”.

To, co się stało w Afganistanie, to wina polityków i wojskowych strategów, którzy nie potrafili nakreślić jasnych ram dla operacji.

jak najbardziej autentyczni. Realne były też skutki takiego stanu rzeczy. Owa więź miała kluczowe znaczenie w przypadku oddziałów bojowych. Mówiąc wprost, gdyby nie poczucie odpowiedzialności za kolegów, dowództwu kontyngentu trudno by było prowadzić jakąkolwiek działalność operacyjną. „Afganistan” nie był dla polskiego wojska wojną obronną, a narracji o międzynarodowym zagrożeniu, jakie rzekomo stwarzali talibowie, wojskowi nigdy nie podzielali. Brak istotnego z perspektywy morale „zaplecza ideologicznego”, kompensowało poczucie koleżeństwa.

„Jakiś czas temu rosomak kolegów został trafiony chińskim erpegim, który przepalił pancerz i wszedł do środka. Efekt? Dwóch poważnie rannych, wśród nich niestety mój przyjaciel (...). Rany liżał ponad miesiąc (...), ale wrócił do orki. Twardy

Nie bez znaczenia były również inne elementy żołnierskiego etosu. Symptomatyczne pozostają w tym kontekście słowa wypowiedziane podczas pogrzebu Piotra Marciniaka, na którym – poza tłumem krakowian – stawili się również najwyżsi rangą wojskowi i przedstawiciele władz RP. „Tak właśnie chciał”, przekonywała siostra Piotra, Małgorzata. „Przygotowywał nas na to. Mówił, że zamiast śmierci ze starości, wołałby polec w walce i być pochowany z honorami”.

Sens

– Szeregowi żołnierze i oficerowie liniowi, którym obrazy z Kabulu odebrały poczucie sensu odbytej w Afganistanie misji, nie powinni czuć zawodu. Oni swoje zadania wykonali wzorowo – przekonuje gen. Waldemar Skrzypczak.



Sprawiedliwość umiera za zamkniętymi drzwiami

Nowelizacja Kodeksu postępowania cywilnego w drastyczny sposób ograniczyła jawność rozpraw sądowych w sprawach cywilnych

Marek Czarkowski

Zapewne nie zwróciłbym uwagi na nowelizację Kodeksu postępowania cywilnego, przyjętą przez Sejm 28 maja br., gdyby nie sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie, która nie wyraziła zgody na moje uczestnictwo w rozprawie, argumentując, że będzie się ona toczyła za zamkniętymi drzwiami. Chciałem wziąć w niej udział, gdyż interesowało mnie, co się dzieje z jedną z najdłużej ciągnących się spraw przed polskimi sądami.

Historia ta zaczyna się 12 grudnia 2001 r., gdy Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy po rozpoznaniu wniosków z 6 listopada 2001 r. wierzycieli, Kredyt Banku SA z 5 listopada 2001 r. oraz Polskiego Kredyt Banku SA, ogłosił upadłość Centrum Leasingu i Finansów CLiF SA. W tamtym czasie była to jedna z największych firm leasingowych w kraju. Jej akcje notowano na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. CLiF uważano za spółkę solidną, dobrze zarządzaną i mającą jasne perspektywy.

Błyskawiczne tempo rozpatrzenia wniosków od początku budziło wątpliwości co do przyczyn problemów, w jakich znalazła się spółka. Było tajemnicą poliszynela, że w latach 1999-2001 banki, które od połowy

lat 90. chętnie kredytowały prywatne spółki leasingowe, kiedy zorientowały się, że to bardzo dobry interes, postanowiły przejąć ten lukratywny rynek. Zarządy firm leasingowych stawiano przed diabelską alternatywą: albo zgodzą się na przejęcie ich firmy przez bank, najczęściej za ułamek wartości, albo bank wypowie umowy kredytowe i trzeba będzie ogłosić upadłość. To właśnie spotkało CLiF.

Lecz zarząd i akcjonariusze nie chcieli się poddać. Twierdzili, że nie było podstaw do podjęcia przez sąd takiej decyzji. Rozpoczęli walkę o ocalenie firmy i ku ogromnemu zaskoczeniu ich samych w maju 2003 r. Sąd Najwyższy uznał, że decyzja o ogłoszeniu upadłości spółki

z sektorem bankowym mogły odbiegać od standardów przyjętych w środowisku sędziowskim. Okazało się, że Kredyt Bank, jeden z wnioskodawców bankructwa spółki CLiF, sprzedał na korzystnych warunkach żaglowiec „Fryderyk Chopin” założonej przez sędziego Europejskiej Wyższej Szkole Prawa i Administracji. Sędzia był też kanclerzem owej uczelni. W konsekwencji zajął się nim sąd dyscyplinarny. Być może mając świadomość, że to koniec kariery, sędzia zrezygnował z togi i łańcucha.

Przez kolejne lata prezes CLiF Dariusz Baran toczył w sądach boje z prawnikami o odzyskanie pieniędzy zajętych przez banki z rachunków spółki. Ponad półtoraroczne rządy

Najistotniejsza zmiana to wprowadzenie jako zasady tajności posiedzeń sądowych zamiast gwarantowanej konstytucyjnie zasady ich jawności.

zapałała z naruszeniem prawa. Sędziowie nakazali ponowne rozpatrzenie wniosku. Sąd niższej instancji orzekł, że podstaw do ogłoszenia upadłości nie było. Spółka CLiF SA „wstała z grobu”. Był to pierwszy taki przypadek w III RP.

Media szeroko opisywały karierę sędziego, który ogłosił upadłość spółki. Wyszło na jaw, że jego relacje

wyznaczonego przez sąd syndyka mocno nadwyrężyły kondycję spółki. Fakt, że prawie wszystkie procesy z bankami zakończyły się bądź ugodami, bądź korzystnymi dla CLiF wyrokami, miał niewielkie znaczenie.

Podjęta z naruszeniem prawa decyzja sędziego doprowadziła firmę do ruiny. Wobec tego prezes Dariusz Baran i inni udziałowcy Centrum

Leasingu i Finansów zdecydowali się wystąpić z roszczeniami wobec skarbu państwa. Wszak sędzia wydał wyrok „w imieniu Rzeczypospolitej”. Procesy ciągnęły się latami. Roszczenie akcjonariuszy i władz spółki opiewało na ponad 160 mln zł. Ostateczny wyrok był niekorzystny – spółce nic się nie należało, gdyż najogólniej rzecz biorąc, trudno mówić o odszkodowaniu państwa za szkody wywołane wyrokiem, gdy jego bezprawność jest „nieoczywista”.

To nie był koniec tej historii. Przed sądem nadal toczyły się spory

w krakowskim Sądzie Okręgowym miał się rozpocząć proces 41 członków tzw. mafii śmieciowej. Na sali sądowej znalazło się wówczas ponad 70 osób. Na wniosek jednego z adwokatów sąd wyznaczył inny termin.

Prezesi sądów od początku pandemii próbowali radzić sobie z tym problemem, sugerując bądź zalecając podległym im sędziom, by podejmowali decyzje o prowadzeniu rozpraw za zamkniętymi drzwiami.

W październiku ubiegłego roku prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego wydał zarządzenie nr 39, w którym

sprzeciwu – będzie mógł zdecydować, że dana rozprawa cywilna odbędzie się niejawnie. Teoretycznie miałyby to obowiązywać podczas epidemii oraz rok po jej zakończeniu. Jednak praktyka wskazuje, że w Polsce przewidywana jest najtrwalsza. Tak w sądach cywilnych gwarantowana konstytucyjnie jawność rozpraw odeszła w przeszłość.

Konstytucja, konstytucja

Trudno znaleźć ekspertyzę czy opinię, która nie byłaby krytyczna wobec forsowanego przez rząd zapisu o wyłączeniu jawności rozpraw przed sądami cywilnymi i administracyjnymi. Nawet w opinii Biura Analiz Sejmowych z 8 lutego 2021 r. znalazł się fragment mówiący, że „Ocena rozpoznawania spraw na posiedzeniach niejawnych w sprawach cywilnych i administracyjnych, gdy nie można prowadzić rozprawy lub posiedzenia jawnego zdalnie, w kontekście ugruntowanego rozumienia zasad jawności wewnętrznej i zewnętrznej postępowania sądowego wynikającego z Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej oraz Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności prowadzi do wniosku, że wprowadzenie tego rozwiązania naraża na ryzyko postawienia skutecznego zarzutu niezgodności z art. 45 ust. 1 konstytucji, jak również należy liczyć się z ryzykiem

Trudno znaleźć ekspertyzę czy opinię, która nie byłaby krytyczna wobec zapisu o wyłączeniu jawności rozpraw przed sądami cywilnymi i administracyjnymi.

z bankami. Ostatnie dwie z powództwa banku Pekao SA przeciwko CLIF SA oraz z powództwa spółki przeciw bankowi ma rozstrzygnąć Sąd Okręgowy w Warszawie. W tych rozprawach chciałem uczestniczyć jako publiczność. Byłem przekonany, że nie będzie to problemem. Decyzja sędzi była jednak inna.

Nie ma sprawiedliwości bez jawności

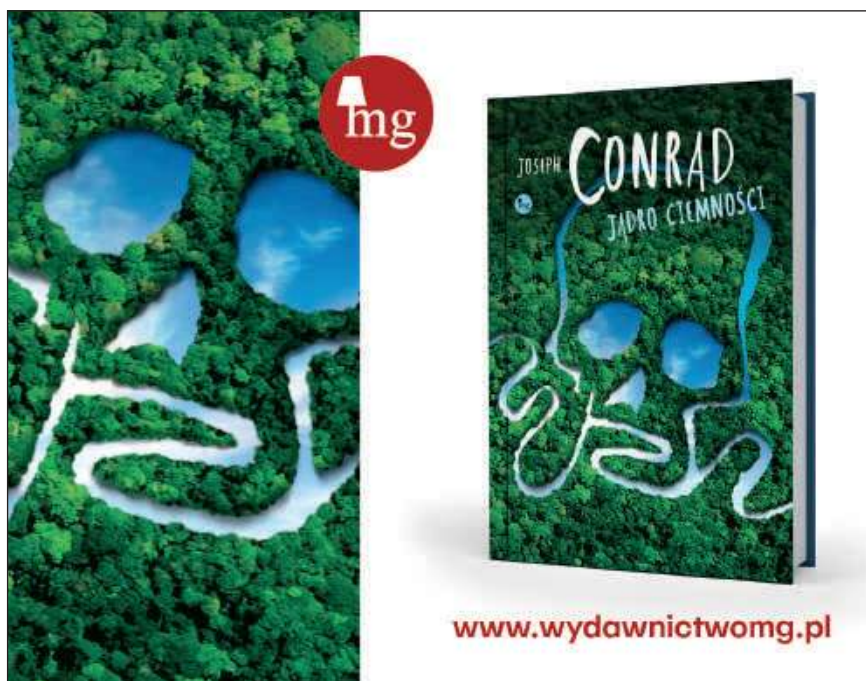
Prawdziwą gwarancją sprawnego i uczciwego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości jest jawność. Jak najszerzej rozumiana. Z nieograniczonym dostępem nie tylko do sal sądowych, ale i do akt spraw. W Polsce dostęp do akt zależy od decyzji sędziego, przewodniczącego wydziału, w którym sprawa jest na wokandzie, i nie jest łatwo uzyskać taką zgodę.

Konstytucja – dziś czysto teoretycznie – gwarantuje nam prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy przed właściwym, niezależnym, bezstronnym i niezawisłym sądem. Ale to się zmieniło za sprawą przyjętej przez Sejm nowelizacji.

Jako powód wprowadzenia zmian rząd podał pandemię COVID-19. W ubiegłym roku zdarzały się sytuacje, że w trakcie rozpraw w niewielkich salach sądowych tłoczyło się kilkadziesiąt osób. Nawet jeśli wszyscy mieli maseczki, to zachowanie dystansu społecznego było fikcją. Tak zdarzyło się w październiku zeszłego roku, gdy

zdecydował, że sąd, którym kieruje, będzie kontynuował działalność orzeczniczą w trybie rozpoznawania spraw na posiedzeniach niejawnych. Uzasadnił to koniecznością przeciwdziałania potencjalnemu zagrożeniu zakażenia wirusem SARS-CoV-2.

Pomysł się przyjął i już w połowie stycznia br. do Sejmu trafił rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy Kodeks postępowania cywilnego oraz niektórych innych ustaw. Znalazł się w nim zapis mówiący, że to sąd arbitralnie – bez względu na opinie stron i bez możliwości złożenia



► postawienia skutecznego zarzutu zgodności z art. 6 ust. 1 Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności”.

Mimo tego Sejm 28 maja br. uchwalił, a prezydent 9 czerwca podpisał ową nowelizację.

To kolejny dowód, w jaki sposób Prawo i Sprawiedliwość, do spółki z Porozumieniem Gowina, krok po kroku likwidowało prawa obywatelskie w naszym kraju.

Większość procesów, które toczą się przed polskimi sądami, to procesy cywilne i administracyjne. Spory między podmiotami gospodarczymi, w sądach pracy, rozprawy o alimenty, spory z urzędami skarbowymi itp. to codzienność wymiaru sprawiedliwości. Od niedawna mogą one toczyć się za zamkniętymi drzwiami.

7 lipca Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia”, rzecznik praw obywatelskich, Naczelna Rada Adwokacka oraz inne stowarzyszenia sędziów i prokuratorów opublikowały „Memorandum w sprawie prawa obywatela do sądu”, w którym nie zostawiono suchej nitki na przyjętych przez Sejm rozwiązaniach. Zarzucono politykom m.in., że „pod pozorem walki z koronawirusem ustawodawca wprowadza niekonstytucyjne rozwiązania, w momencie kiedy jednocześnie odmraża działalność publiczną państwa

polskiego. Co więcej, te restrykcyjne rozwiązania utrzymuje przez rok po zakończeniu pandemii”.

Autorzy „Memorandum” wymieniają siedem punktów, które w ich ocenie pogłębiają chaos w wymiarze sprawiedliwości. Za najistotniejszą zmianę uznano wprowadzenie jako zasady tajności posiedzeń sądowych zamiast gwarantowanej konstytucyjnie zasady jawności postępowań.

Zarzucono sejmowej większości likwidację zasady kolegialności składów sądów także poprzez odstąpienie od udziału czynnika społecznego

Jeden z wnioskodawców bankructwa spółki CLiF, Kredyt Bank, sprzedał na korzystnych warunkach żaglowiec założonej przez sędziego Europejskiej Wyższej Szkole Prawa i Administracji.

w postaci ławników, co jest złamaniem art. 182 konstytucji. Rozstrzygający głos w sprawach składów sędziowskich mają dziś prezesi sądów powołani przez ministra sprawiedliwości. To kolejna zmiana wprowadzona przez nowelizację.

W tej sprawie zdumiewa jedno – milczenie mediów. Być może dziennikarze nie rozumieją znaczenia zasady jawności rozpraw sejmowych. A może po prostu nie zauważyli, co się stało. Nikt też nie wyszedł na ulice z hasłami „Konstytucja, konstytucja”, protestować przeciw jawnemu jej łamaniu.

Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie

Zapewne wielu sędziów z ulgą i wdzięcznością przyjęło rozwiązania zapisane w nowelizacji Kodeksu postępowania cywilnego. Jakże przyjemnie się orzeka, gdy nikt nie patrzy na ręce. Gdy na sali sądowej nie ma publiczności i nie daj Boże pismaków. A jeśli jakiś zuchwały adwokacina zechce apelować do wyższej instancji, to natknie się na kolegę ze studiów, który za zamkniętymi drzwiami rozpatrzy sprawę. Jest

kwestią czasu, kiedy obywatele odczują na własnej skórze, jak w praktyce działają sądy po wejściu w życie nowego prawa. Jestem pewien, że za chwilę pojawią się pierwsze oskarżenia sędziów o korupcję. W sprawach cywilnych, np. o zapłatę, racje stron często są bardzo podzielone. A jeśli spór o 10 mln zł będą toczyły między sobą dwie prywatne spółki, to „10% dla sędziego” może nie wydać się kwotą zbyt wygórowaną.

Rządy Zjednoczonej Prawicy w ostatnich latach zrobiły wiele, by skompromitować sędziów i cały wymiar sprawiedliwości. To nie przypadek, że prezesem Trybunału Konstytucyjnego została mgr Julia Przyłębska. Choć jej poprzednikami byli profesorowie: Andrzej Zoll, Marek Safjan czy Andrzej Rzepliński. Dziś w składzie TK zasiadają Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz. Czy możemy się dziwić, że pojęcie „autorytetu” w żaden sposób nie kojarzy się z tą instytucją? A gdy sądy i sędziowie zostaną odarci z tego przymiotu, to władzę będzie dzierżył ten, kto dysponuje siłą. Łatwo wyobrazić sobie, jak za zamkniętymi drzwiami sąd będzie rozstrzygał o ważności wyborów albo rozpatrywał protesty wyborcze. Wkrótce mało kto będzie chciał wychodzić na ulice w obronie niezależności sądów. Bo i czego tu bronić?

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl



Jagoda prosi o życie! Mamy czas tylko do 2 września!

Wyślij SMS o treści JAGODA
pod numer 7412 i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

Życie Jagody nigdy nie było wiele warte. W zasadzie warte było tylko tyle, ile wskazywała waga rzeźnika. Dziś, gdy lata młodości minęły, nie znalazła już klienta innego niż handlarz. Pójdzie tam, gdzie idą zbędne konie. A za nią pobiegnie jej ostatnie dziecko.

Uchylam drzwi, patrzy mi prosto w oczy. Cicho parska i zrezygnowana opuszcza głowę. Nie wydaje się zdziwiona, że to już. Dobrze wie, że nie ma, tyle siły co kiedyś. Że szybciej się męczy. I dobrze wie, że żadnego konia nie stać na to, by się zestarzeć. Po chwili wycofuje się do tyłu i szturchnięciem nosem zagania, żrebaka w moją stronę.

Maluszek łapie mnie za rękaw i szarpie zapraszając do zabawy. Ufny i pogodny, tupie nogą, złoścąc się, że nie odpowiadam na zaczepki.

Jagoda wtula chrapy w moje dlonie, jakby prosiła o życie. Nie, nie dla siebie. Ona wie, że niechciane konie nie mają szansy na ratunek. Takie jak ona nie zasługują na żadną emeryturę. Pogodzona ze swoim losem milcząco błaga o życie dla swojego dziecka. Niech, chociaż ono żyje. Chociaż tyle. Aż tyle.

Handlarz batem odgania konie, zatrzaszkując drzwi jagodowej komórki. Koniec widzenia.

Waga wyceniła je na 13800 zł. Z jednej strony to dużo pieniędzy, a z drugiej to przecież ich życie – i jest boleśnie tanie. Handlarza nie pytam, czemu mają iść na rzeź. Powód znam doskonale. Stały się nieprzystdatne dla człowieka. To starczy, by wydać wyrok śmierci.

Wspólnie ocaliliśmy ponad 1200 koni. One otrzymały pomoc, bo wiele osób uznało, że to ich życie jest warte ocalenia. 2 września minie termin spłaty Jagody i jej malenkiego dziecka. One też mogą żyć, ale trzeba za to ich życie zapłacić. Prosimy z całego serca, pomóż je uratować. Pomóż, jeśli tylko możesz.

Możesz im pomóc dokonując darowizny z tytułem JAGODA na konto: PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350

ul. Wąbrzyńska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kłonał Mądrze
Regulamin: <https://centaurus.org.pl/kampania>





Syndrom sztokholmski – odmiana edu

Ostrożnie szacuje się, że zabraknie około 13 tys. nauczycieli.
Czy będzie miał kto uczyć nasze dzieci?

Beata Igielska

„Chcę, by pani wiedziała, że w poprzednich szkołach, które nienależycie zajmowały się moimi dziećmi, dyrektorzy i wicedyrektorzy łądowali na dywaniku u prezydenta miasta, a kuratorium tak ich skontrolowało, że nie mieli czasu na oddech. Dla swoich dzieci zrobię wszystko – usłyszałam od jednej z matek ostrzeżenie jakiś czas temu. Na szczęście zmieniła miejsce zamieszkania. Ale to obrazuje, jak działa machina. Po prostu nawet najmocniejsze skrzydła. Każdy, kto pracuje w szkole, wie, jak działają zbiurokratyzowane i nastawione na przylapanie dyrektora lub nauczyciela na jakimś niedociągnięciu kontrole. Najgorszy jest brak wsparcia w momencie konfliktu z roszczeniowym rodzicem. Dopiero po fakcie pocztą elektroniczną albo poprzez dziennik płyną deklaracje:

»jesteśmy z panią«, »jesteśmy oburzeni zachowaniem X«. Mają już wtedy jednak marginalne znaczenie, choć bez wątpienia są wsparciem», pisze na profilu facebookowym Iwona, dyrektorka szkoły.

„Dlatego nastąpiło zmęczenie materiału ludzkiego. Zjawisko roszczeniowych rodziców pięć lat temu zaczęło przyspieszać”, dopowiada Gabriela. Joanna zaś zauważa, że pandemia i jej skutki działają jak wyzwalacz w wielu sytuacjach. Nałożyły się na wszystkie inne problemy edukacji.

Jacek Brygman, wójt gminy Ciekocin, wiceprzewodniczący Związku Gmin Wiejskich i szef Konwentu Wójtów Gmin Wiejskich Województwa Kujawsko-Pomorskiego, twierdzi, że na wsiach zainteresowanie pełnieniem funkcji dyrektora szkoły lub placówki oświatowej jest niewielkie albo żadne. Za ogromną odpowiedzialnością nie idą bowiem odpowiednie pieniądze.

– Większość nauczycieli zmieniających pracę nie jest już w stanie zmagać się naporem pretensji i oczekiwań rodziców. Zmianę uważają więc za jakieś rozwiązanie, nawet tymczasowe – „do czasu aż...”. Im nie chodzi o pieniądze, chodzi o stres związany z wiecznymi popytkami z roszczeniowymi rodzicami. Nie chcą już wychowawstw, mówią, że to ponad ich siły. Nie chcą też nadgodzin, tylko goły etat, są umęczeni zdalnym nauczaniem, oczekiwaniami sfrustrowanych rodziców, którzy uważają, że „odwalają za nauczycieli robotę”. Nie chcą już pracować w kilku szkołach, mają dość dojazdów oraz związanych z nimi dodatkowych kosztów i straty czasu. Jeśli w ten sposób spojrzymy na zapas na nauczycielskim rynku pracy, może się okazać, że nie wynika ona z reform, dziwnych ruchów na górze, ale z postawy niektórych rodziców – punktuje dyrektorka warszawskiej

► szkoły, która ostatnio przeprowadziła wiele rozmów z nauczycielami w sprawie zatrudnienia. Wypowiada się pod warunkiem zachowania anonimowości. Zwraca uwagę, że są trzy grupy rodziców: ci, którzy są zawsze na „tak”, ci, którzy są zawsze na „nie”, i ogromna, milcząca większość – obojętni lub na tyle zapracowani, że nie mają czasu koncentrować się na szkolnym życiu dzieci.

Nauczyciel stał się chłopcem do bicia, na którym rodzice odreagowują stresy, niespełnione ambicje i problemy z dziećmi.

– Niepotrzebnie skupiamy się na tych na „nie”. Tracimy energię, zamiast walczyć o obojętnych i angażować ich w życie szkoły – mówi anonimowa dyrektorka. – Nauczyciel stał się chłopcem do bicia, na którym rodzice odreagowują stresy, niespełnione ambicje i problemy z dziećmi. „Nie mam podstaw nie wierzyć swojemu dziecku” – to częsty argument w sytuacji, gdy uczeń, który narozrabiał w szkole, przedstawia rodzicom zgoła inny scenariusz wydarzeń niż było w rzeczywistości. Nie wierzy się nauczycielowi. To frustrujące, bo stanowi o przegranej w wychowaniu, a za nie nauczyciele też czują się odpowiedzialni.

Podobnie myśli nauczycielka Ewa: – Problem rodziców w szkole nabrzmiewał od lat, od strajku. W pandemii przyspieszył. A że jest ucieleśnieniem stosunku całego społeczeństwa do oświaty – boli nauczycieli ogromnie.

Czy mogą więc dziwić braki kadrowe? Dotykają głównie miast. I to one na własną rękę będą zmagać się z problemem. Inaczej jest w gminach wiejskich. Tam, jak nauczyciel zacznie pracę, w jednej szkole dociągnie do emerytury. Chociaż... nawet w Podlaskiem dziś brakuje ponad 500 nauczycieli, mimo że tamtejszy rynek pracy nie oferuje zbyt atrakcyjnych zajęć.

Ostrożnie szacuje się, że zabraknie ok. 13 tys. nauczycieli. Tak wynika z publikowanych na stronach kuratoriów oświaty ofert pracy. Np. w mazowieckim kuratorium ofert jest 2772 (dane na 24 sierpnia), w śląskim i małopolskim po około 1,5 tys., w dolnośląskim grubo ponad tysiąc.

– Te 13 tys. ludzi nie oznacza 13 tys. etatów. Czasem brakuje

nauczyciela praktycznej nauki zawodu na cztery godziny, a czasem polonisty na 40 godzin, czyli trzeba zatrudnić dwie osoby. Z zawodu odchodzą ludzie z 30-letnim stażem pracy. Zazwyczaj wypowiedzenia lądowały w biurku dyrektorów w maju-czerwcu, teraz dzieje się to w sierpniu-wrześniu. Bo nagle ktoś znalazł zatrudnienie poza szkołą. Nigdy wcześniej to się nie zdarzało. Widzę dwie przyczyny

odchodzenia z zawodu: niska płaca – początkujący nauczyciel zarabia mniej niż minimalna krajowa i od stycznia trzeba będzie to zmienić, oraz ogólna atmosfera wokół szkoły. Minister Czarnek potrafi wyprowadzić z równowagi nawet stoika – mówi Sławomir Broniarz, szef Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Dyrektorzy leczą na oparach

– Sensowny dyrektor to podstawa, bo on jest pierwszym filtrem pomiędzy nauczycielem a światem. Jak jest zachowawczy, obawia się wszystkiego, w tym uczniów, rodziców i każdej kontroli, jego nerwowość wpływa na pracowników. Jak nie ma wizji, chęci rozwoju, ustalonej sensownie gradacji, to samo. Pytanie więc, jak dziś czują się dyrektorzy, jakie mają poczucie sprawstwa, a przez to, jakiego wsparcia mogą udzielić

spora część dyrektorów i nauczycieli. Nikt głośno nie mówi, ale po cichu i owszem, że z wszechobecnym stresem radzą sobie również za pomocą alkoholu i używek. Dramat? Znajomi nauczyciele zgodnie: – Narastała w nas frustracja od strajku. Potem była pandemia, a dziś jest Czarnek. Co gorsza, będzie lex Czarnek – zmiany prawne jak kubeł pomyj na szkolne głowy.

– Od strajku rządzący wypowiadali się o nauczycielach i dyrektorach jak o obcych. Nie lubią nas. Zapominają, że żadna firma nie funkcjonuje dobrze, jeśli jej szefostwo nie lubi się z pracownikami. Ci mają nie myśleć samodzielnie, mają za to wykonywać rozkazy. Czy można się dziwić, że ludzie się wypalają? – pyta retorycznie Pleśniar. – W dodatku rozpoczęła się wymiana dyrektorów na wielką skalę. Ci, którzy zostali, nie mają siły na skupienie się na edukacji, są zmęczeni. Resort zaś nie daje rozwiązań pro-jakościowych. Jeśli w życiu wejdziesz lex Czarnek, kurator stanie się prokuratorem. Dyrektor może zostać skazany nawet na pięć lat, gdy dziecko na terenie szkoły poniesie jakiegokolwiek uszczerbek na zdrowiu.

No właśnie. Resortowy kij jest obosieczny. Bo jednocześnie mruka się okiem do dyrektorów: szczerpie dzieci na terenie szkoły, bez udziału rodziców. A jak któreś dostanie zapadki, co wtedy? Jak w takiej atmosferze można się czuć dobrze? Więc dyrektorzy czują się zdemotywowani. Nauczyciele też. Ci, którzy mogą

Statystyczny polski nauczyciel jest panią mocno po czterdziestce.

swoim ludziom. Trochę więc jednak wpływ na to ma „to, co na górze”, stwierdza była urzędniczka MEiN.

Iwona: – Mam wrażenie, że kadra zarządzająca leci na oparach. Na rozmowy o pracę na stanowiska nauczycielskie zgłaszają się już dyrektorzy, którzy mają dość zarządzania szkołą w obecnym klimacie.

Oj, mają dość. Do tego stopnia, że Marek Pleśniar, dyrektor Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, na doroczny kongres dyrektorski zaprosił profesora psychiatrii z wykładem, jak zadbać o siebie, gdzie szukać pomocy, kiedy wprowadzić antydepresanty. Bo właśnie na antydepresantach leci

ucieć na emeryturę, robią to. Część ucieka na urlopy dla poratowania zdrowia, a część zacznie udzielać korepetycji. Młodzi do zawodu nie przyjdą, bo pieniądze marne, a prestiż żaden.

– Tak więc w nowy rok szkolny wchodzimy poobijani jak nigdy wcześniej. Od dwóch lat nikt nam dobrego słowa nie powiedział – podsumowuje nastroje w szkołach Pleśniar.

Minister edukacji pewnie nie wie, że jednym z następstw traumy jest syndrom sztokholmski, czyli rozpaczliwa próba uratowania części tożsamości poprzez stworzenie pozytywnego wizerunku oprawcy. Ofiara tworzy go, żeby nie cierpieć

non stop. Patrz: niektórzy nauczyciele i dyrektorzy.

Najlepsi odchodzą

Trudno spotkać dziś na szkolnych korytarzach nauczyciela stażystę. Młodzi nie chcą pracować za marne grosze. Przeraża ich perspektywa bycia w przyszłości kimś na kształt latającej pielęgniarki, ogarniającej pracę w kilku miejscach, żeby związać koniec z końcem. Statystyczny

Zazwyczaj wypowiedzenia łądowały na biurku dyrektorów w maju-czerwcu, teraz dzieje się to w sierpniu-wrześniu. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało.

polski nauczyciel jest panią mocno po czterdziestce, bliżej pięćdziesiątki. Fakt, to jeszcze nie ten kryzys co z pielęgniarkami, one mają średnio ok. 54 lat.

Co gorsza, najlepsi nie zagrzewają długo miejsca w polskiej szkole. Znikają, idą na swoje. Bo dyrektorzy bywają przecież różni, boją się karania, nacisków światopoglądowych. Szukają więc haków na niewygodnych i wybijających się nauczycieli, niebojących się głośno mówić o pewnych sprawach. Na branżowych grupach facebookowych co rusz przemyka post: „Odchodzę ze szkoły. I dobrze mi z tym”.

– Dziś ludzi niszczy się, rozmywają im poczucie sprawstwa i bezpieczeństwa. Zastrasza się. Pokazuje się: nic nie możecie. Już na strajku nauczycieli widać było, że rząd zna słabości środowiska nauczycielskiego i wie, jak łatwo nas zastraszyć. To nie przypadek, że wielu wybijających się nauczycieli dziś rzuca papierami. Jedna z moich przyjaciółek stwierdziła: jak bardzo świat jest chory, że tacy jak ty czy ja dla własnego zdrowia psychicznego muszą odejść ze szkoły – mówi pragnący zachować anonimowość znany i ceniony nauczyciel, któremu okres wypowiedzenia skończył się w sierpniu.

Przykre jest też to, że lex Czarnek jeszcze nie weszło w życie, a już działa nauczycielska autocenzura: „A co ja będę zabierał głos na temat demokracji czy edukacji seksualnej. Tylko po głowie dostanę”. Tyle że uczniowie pewne sprawy dostrzegają i z pewnością będą zadawać niewygodne pytania. Co wtedy?

Nowym powodem rzucania papierami stała się polityka edukacyjna Przemysława Czararka. Opowiadał nie tak dawno Sławomir Broniarz, jak to kilku jego znajomych, świetnych nauczycieli dyplomowanych, nominowanych do tytułu Nauczyciel Roku, pod koniec maja złożyło wypowiedzenia. Był zaskoczony, ale teraz już nie jest. Widzi, że problem będzie narastał, bo tu nie chodzi tylko o pieniądze, lecz także o ideologizującego ministra.

– U mnie czarę goryczy przełało podejście dyrektora do mojej pracy, której efekty znacząco przyczyniły się do awansu szkoły w rankingach. Nie dostałem nie tylko nagrody, ale nawet zwykłej ludzkiej pochwały na radzie pedagogicznej. Oficjalne komunikaty szkoły brzmiały tak, jakby moja praca z uczniami nie miała większego znaczenia dla sukcesu szkoły. W końcu trafiłem do psychiatry. Ten bez chwili wahania powiedział: „Proszę zapomnieć o pracy w tej szkole. Pan nie zasługuje na takie traktowanie”. Kiedy powiedziałem dyrektorowi, że

Teraz niemal jednoosobowo, już nawet nie siląc się na zachowanie pozorów, kuratorzy będą wybierać dyrektorów.

odchodzę, nie zatrzymywał nie. Moje koleżanki, zasłużone nauczycielki z międzynarodowymi sukcesami, też nie były zatrzymywane – mówi ów ceniony nauczyciel.

Jak czeski film: nikt nic nie wie

Praca w poradni psychologiczno-pedagogicznej jest niczym stąpanie po polu minowym. Pracownicy boją się efektu powrotu uczniów do szkół. Już w wakacje był widoczny skok liczby dzieci potrzebujących wsparcia psychologicznego. Nie wiadomo, jak rozwinie się pandemia, czy zajęcia będą się odbywać stacjonarnie, czy online. Problem też w tym, że nadal nikt nic nie wie na temat zapowiadanej reformy poradni i szkół specjalnych. Założenia do projektu zmian prawnych (70 stron) zniknęły ze stron ministerialnych. Były tam

zapowiedzi przekształcenia poradni w centra pomocy dziecka i rodzinie, a szkół specjalnych w centra edukacji włączającej. To mogłoby oznaczać zmiany w zatrudnieniu pracowników poradni. Przestaliby być nauczycielami zatrudnianymi na podstawie Karty nauczyciela, a staliby się tańszymi pracownikami zatrudnianymi przez samorząd.

– Przychodzą do mnie ludzie i pytają, czy będzie praca, a ja nie wiem, co odpowiadać. Nie wiadomo przecież, jakie będą warunki zatrudnienia. Jeśli chcą nas reformować, jestem w stanie przyjąć pewne rozwiązania, ale chcę wiedzieć jakie. Na razie przez rok możemy spać spokojnie, bo reforma nie zacznie się w tym roku szkolnym. Tyle że już dziś powinniśmy wiedzieć, w jakie pomoce wyposażą poradnię, jakie szkolenia zorganizować dla pracowników, żeby przydały się w przyszłości – mówi Ewa Zabłocka, dyrektorka Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 3 w Warszawie.

Inną sprawą jest to, jak zaczną funkcjonować szkoły masowe, gdy wrzucone zostaną do nich dzieci z dużymi deficytami, w pampersach, śliniace się. To byłby dramat dla nich, ich rodziców, ale też i pozostałych uczniów.

Jak by patrzeć, dzisiejszy kryzys kadrowy w oświacie jest pokłosiem polityki oświatowej rządów Rzeczypospolitej. Zaczęło się od minister Anny Zalewskiej i idzie lawinowo. Samorządy w tej chwili dokładają do oświaty 60%. Prowadzenie szkół jest zadaniem własnym, a mimo to kurator decyduje o organizacji sieci szkolnej. Teraz niemal jednoosobowo, już nawet nie siląc się na zachowanie pozorów, kuratorzy będą wybierać dyrektorów. A im bliżej początku roku szkolnego, tym bardziej walka o nauczycieli przybiera na sile. W Radomiu brakuje nawet katechetów świeckiego na kilka godzin. Co tam katechety, brakuje niemal wszystkich specjalistów: edukacji wczesnoszkolnej, pracowników świetlicy, polonistów, matematyków...

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Helena Kowalik

Religijny, dobrze wykształcony syn szanowanych rodziców rozmyślnie zabija rok po roku swoje dzieci, bo musiałby dla nich zmienić styl życia. Tak wynika z aktu oskarżenia napisanego z dużą wnikliwością.

Po wieczornej kąpeli pięciomiesięczny Adaś usypiał na rękach babci. Kiedy zamknął oczy, kobieta podała go zięciowi, aby zaniósł syna z kuchni do salonu, gdzie stał dziecinnie wózek. Kilka minut później usłyszała jego krzyk: „Zosiu, wypadł mi z rąk!”. Teściowa i matka dziecka wbiegły do pokoju. Przestłuchiwana później na policji Zofia K., żona Oskara K., zeznała: – Adaś leżał na podłodze. Nie oddychał, gwałtownie puchła mu główka. Mąż twierdził, że potknął się o dywan, który po praniu miał zadarty jeden z rogów. Ponoć syn konwulsyjnie się wygiął i saltem poleciał w tył. Próbował go złapać za nogi w śpioszka, ale dziecko się wysliznęło.

Nieprzytomnego chłopca pogotowie zawiozło do szpitala. Mimo intensywnej terapii nie udało się go uratować. W karcie chorego wpisano podejrzenie wystąpienia u małego pacjenta „zespołu dziecka maltretowanego”. Jeszcze przed sekcją zwłok ojciec Adasia wyznał lekarzom, że „być może przy reanimacji za bardzo uciskaliśmy na żebra”.

Następnego dnia Oskar K. wpisał do internetowej wyszukiwarki hasła: „ogłędziny miejsca zdarzenia”, „upuszczenie i śmierć dziecka”, „upadek i śmierć dziecka”, „sprawa Madzi z Sosnowca”.

Zawsze w obecności ojca

Mimo tak krótkiego życia Adaś K. nie po raz pierwszy był hospitalizowany. Pogotowie zabierało go kilka razy z powodu ogólnego zwiótnienia, zaburzeń w oddychaniu lub zachłyśnięcia się. W tym ostatnim wypadku, który zdarzył się kilka tygodni przed śmiercią, odessano mu z nosa bardzo dużo śluzu z domieszką krwi. Zofia K. powiedziała podczas wywiadu lekarskiego, że synka kładł do łóżeczka jej mąż. Tamtego wieczoru zaniepokoiła ją cisza w pokoju; zwykle Adaś przed snem gaworzył. Wbiegła do sypialni; zobaczyła, że dziecko leży obrócone buzią do poduszki.

PIĘTNO DZIECIOBÓJCZY cz. I



Kasia i Adaś mieli zaledwie po kilka miesięcy. Zanim dzieci zginęły, wiele wycierpiały

Kiedy odwróciła je na plecy, ułała się treść pokarmowa. Pogotowie, szpital. Po kilku dniach dziecko wróciło do domu zdrowe. Ale to nie był koniec kłopotów.

W trzecim miesiącu życia niemowlaka doszło do zatrzymania krążenia i ostrego niedotlenienia ośrodkowego układu nerwowego. Specjalistom w Centrum Zdrowia Dziecka nie udało się odkryć przyczyny tak poważnych zaburzeń.

Zofię K. prześladowały takie widoki: ona rozmawia ze swoją matką przez telefon. Oskar jest z synem w sypialni. Kiedy tam wchodzi, widzi męża stojącego nad dzieckiem z poduszką w rękach. Mały ma sine usta. – Bawiłem się z nim w „a kuku”. Wyjaśnia mężczyzna.

Inne wspomnienie: Oboje są z synkiem na spacerze. Ona wstępuje jeszcze do sklepu po jogurt, on wraca z dzieckiem do domu. Kiedy Zofia

wchodzi do mieszkania, Adaś jest siny, traci przytomność. „Przegrzał się”, mąż bagatelizuje sytuację. Ona jednak wzywa pogotowie, chłopczyk trafia do szpitala. Lekarze nie wiedzą, co spowodowało nagłe zatrzymanie krążenia. Na szpitalnym łóżku takie objawy nie powtórzyły się. Ale skutki incydentu w domu były poważne – ciężkie niedotlenienie mózgu.

Jakby wypadło z trzeciego piętra

Po śmierci Adasia szpital zawiadomił organy ścigania o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. W protokole policjanta opisującego okoliczności upadku dziecka Oskar K. czujnie skorygował określenie: „przewrócił się” na „potknął się”.

Zofia K. przestłuchiwana po raz pierwszy, nie miała żadnych podejrzeń co do zachowania męża. Pojawily się dopiero miesiąc później.

Zeznała wówczas, że usytuowanie wózka wykluczało, aby Oskar potknął się o przesunięty pod okno dywan. Kiedy mąż przenosił Adasia do salonu, niemowlę spało w pozycji wyprostowanej, nie mogło wypaść mu z rąk na skutek konwulsji.

Przesłuchana ponownie przedstawiła dokumentację z CZD, z której wynikało, że opuszczając klinikę, synek nie miał już tików nerwowych. Jej mąż o tym nie wiedział, gdyż rzadko odwiedzał tam dziecko.

Gdy zabierano Adasia do szpitala, jego ojciec pytał po co, skoro dziecka nie da się uratować.

Dla prokurator Mirosławy Chyr, bardzo dociekliwej, o czym będzie świadczył napisany później przez nią akt oskarżenia, niepokojące wydały się opinie służby zdrowia. Ratownicy z pogotowia zapamiętali, że kiedy zabierano małego pacjenta do szpitala, jego ojciec pytał po co, skoro dziecka nie da się uratować.

Diżurny lekarz w izbie przyjęć znał już małżeństwo K., gdyż wcześniej był przy śmierci ich pierwszego dziecka – trzymiesięcznej Kasi. Pediatrę zaskoczyła wtedy reakcja ojca niemowlaka. – Gdy przyjmowałem dziewczynkę do szpitala – zeznał – pan K. nie zgodził się, aby informacja o zakrztuszeniu się była opatrzona w wywiadzie moim komentarzem, że to nie pasuje do stanu zdrowia małej pacjentki. Walczyłem o to niemowlę, co godzinę je badałem. Pani K. była bardzo zdenerwowana, a jej mąż leżał na łóżku dla innych chorych i bał się telefonem.

Półtora roku później ten sam pediatrę przyjmował na oddział szpitalny Adasia. – Dziecko wyglądało tak, jakby wypadło z trzeciego piętra, a nie z rąk ojca. Pana K. irytowała decyzja o hospitalizacji syna, to się rzucało w oczy. Jego złość skupiła się później na pielęgniarkach – zeznał.

Gdy poszła do ludzi

Zofia K. wyznała w prokuraturze: Mąż odreagowywał złość w ten sposób, że rzucał meblami albo uderzał pięścią w ściany. Potrafił być okrutny. Jednomiesięczną Kasię zamknął w szafie i śmiał się, gdy dziecko zanosilo się płaczem. Do

dwuipółmiesięcznej córki krzyknął: „Zamknij się, suko”.

Znajdował dziwną przyjemność w psychicznym dręczeniu żony. Kiedy dyżurowała przy łóżku Adasia w Centrum Zdrowia Dziecka, przyniósł jej poduszkę z wizerunkiem zmarłej córki. Wiedział, że po stracie pierwszego dziecka nie mogła patrzeć na jego fotografie. Nie pomagał żonie dzień i noc czuwającej przy szpitalnym łóżku, w tajemnicy pojechał na obóz kondycyjny.

Kobieta opowiedziała ze szczegółami, jak to było z pierwszym dzieckiem. Kiedy Oskar dowiedział się, że jest w ciąży, chciał, aby usunęła. Byli wtedy jeszcze studentami, ale mogli liczyć na pomoc rodziców każdego z nich. K. przez kilka tygodni nękał narzeczoną telefonami, nakłaniał do kąpieli w gorącej wodzie, zamówił tabletki wczesnoporonne. Ona była zdeterminowana, aby urodzić. W październiku 2015 r. wzięli ślub, Kasia przyszła na świat trzy miesiące później.

Dopiero po śmierci Adasia Zofii K. zaczęły się układać w logiczny ciąg reakcje męża wskazujące na to, że chciał się pozbyć dzieci. Dochodziło bowiem do dziwnych wydarzeń, gdy zostawał sam z niemowlakami.

Jednomiesięczną Kasię Oskar K. zamknął w szafie i śmiał się, gdy dziecko zanosilo się płaczem.

Kiedyś powiedział żonie zajętej w drugim pokoju pisaniem pracy licencjackiej, że umyje naczynia. Była zaskoczona, nigdy tego nie robił. Poprosiła, aby robił to cicho, gdyż w kuchni spała Kasia. Po chwili usłyszała jej kaszel. Pobiegnęła zobaczyć, co się dzieje. Niemowlę leżało w łóżeczku i dusiło się, choć od karmienia upłynęło co najmniej pół godziny. Z buzi wypływała ślina z krwią. Oskar stał z boku. Nie wziął córki na ręce, co powinno być naturalnym odruchem.

Pogotowie zawiozło dziecko do szpitala z podejrzeniem zachłystowego zapalenia płuc. Dziewczynka była hospitalizowana przez 10 dni,

ani razu nie zakrztusiła się przy karmieniu. Do domu wróciła zdrowa.

Następnego dnia Zofia musiała jechać do sklepu w galerii Arkadia, aby oddać kupione tam spodnie. To był ostatni dzień na zwrot. Chciała, aby zajął się tym mąż, ale on nalegał, żeby „poszła do ludzi”, wszak przez wiele dni nie wychodziła z CZD.

Poza domem była dwie godziny. W tym czasie mąż wysyłał jej zdjęcia dziecka, narzekał, że Kasia marudzi. Równocześnie prosił, aby wstąpiła do innej galerii i kupiła mu ulubione soki.

Kiedy wróciła, zdziwiło ją, że drzwi do sypialni, wbrew zwyczajowi, były zamknięte. Mąż chciał, aby nim się zajęła. Zofia K. poszła jednak do łóżeczka. Zaniepokoiło ją, że koczek nie porusza się w rytm oddechu. Odstąpiła go – niemowlę było nieruchome, nie oddychało. Miało sine paznokietki.

Na krzyk żony, że Kasia nie żyje, Oskar K., twierdząc, że to niemożliwe, podniósł córkę. Z jej nosa ułata się krwawa wydzielina. Nim przyjechało pogotowie, oboje reanimowali niemowlaka. Nie pomogło, lekarz stwierdził zgon.

Po śmierci córki Zofia pytała Oskara, dlaczego nie zaglądał do dziecka. Tłumaczył, że zajął się odkurzaniem mieszkania.

W akcie oskarżenia prokurator tak skomentował zachowanie ojca Kasi: „Kiedy Oskar K. informuje przebywającą w galerii handlowej Zofię K., że dziecko źle się czuje, to przygotowuje

sobie wytłumaczenie na wypadek, gdyby po ujawnieniu zwłok ktokolwiek czynił mu zarzuty, że źle się opiekował córką. Nie powiedział żonie wprost, co się działo z dzieckiem podczas jej nieobecności. Kiedy dopytywała, za każdym razem zmieniał okoliczności. To było przemyślane, chciał uniknąć niewygodnego tematu, którego drażnienie poprzez dopytywanie się o szczegóły mogłoby ujawnić prawdę o zgonie dziecka. Zrazu K. chciał, aby prokurator oszczędził przesłuchania Zofii, mówił, że jest ona w złym stanie psychicznym”.

Inicjały stron procesowych oraz imiona poszkodowanych dzieci są zmienione.

Kiedy wczesną wiosną zeszłego roku ówczesny minister zdrowia podejmował decyzję o tym, że z powodu pandemii lekarze będą udzielać porad wyłącznie przez telefon i że wstrzymuje się diagnostykę, musiał mieć świadomość, że dla wielu chorych oznacza to wyrok śmierci. Dziś wiemy, że śmiertelność z powodu chorób onkologicznych jest wyższa niż w latach poprzednich.

W ubiegłym roku zmarło o prawie 68 tys. osób więcej niż w roku 2019. Z tej liczby z powodu covidu śmierć poniosły 41 442 osoby. Zatem z powodu innych chorób odeszło ponad 26 tys. osób więcej niż w 2019 r. Część z nich zabił rak. Zwykle jest on powodem zgonu co czwartego Polaka. Jak wynika z danych urzędów stanu cywilnego, w ciągu 28 tygodni 2021 r., czyli do połowy lipca, zmarło 285 tys. osób. I była to liczba o 61 tys. wyższa niż w tym samym okresie w roku 2020. Czyli nadmiarowa śmiertelność rośnie.

Armagedon

Od początku pandemii onkologowie sygnalizowali, że ograniczenia spowodowane covidem spowodują wzrost śmiertelności na nowotwory złośliwe. Takie przeświadczenie miał prof. Cezary Szczylik, ordynator Oddziału Onkologii w Europejskim Centrum Zdrowia Otwock, założyciel i prezydent Fundacji Onkologii Doświadczalnej i Klinicznej. – Kartę DiLO (Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego – przyp. ESB), która informuje o podejrzeniu nowotworu złośliwego, wystawia lekarz pierwszego kontaktu – wyjaśnia Cezary Szczylik. – Ale jak on miał wystawić taką kartę, jeśli nie widział chorego? Poza tym zgłaszalność ludzi na badania przesiewowe była mała. Na mammografię nie zgłosiło się w zeszłym roku 90% kobiet. Podobnie było w wypadku chorych na raka. Ci z niewielkim zaawansowaniem raka płuca, piersi czy jelita grubego nie zgłaszali się na leczenie. W niektórych województwach zgłaszalność wynosiła jedynie 10-20%. Już w ubiegłym roku mówiłem, że czeka nas armagedon. W 2021 r. mamy 160-170 tys. nowych zachorowań na



ODCHODZĄ

Na raka umiera więcej osób niż przed pandemią, a będzie jeszcze gorzej

raka. Do tego dochodzą ci, u których jeszcze raka nie wykryto. Pandemia pogrążyła system opieki zdrowotnej, obnażyła wszystkie jego słabości. Już wcześniej poziom profilaktyki był u nas niższy niż w krajach Zachodu, byliśmy opóźnieni o jakieś 10-20 lat. W zeszłorocznym raporcie NIK dotyczącym diagnostyki patomorfologicznej znalazło się wiele zastrzeżeń do sytuacji tej diagnostyki w Polsce.

W raporcie stwierdzono, że „w latach 2017-2019 Minister Zdrowia, mimo podejmowanych działań nie zapewnił pełnej dostępności dobrej diagnostyki patomorfologicznej”. Prof. Szczylik zwraca także uwagę na problemy kadrowe w onkologii: – W tej chwili średni wiek chirurgów onkologów wynosi 58 lat, a pielęgniarek – 52 lata. Tymczasem wykształcenie chirurga trwa 10 lat. Ponieważ pensje stażystów są marne, a droga kształcenia trudna, cały czas występują niedobory kadrowe. W chwilach rozpaczy mówi się o chirurgach z Kazachstanu. Powstało wprawdzie Centrum Medyczne

Kształcenia Podyplomowego i to jest nadzieja dla naszej ochrony zdrowia. Ale na ochronę zdrowia powinniśmy przeznaczać 8% PKB.

Kolejka jest i znika

Najgorsze są weekendy. Nie wiadomo dlaczego. Bywa, że w weekend odchodzą nawet trzy osoby. Ktoś może powiedzieć, że nic w tym nic dziwnego, skoro mówimy o hospicjum. A jednak to zdumiewa i przygnębia. Bo od lat Fundacja Hospicjum Onkologiczne św. Krzysztofa w Warszawie, podobnie jak inne hospicja w kraju, walczy o to, by przekonać ludzi, że w tym miejscu nie myśli się o odchodzeniu, ale o tym, żeby zapewnić pacjentom jak największy komfort życia.

Pandemia to czas szczególny. Kiedyś do opieki hospicyjnej trafiali pacjenci w stosunkowo dobrym stanie. Opieka nad nimi trwała miesiące, a nawet lata. Znaczna część nowych pacjentów to ofiary pandemii. Nie dlatego, że chorowali na covid, ale dlatego, że kiedy służba zdrowia

Kiedy jest ładna pogoda, rehabilitację pacjentów hospicjum stacjonarnego można prowadzić na zewnątrz.

– decyzją samego ministra – koncentrowała się na koronawirusie, ich dolegliwości zostały przeoczone lub zbagatelizowane. W rezultacie w momencie diagnozy choroba była już w stanie zaawansowanym. Na dodatek do problemów wynikających z utrudnionego dostępu do opieki medycznej i zawieszanej diagnostyki dołączył lęk przed covidem. W rezultacie ludzie unikali lekarza, ograniczając liczbę wizyt do minimum. Zdarzało się także, że z powodu tego lęku zdiagnozowani pacjenci rezygnowali z wcześniej zaplanowanych wizyt w przychodniach onkologicznych lub z zabiegów. – Koronawirus zmienił nasze życie, pandemia odcisnęła piętno na nas wszystkich – mówi Beata Kalinowska, p.o. koordynatorka opieki domowej w Hospicjum Onkologicznym św. Krzysztofa w Warszawie.

Beata Kalinowska mówi, że jedna z jej pacjentek ma skierowanie na USG i do tej pory z lęku przed zakażeniem nie wybrała się na badanie, twierdząc, że... poczeka do przyszłego roku. Wielokrotnie sam pacjent albo rodzina wzywali pomoc dopiero, kiedy pojawiły się nagle takie objawy jak krwotoki, duszność, utrata przytomności czy udar. W rezultacie nierzadko pacjent kwalifikował się jedynie do hospicjum. Bo wstępna diagnoza brzmiała: rozsiew choroby nowotworowej. Ale również z rozpoczęciem domowej opieki hospicyjnej rodziny zwlekały, bojąc się pandemii. Ludzie mówili: „Po co pielęgniarka będzie mi się pałętać po domu”.

W tej chwili pod opieką hospicjum domowego jest 110-120 pacjentów. Rodzina, wspomagana przez personel z hospicjum, opiekuje się chorym tak długo, jak długo jest w stanie podołać. Przed pandemią podopiecznych było nawet do 140. Ale to nie znaczy, że mniej osób wymaga opieki hospicyjnej. Mniej jest personelu, bo praca – i tak niezwykle trudna i obciążająca psychikę – stała się dla niektórych ponad siły.

– Często pod naszą opiekę trafiały osoby, które były już w bardzo złym stanie, nawet prawie agonalnym – mówi Kalinowska. – Zdarzało się, że zanim lekarz z hospicjum przyszedł do chorego na pierwszą wizytę, chory

już nie żył. Bywało, że nasza pani doktor była na pierwszej wizycie w domu pacjenta, a kilka godzin później jechała ponownie, żeby stwierdzić zgon. Przed pandemią sytuacja nie wyglądała tak tragicznie jak teraz, bo chorzy nie byli w tak zaawansowanym stadium choroby.

O śmierci, która nawet w hospicjum nie jest codziennością, mówi się tu coraz częściej. Ale głównie dlatego, że chorzy odeszli, zanim personel zdążył objąć ich opieką. Niedawno z pobliskiego Narodowego Centrum Onkologii przybył z opiekunem pacjent, który chciał być objęty opieką hospicjum domowego. Okazało się, że jest samotny, ma rozsianego raka wątroby, a ze względu na trudną sytuację materialną żywi się... zupkami chińskimi. Ubóstwo nie do wyobrażenia. Koordynatorka przekonała go,

były zdrowe, kiedy zaczęła się pandemia, a kilka miesięcy później okazuje się, że mają zaawansowaną chorobę onkologiczną? – W hospicjum domowym mamy trzy czwarte takich pacjentów – wyjaśnia Beata Kalinowska. – 47-letnia chora miała w pracy atak padaczkowy. Wezwano pogotowie, trafiła do szpitala. Wcześniej pobołowała ją głowa, ale nic poza tym. Okazało się, że ma raka rozsianego od stóp do głów. Przerzuty z raka jajnika. Inny przykład: chora w wieku 50 lat trafiła do szpitala z udarem. Okazało się, że ma raka płuc, który jest rozsiany wszędzie. Często udar jest pierwszym objawem choroby nowotworowej. Mąż, kiedy zgłaszał ją do hospicjum domowego, powiedział, że właśnie mieli być w Libii na urlopie. Jeśli byłaby dostępność do lekarza, to może inaczej by to wyglądało?

Onkolodzy sygnalizowali, że ograniczenia spowodowane covidem będą skutkować wzrostem śmiertelności na nowotwory złośliwe.

że powinien przyjść do ich hospicjum stacjonarnego, będzie tu miał i opiekę, i rehabilitację, i odpowiednią dietę. Niestety, następnego dnia przyjaciel tego pana poinformował, że pacjent zmarł. Nie doczekał wizyty lekarza z hospicjum.

Beata Kalinowska zna wielu pacjentów hospicjum domowego, bo jako pielęgniarka bywa u nich w domach. Zna dramatyczne historie. – Jesteśmy pierwszą placówką, z którą stykają się osoby z niepomyślnym rokowaniem – mówi. – W szpitalu dowiadują się: „Nie możemy nic dla pana zrobić”. I otrzymują skierowanie do hospicjum.

Zapamiętała wielu pacjentów. – Proszę sobie wyobrazić sytuację osoby z zaawansowanym guzem mózgu, która nie jest w stanie niczego ogarnąć i niczego przekazać rodzinie – wyjaśnia. – Na karcie wypisowej ze szpitala dostaje e-skierowanie. Rodzina nie wie, jak podawać leki, co robić. W miarę operatywna rodzina sobie poradzi, choć z trudem. Ale jeśli pani w wieku 80 lat opiekuje się mężem chorym na raka, jest totalnie zagubiona, przerażona. Na szczęście ta pani zadzwoniła do nas i jeszcze tego samego dnia była u niej lekarka z hospicjum.

Jak często się zdarza, że pod opiekę hospicjum trafiają osoby, które

Ewa Magierska-Kaźmierczak odpowiada za funkcjonowanie oddziału stacjonarnego. Tu też coraz częściej ocierają się o śmierć. Ale głównie dotyczy ona potencjalnych pacjentów. W przypadku pacjentów przyjętych pod opiekę przed pandemią, choroba zazwyczaj została wychwycona na początkowym etapie, szybko zostało podjęte leczenie, więc często po kilkumiesięcznym lub kilkutygodniowym pobycie w hospicjum wychodzą do domów.

W hospicjum stacjonarnym są 33 miejsca. Obecnie nie ma kolejek osób oczekujących na miejsce, choć przed pandemią były wielomiesięczne. To nie znaczy, że chętnych jest mniej, ale że wielu pacjentom nie zdążą pomóc. – Dziś miały przyjechać dwie nowe pacjentki – mówi Ewa Magierska-Kaźmierczak. – Pierwsza to właśnie ta pani, która miała z mężem spędzać urlop w Libii. Była pod opieką naszego hospicjum domowego, ale jej stan się pogorszył. Miała przejść do hospicjum stacjonarnego. Druga kobieta w piątek wyszła ze szpitala. Powiedziała nam, że weekend chciałaby spędzić z rodziną. Dziś obie rodziny zadzwoniły, że kobiety zmarły. Trzy dni temu osobom pytającym o miejsca w naszym hospicjum mówiliśmy, że kolejkę oceniamy na około

▶ trzech tygodni. Dziś okazało się, że kolejki nie ma... Jutro ma się zjawić następny pacjent, który teraz czeka na wynik testu covidowego. Mam nadzieję, że do nas dotrze.

Czy są pacjenci, którzy skarżą się, że zawiodła służba zdrowia? – Wszyscy tak mówią – twierdzi Beata Kalinowska. – Trzy czwarte telefonów dotyczy tego, że nikt nie chce się nimi zajmować. Mówią: „Proszę pani, o POZ niech pani zapomni, nie ma mowy w ogóle...”. Gdyby służba zdrowia funkcjonowała normalnie, można byłoby chorobę rozpoznać znacznie wcześniej i zadziałać agresywniej. Im wcześniej wykryta choroba nowotworowa, tym większe szanse chorego – każdy onkolog to pani powie.

– Sądzę, że ofiary utrudnionego dostępu do służby zdrowia zobaczymy być może pod koniec roku – mówi Ewa Magierska-Kaźmierczak. – Wielu ludzi nie jest zdiagnozowanych, nie ma świadomości, że są chorzy. Jeszcze nie wiedzą, że chodzą z nowotworem rozwijającym się w organizmie.

Mniej rozpoznań, więcej zgonów

W lipcu tego roku opublikowano raport „Wpływ pandemii Covid-19 na system opieki onkologicznej”, który powstał w Narodowym Instytucie Onkologii na zlecenie ministra zdrowia. Raport potwierdził, że sytuacja w onkologii jest gorsza niż przed pandemią.

Jak wynika z raportu, jeśli już pacjenci trafili do placówki onkologicznej z podejrzeniem nowotworu, byli diagnozowani szybko, a leczenie było rozpoczynane terminowo. Ale problemy pojawiły się na wstępnym etapie choroby, czyli przed zdiagnozowaniem raka. Raport wskazuje, że w ubiegłym roku nastąpił znaczny spadek liczby kart szybkiej diagnostyki onkologicznej, czyli DiLO, wystawianych przez lekarzy POZ, i sięgał on w zależności od typu nowotworu od 10 do 20%. Liczba rozpoznań nowotworów złośliwych zmniejszyła się o 20%. Zmniejszyła się liczba badań profilaktycznych. Ponieważ część oddziałów onkologicznych w mniejszych ośrodkach przekształcono w oddziały covidowe, liczba operacji onkologicznych spadła o 10-15%.

Umieralność pacjentów z chorobami onkologicznymi wzrosła, mimo że liczba rozpoznań chorych na nowotwory zmalała. Może to świadczyć o większym zaawansowaniu nowotworów w momencie rozpoznania. Jeśli chodzi o nowotwory złośliwe układu oddechowego i klatki piersiowej, czyli nowotwory z grupy C, to przed pandemią po 120 dniach od diagnozy prawdopodobieństwo przeżycia wynosiło ponad 68%, a w czasie pandemii spadło do poniżej 64%. W wypadku tych nowotworów spadek przeżycia był największy. W wypadku innych prawdopodobieństwo przeżycia spadło mniej: o 4% dla nowotworów złośliwych kości i chrząstki stawowej, o 3,4% dla nowotworów oka, mózgu i innych części ośrodkowego układu nerwowego. Autorzy raportu stwierdzają wprawdzie, że opóźnienia w diagnostyce mają niewielki wpływ na wczesne przeżycia chorych, ale nie wykluczają, że dla niektórych nowotworów efekt może wystąpić z opóźnieniem. Wśród pacjentów, którzy byli leczeni w latach 2020-2021 z powodu nowotworu z grupy C w okresie od 1 stycznia 2020 r. do 31 marca 2021 r. było 144 tys. zgonów. Jedynie 3,9% tych zgonów było spowodowane przez covid albo covid przyczynił się do śmierci.

Z powodu pandemii nastąpił znaczny spadek liczby chorych z rozpoznaną chorobą nowotworową, których skierowano do ambulatoryjnej opieki specjalistycznej lub do szpitala. Według raportu wczesne dane

z 2021 r. wskazują, że liczba rozpoznawanych nowotworów wzrosła i osiągnęła poziom z 2019 r. Podobnie zwiększyła się do poziomu z roku 2019 liczba wydawanych kart DiLO. Ocenia się jednak, że część pacjentów ma niestety bardziej zaawansowane stadia nowotworów, niż to było w roku 2019.

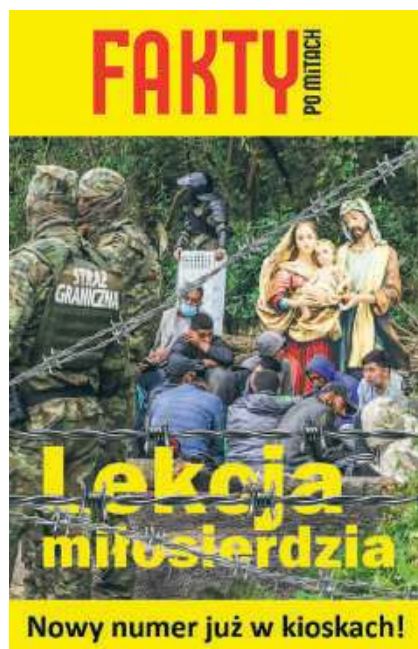
– Nasze dane dotyczące wpływu pandemii na system opieki onkologicznej i liczbę rozpoznań onkologicznych nie odbiegają od tych, które raportowano z kilku krajów Europy Zachodniej – wyjaśnia prof. Piotr Rutkowski, wicedyrektor Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowego Instytutu Badawczego, do końca 2019 r. funkcjonującego jako Centrum Onkologii.

– Zmniejszenie liczby rozpoznań nowotworów odnotowano we wszystkich krajach w okresie pandemii, ale nie ma nadumieralności chorych na nowotwór z powodu covidu z wyjątkiem chorych na raka płuca, co jest związane przyczynowo z wirusem SARS-CoV-2.

Narodowy Instytut Onkologii jest największą w kraju placówką leczącą chorych na raka i w czasie pandemii nie przerwał działalności.

– W Narodowym Instytucie Onkologii nie dostrzegamy jakiegoś wzrostu liczby pacjentów, raczej jest to powrót do stanu sprzed pandemii, czyli do liczby pacjentów z 2019 r. – wyjaśnia prof. Rutkowski. – Natomiast niewątpliwie są to częściej niż w 2019 r. pacjenci z bardziej zaawansowaną formą nowotworu, którzy nie zgłosili się wcześniej do lekarza, nie dostali skierowania. Pyta pani, czy za zwiększenie umieralności winę ponosi zapas służby zdrowia. Z takim postawieniem sprawy, przynajmniej w mojej dziedzinie, onkologii, i w przypadku Narodowego Instytutu Onkologii, nie mogę się zgodzić. NIO przez całą pandemię pracował, przyjmował pacjentów, każdy pacjent, który się do nas zgłosił, znalazł opiekę. Spadek liczby pacjentów w NIO w roku 2020 był stosunkowo niewielki. Liczba przeprowadzonych operacji była w zasadzie na prawie identycznym poziomie jak w 2019. Choć nie można powiedzieć, że pandemia nie miała wpływu na system opieki zdrowotnej. Miała, i to bardzo duży.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl



Janusz Rolicki

Czy wrzesień mógł być lepszy?

Rocznica największej klęski w polskiej historii

Miesiąc, w którym szóste co do wielkości, a zarazem potencjału ludnościowego państwo w Europie, znika z dnia na dzień z mapy, musi skłaniać do refleksji i wszechstronnych analiz. Na naszą klęskę złożyło się wiele elementów, takich jak geopolityka, słabość gospodarcza, karygodne błędy marszałka Piłsudskiego, który w czasie swoich dziewięcioletnich rządów dyktatorskich wyszykował nam armię dobrą do walki w roku 1914, lecz nie w 1939. Na końcu doszły jeszcze błędy dyplomatyczne i polityczne rządzącego Polską trójkąta: prezydenta Mościckiego, marszałka Rydza-Śmigłego i ministra Becka, które sprawiły, że pół roku przed wojną straciliśmy w gruncie rzeczy swoją podmiotowość i staliśmy się krajem w 100% uzależnionym od aliantów.

Jak wpadliśmy w pułapkę?

Po katastrofie monachijskiej było jasne, że Hitler na zaborze Czechosłowacji nie zakończy swoich podbojów i sięgnie po kolejne ofiary. Jesienią państwo Masaryka i Beneša znalazło się w stanie rozkładu. Jej sąsiedzi, w tym Polska zaspokojona już przyłączeniem Zaolzia, Spisza i Orawy, liczyli na kolejne zdobycze. Przodowali w tym Węgrzy, którzy pomagali się dla siebie Słowacji i Rusi Zakarpackiej. Było to w sprzeczności z niepodległościowymi ambicjami księdza Tisy na Słowacji i księdza Wołoszyna na Rusi. O wszystkim miał zdecydować Hitler, który już w październiku 1938 r. skłaniał się ku uderzeniu w następnym roku na Francję. Pokonanie tego kraju, uważanego za największą potęgę Starego Kontynentu, miało mu dać swobodę w urządzeniu na nowo Europy. W jego zaborczych planach kluczową rolę odgrywała wówczas Polska, związana sojuszem z Francją. Było wiadomo, że pozostawienie sojuszu tych państw w stanie nienaruszonym skomplikuje jego podboje na zachodzie. Polska zdaniem Hitlera miała jeszcze tę zaletę, że blokowała wszelkie próby włączenia Związku Radzieckiego do działań wojennych w Europie.

W tej sytuacji na życzenie Rzeszy 24 października 1938 r. dochodzi do



Demonstracja w Warszawie po wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Anglię i Francję, 3 września 1939 r.

rozmowy ministra Joachima Ribbentropa z polskim ambasadorem Józefem Lipskim. Minister niemiecki zgłasza w niej życzenie powrotu Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy i zgody Polski na budowę eksterytorialnej szosy z Rzeszy do Prus Wschodnich. W zamian za to Niemcy obiecują deklarację potwierdzającą wzajemne granice polsko-niemieckie – nie było takiej deklaracji w Rapallo – a także przedłużenie o 25 lat układu o nieagresji z Polską.

31 października minister Beck ustami swojego ambasadora odpowiada „nie” na aneksję Gdańska i propozycję budowy autostrady. Ribbentrop na to nie reaguje agresją, jest zachowawczy i ustala, że dalsze rozmowy – tym razem już z ministrem Beckiem – przeprowadzone zostaną z kanclerzem

Hitlerem. Termin ich obie strony ustalają na 4 stycznia 1939 r. Beck pojawia się u Hitlera w Obersalzbergu. Hitler jest wobec niego pojednawszy, nie naciska w sprawie Gdańska ani szosy, zapewniając, że w obu tych sprawach nie będzie ze strony Niemiec żadnych faktów dokonanych. Za to *Führer* rozwodzi się na temat wojny z Sowietami i podkreśla, że każda polska dywizja użyta w tym konflikcie to zaoszczędzona dywizja niemiecka. A liczbę tych dywizji ocenia na 60. Wobec sztywności i nieustępliwości w rozmowie płk. Becka, do spraw wzajemnej polityki oba kraje mają powrócić 24 stycznia w dniu wizyty Ribbentropa w Warszawie. W trakcie dwudniowych rozmów minister Rzeszy wypowiada znamienne słowa: „Jest pan tak uparty w sprawach morskich, a przecież Morze

► Czarne jest także morzem". Ponadto sugeruje Polsce przystąpienie do Paktu Antykominternowskiego wraz z Rzeszą, Włochami i Japonią. Polskie „nie” w sprawach zasadniczych skłania Ribbentropa do zasugerowania Hitlerowi zmiękczenia Polski kilkoma rozwiązaniami politycznymi podjętymi na południe od jej granic. W tym celu Hitler decyduje się na zajęcie 15 marca 1939 r. Pragi oraz całych Czech i Moraw, które stają się protektoratem niemieckim, a także utworzenie *quasi*-niepodległej Słowacji. Następnie, co niemniej ważne, oddaje Ruś Zakarpacką Węgrom. Oznacza to rezygnację z utworzenia

zakup sprzętu wojskowego. Niestety, do podpisania samego traktatu, jak i udzielenia pożyczki, doszło dopiero 25 sierpnia 1939 r., a więc w przededniu samej wojny. Te tak potrzebne funty były więc musztardą po obiedzie.

Skazani na Francję i Anglię

Z dniem wypowiedzenia przez Hitlera Traktatu o nieagresji z Polską i uruchomieniu przez niego licznych agresji lokalnych, a także napastliwych tekstów prasowych i not dyplomatycznych, którym w sferze politycznej towarzyszyły wzajemne

współzycie z Polską, aby najpierw wystąpić zbrojnie przeciwko Zachodowi...”, „Stało się jasne dla mnie, że Polska nas zaatakuję w razie konfliktu naszego z Zachodem”, natomiast 23 maja w formie dyrektywy stwierdził: „Głównym zadaniem polityki niemieckiej na najbliższą metę jest izolowanie Polski”. I to izolowanie, dodajmy na marginesie, zaowocowało we Francji hasłem: „Nie będziemy umierać za Gdańsk”.

W tym okresie Polska, bez żadnej przesady, stała się obsesją dyktatora Niemiec. Wyjaśnia to jego spolegliwość wobec życzeń Stalina. Rozmiary tych ustępstw odegrały następnie kluczową rolę w pierwszych miesiącach wojny radziecko-niemieckiej. W tamtych dniach Hitler odwrócił praktycznie sugerowane przez siebie sojusze. Najpierw oferował Polsce zabór Ukrainy, a po polskim „nie” Stalinowi granicę na Wiśle. Jego ustępliwość wobec Kremla za cenę zniszczenia Polski jeszcze jesienią sprawiła, że Moskwa oprócz połowy Polski – a pierwotnie granica między obu zaborami miała nieomal być na warszawskiej Pradze – otrzymała hitlerowską zgodę na inkorporację Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Bukowiny Północnej i Besarabii. Łącznie z nabytkami Stalina w Finlandii, której w całości nie udało mu się zhołdować w wojnie zimowej, stanowiło to obszar prawie 500 tys. km kw. Ten pakt z Hitlerem, wywracając do góry nogami mapę Europy Wschodniej, *nolens volens* pokazał kluczową rolę polityczną Polski w regionie. Bez niej ta część kontynentu miała przemienić się w *Pax sovietica*.

Nasuwa się więc pytanie, czy nasza bezwarunkowa lojalność wobec brytyjskich zapewnień i sojuszy nie była błędem? Czy nie należało grać

Marszałek Piłsudski wyszykował nam armię dobrą do walki w roku 1914, lecz nie w 1939.

z tego skrawka Ukrainy państewka na wzór ukraińskiego Piemontu, wymierzonego przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Był to pierwszy życzliwy krok Niemiec w stosunku do Stalina; miał on 23 sierpnia doprowadzić do sojuszu obu imperiów. Uzupełniającym elementem okrążania Polski, którego celem ostatecznym miała być jej wasalizacja, stało się zajęcie 21 marca litewskiej Kłajpedy i natychmiastowe włączenie jej do Rzeszy.

Pokawałkowanie Czechosłowacji, kompletnie sprzeczne z umową zawartą w Monachium, skłoniło premiera Chamberlaina do przeciwdziałania polityce Hitlera. Owocem tej decyzji było niespodziewane złożenie oferty gwarancji brytyjskich dla Polski i Rumunii. Beck spytany przez ambasadora Howarda Kennarda, czy Polska zgodzi się na to, aby premier Neville Chamberlain 31 marca, w czasie comiesięcznych odpowiedzi na pytania posłów w Izbie Gmin, zapowiedział gwarancje brytyjskie dla Polski, odpowiedział na to bardzo pozytywnie, uskrzydłony dokonującym się właśnie spełnieniem jego zobowiązania wobec marszałka Piłsudskiego o zawarciu sojuszu z Anglią. Następnie Londyn zgodził się na szybki traktat sojuszniczy z Polską, zapowiedziany formalnie 6 kwietnia w czasie błyskawicznej wizyty ministra Becka na Wyspach. Przy okazji Wielka Brytania zapowiedziała udzielenie Polsce wielomilionowej pożyczki w funtach. Miała ona umożliwić

umizgi Rzeszy wobec ZSRR, Polska praktycznie straciła swoją podmiotowość. Stała się krajem bez możliwości jakiegokolwiek manewru politycznego. Tym samym została skazana na Francję i Anglię. Więcej, stała się, chcąc nie chcąc, wasalem tych państw. Rozmowy ministra spraw wojskowych Tadeusza Kasprzyskiego, płk. Józefa Jaklicza oraz innych przedstawicieli Wojska Polskiego na temat współpracy militarnej w czasie nadchodzącej wojny były coraz trudniejsze i tylko fantasi mogli przypuszczać, że zachodnie mocarstwa w trakcie agresji niemieckiej będą z całą powagą traktować polskie życzenia i interesy.

Natomiast Hitler, urażony polską odmową zapewnienia naszemu krajowi przez Niemcy już nie sojuszu, ale choćby tylko neutralności w przyszłej wojnie, postanowił swoje kolejne uderzenie zbrojne skierować na wschód, a nie na zachód.

Czy nie należało grać i z Hitlerem, i z Zachodem w kotka i myszkę? Nie tylko im ulegając, ale także wzajemnie ich rozgrywając.

W ten sposób polska polityka i zawierane sojusze dały Brytyjczykom rok zbawiennego oddechu, który tak dobrze wykorzystali. Bez tej prolongaty niemieckiego uderzenia na Francję pozbawieni w gruncie rzeczy samolotów Anglicy przegraliby wojnę. Podczas odpraw z generałami Hitler swoje decyzje wyjaśniał wprost: „Pragnąłem ustalić możliwe

i z Hitlerem, i z Zachodem w kotka i myszkę? Nie tylko im ulegając, ale także wzajemnie ich rozgrywając. Dziś, gdy wiemy, jak haniebnie zostaliśmy potraktowani przez zachodnich sojuszników, o odpowiedź nie jest trudno, ale przecież powinniśmy wiedzieć, że ludzie kierujący naszym państwem od wielu lat powinni byli przewidzieć, że gwarancje brytyjskie



Grupa jeńców cywilnych i wojskowych z kampanii wrześniowej.

były warte tyle, ile papier, na którym zostały napisane. Armia lądowa Jego Królewskiej Mości w marcu-kwietniu 1939 r. była w gruncie rzeczy słabsza od polskiej. To samo dotyczyło brytyjskiego lotnictwa. Stąd Anglia wówczas mogła nam pomóc jedynie ułotkami zrzuconymi we wrześniu na pogranicze niemiecko-francuskie. Natomiast Francja, tak jak dzisiejsi Afgańczycy, nie chciała walczyć – jak uważano – za Polskę... To, że staliśmy się kłopotliwym klientem, zawdzięczaliśmy jednak głównie samym sobie. Zbyt łatwo i pochopnie pokazaliśmy własną słabość militarną, stając się przez to niewygodnym aliantem.

Nie było jak się bronić

A teraz kilka słów o wojskowej stronie września 1939 r. Jest jasne, że Polska, skrojona z najbiedniejszych w gruncie rzeczy części trzech zaborczych imperiów, była za biedna, aby po 20 latach wystawić silną armię. Ale mimo wszystko, gdyby nie dyktatura Piłsudskiego armia ta mogła być lepsza. Przypomnę, że gen. Władysław Sikorski jeszcze przed Hansem Guderianem ogłosił w latach 20. książkę, w której dowodził, że kolejna wojna będzie prowadzona nie z grzbietów końskich, ale zza pancerzy stalowych tanków. O sile armii, jak zapewniał, będą stanowiły konie mechaniczne, a nie karmione sianem. Tymczasem

opracowanie to, jak i poglądy Sikorskiego, nie trafiły do przekonania dyktatora, który mimo że na potrzeby wojska rokrocznie brał arbitralnie aż 27% PKB, zostawił armię absolutnie nieprzygotowaną do stawienia oporu. Na stanie etatowym tej armii było aż 40 pułków kawalerii, a nie było czołgów, dział pancernych i samolotów. Dopiero

Gwarancje brytyjskie były warte tyle, ile papier, na którym zostały napisane.

po śmierci dyktatora jego następcy zaczęli się przymierzać do ratowania sytuacji. I tak w 1936 r. rozpoczęto budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, którego dziełem miały być armaty, czołgi i samoloty. Niestety, we wrześniu mieliśmy jedną brygadę pancerną generała, a wtedy pułkownika dyplomowanego, Stanisława Maczka, późniejszego zwycięzcy spod Falaise. Samolotów mieliśmy tyle, co kot napłakał. Dodatkowo plan obrony Polski zakładał, że wystawimy 1,6 mln żołnierzy, głównie piechoty. Niestety, z Niemcami walczyło w 1939 r. tylu żołnierzy, co w roku 1920. A to z winy sojuszników. Otóż po zawarciu 25 sierpnia traktatu brytyjsko-polskiego stało się jasne, że po ataku Niemiec na Polskę Anglicy i Francuzi wypowiedzą wojnę Hitlerowi. I wtedy to, podobnie jak rok wcześniej, dyktator Włoch Benito

Mussolini wystąpił z ofertą ostatnich rokowań pokojowych. Na co zareagowali nasi sojusznicy; ambasadorowie Anglii i Francji wystąpili do Becka o wstrzymanie mobilizacji powszechnej w Polsce. Rząd polski już wówczas w gruncie rzeczy bezwolny – sojusznicy stanowili naszą ostatnią nadzieję – na to przystał i tysiące rekrutów nie wyjechało do swoich jednostek. W następnych dniach, gdy do mobilizacji – nazwijmy ją plakatową – w końcu doszło, pogłębiło to zbiorowy bałagan i sprawiło, że tysiące niezmobilizowanych żołnierzy tułało się po drogach. Wśród nich było wielu z tych, którzy na apel płk. Romana Umiastowskiego wyruszyło z Warszawy na wschód w poszukiwaniu swoich kompanii. Wyjaśnia to w znacznym stopniu, dlaczego tak wiele składów amunicji i broni trafiło w ręce wraży armii. Była to broń przeznaczona dla setek tysięcy niezmobilizowanych żołnierzy!

W tym miejscu warto powiedzieć, że agresja bolszewicka na Polskę była dla rządu prawdziwym trzęsieniem ziemi. Działo się tak, pomimo że tekst tajnego protokołu w nocy jego podpisania z 22 na 23 sierpnia 1939 r. przywiózł do ambasady amerykańskiej w Moskwie, prosto

z Kremla, por. Hans von Herwarth – asystent ambasadora niemieckiego hrabiego Friedricha-Wernera Schulenburga. Opisał to w swojej książce wydanej przed laty. Informacja w postaci owego protokołu zapewne trafiła do naszych sojuszników, ale nie do polskich służb. Brak tej informacji plus brak refleksu naszych władz szykujących się do przekroczenia Czeremoszu sprawił, że Polska nie wypowiedziała wojny ZSRR po wkroczeniu jego wojsk na nasze terytorium. Zaważyło to na wielu sprawach w późniejszym okresie wojny, ale w końcu wśród tylu popełnionych błędów jeden mniej czy więcej nie czyni różnicy. Warto jednak o tych sprawach dyskutować, abyśmy w przyszłości już nie utonęli przywaleni polskimi katastrofami.

Janusz Rolicki

Solidarność, moja miłość

Pierwsza Solidarność chciała innej Polski niż ta, którą mamy

Roman Kurkiewicz

Polska w historii świata i Europy jest mało znaczącym lub w ogóle nie znaczącym peryferyjnym zakątkiem. Pojawia się w niej za przyczyną epizodów, żeby po chwili zniknąć, pograżony w swoim martyrologicznym zawrocie i przewidywalnej przeciętności, jak na „całkiem zwyczajny kraj” przystało. Obywają się bez Polski historia nauki, religii, polityki, kultury i sztuki. Nie zmienili tego Kopernik, Skłodowska-Curie, Miłosz, Szymborska, Lem czy Tokarczuk. Jan Paweł II będzie za chwilę kolejnym, bolesnym antybohaterem w przemocowej historii Kościoła. Ważę anihilowaliśmy sami z jego wydatną pomocą.

Kiedy kilka miesięcy przed sierpniowymi strajkami rozdawałem robotnikom z poznańskich zakładów Cegielskiego KOR-owskiego parokartkowego nielegalnego „Robotnika”, nie byłem w stanie nawet sobie wyobrazić, że za chwilę będziemy świadkami i uczestnikami takiego zrywu, momentu, który wydarza się w historii raz lub dwa na stulecie. Krzysztof Kelus jakiś czas później śpiewał o Solidarności jako o sentymentalnej pannie S.:

*Oczom zdumionej publiczności,
gdy ukazała się w teatrze,
nie była w pełni w moim typie,
ale lubiłem na nią patrzeć
Szczególnie kiedy w pierwszym akcie
w tej scenie z długowłosym chłopcem
i młodym w kasku robotnikiem
– jakbyśmy byli w Europie.
Pstrymi barwami swych plakatów
zdobiła naszych ulic szarość
– jakbyśmy byli w Europie –
bez krwi i szminki makijażu
Zmęczyły mnie szczególnie próby
– nie można wiecznie żyć w teatrze...*

Rewolucja Solidarności 1980-1981 była tym jedynym momentem, kiedy polityczne oczy świata zwróciły się na Polskę, to był ten jedyny raz, kiedy polskie słowo nabrało uniwersalnego

znaczenia w politycznym języku globu. Wydawało się, albo naprawdę tak było, że rozgrywamy nieznany wcześniej, autorski wariant politycznej partii szachów. Jak to z polityką – był spektakl, wzbudził ciekawość, zainteresowanie, fascynację, odstał od szablonu, mógł być inspiracją, bywał odniesieniem. Pokojowe protesty na Wybrzeżu, a potem w całej Polsce, powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność z jego symbolicznymi 10 mln ludzi, jego pierwsze 500 dni istnienia i walki weszły do kanonu politycznej historii świata. Być może ten zryw robotniczych mas, wspieranych przez inteligentów, artystów, był ostatnim tak mocnym akordem kończącej się politycznej historii znaczenia klasy robotniczej z jej emancypacyjnymi aspiracjami. Na scenę wkraczał już jaskiniowy neoliberalizm,

przemocy. Miało to widowisko dwóch antagonistycznych aktorów: społeczeństwo i władzę, oba światy po doświadczeniach Poznania '56, krwawego powstania węgierskiej jesieni i Praskiej Wiosny, tragedii na Wybrzeżu w 1970 r., brutalnych pacyfikacji po protestach w 1976 r. – doprowadziły do tego, że nie połała się krew, a rozmawiano przy stole. Ziszczał się, jak się wydawało do grudnia 1981 r., sen o tym, że „warto rozmawiać”, że człowiek nie musi strzelać do drugiego człowieka, że władza może ustąpić, nie ustępując.

Oczywiście fakt, że gigantyczny ruch społeczny przyjął formalnie osobowość związku zawodowego był rozwiązaniem pełnym mankamentów: to był za ciasny uniform, co chwila gdzieś pękał szew, aspiracje Solidarności wykraczały daleko poza walkę o prawa pracownicze;

Rewolucja Solidarności 1980-1981 była tym jedynym momentem, kiedy polityczne oczy świata zwróciły się na Polskę.

antykomunistyczne klisze wracały jako norma i niepodważalna oczywistość, nadchodziło zwycięstwo usankcjonowanego kapitalistycznego egoizmu w miejsce ideałów wspólnoty i dobra publicznego.

Zobaczyliśmy społeczeństwo w jego pełnej krasie, rozedrgane i rozsądne, uważne, potężne i solidarne, poszukujące godności i wolności w tym samym momencie historii, kiedy przywódczyni Wielkiej Brytanii wygłaszała swoim stanowczym tonem, że społeczeństwo nie istnieje, bo nikt go nigdy nie widział.

Solidarność lat 1980-1981 uosabiała pewien rodzaj samospzecznego projektu politycznego: zderzenie utopii z pragmatyzmem, rewolucyjnej energii z imperatywem samograniczenia się, ograniczania roli radykałów z nieustannym poszerzaniem horyzontu postulatów, ostrożności wobec geopolitycznych uwarunkowań z równoczesnym stałym i potęgującym się naruszaniem *status quo* regionu. To wszystko bez

to był równocześnie ruch o determinacji partii narodowowyzwoleńczej, z wszystkimi tego negatywnymi konotacjami. Socjalistyczny w treści, narodowy w formie. A jak narodowy, to oczywiście natychmiast z nacjonalistycznym, religianckim sznytem – choć trzeba przyznać, że skutecznie kontrolowanym przez owego półtora roku karnawału. Ten karnawał, z racji gospodarczej zapaści, miał swój immanentny post. „Marsze głodowe” nie pozwoliły zapomnieć, że wolnościowo-równościowa euforia nie była jedyną czy nawet dominującą emocją i postawą.

Kolejna porcja zachwyty zagranicznych mediów i komentatorów dotyczyła pomysłów i projektów samorządności w zakładach pracy, robotniczej autonomii i odpowiedzialności. Na tym polegał uchwalony na I zjeździe NSZZ Solidarność program „Samorządna Rzeczpospolita”. Tym, co odróżniało Solidarność od całej tradycji związkowej, była jej



Pochód Solidarności ulicami Warszawy, 25 maja 1981 r.

struktura terytorialna (cała Polska), a nie branżowa. To z jednej strony dawało niezwykłą skuteczność i potęgę tego nadzwyczajnego, wypracowywało systemową strukturę wspierania słabszych ogniw pracowniczych i środowiskowych przez cały związek. Z drugiej strony taka konstrukcja związku była skrajnie niewygodna dla władz państwowych i partyjnych, które doskonale zdawały sobie sprawę, jak potężny powstaje tu przeciwnik. W tym należy upatrywać źródeł tzw. kryzysu rejestracyjnego jesienią 1980 r. Ale także w samej Solidarności nie było wtedy oczywiste, że tak to zostanie zorganizowane. Wielki wkład w ogólnopolską formułę organizacyjną miał Karol Modzelewski, pomysłodawca nazwania związku Solidarnością, któremu udało się przekonać do wizji ogólnopolskiego związku Lecha Wałęsę i całe kierownictwo. Modzelewski, intelektualista i historyk średniowiecza, mając za sobą aktywny udział w protestach robotniczych na Żeraniu w 1956 r., doskonale odnajdywał się w kontakcie z robotnikami, a z racji swoich więziennych doświadczeń z lat 60. cieszył się sporym autorytetem.

Nie da się zapomnieć, choć nie będę się tu zatrzymywał akurat nad tym wymiarem, że cały czas realnie i w głowach towarzyszyła nam

obecność stacjonujących w Polsce wojsk radzieckich i bynajmniej nie zasypiającej gruszek w popiele Służby Bezpieczeństwa. Faktem jest, że choć informatorów i wtyczek były tysiące, to w tym okresie i później policji politycznej nie udało się zinfiltrować niemal nikogo z najważniejszych osób w związku.

Cały ten okres od września 1980 r. do początku grudnia 1981 r. był czasem euforycznym, chaotycznym, pełnym zdarzeń, konfliktów, strajków, gaszenia pożarów wewnątrz organizacji. A przede wszystkim był nieprzewidywalną, niekietznaną erupcją

Jako uczeń maturalnej klasy prowadziłem lekcje o Czesławie Miłoszu. Byłem jedyną osobą w liceum, która nie tylko wiedziała, co pisał, ale też miała jego wiersze i kilka innych tytułów.

samoorganizacji, budowania stowarzyszeń i instytucji, samoorganizujących się grup, środowisk i zawodów. Państwo, dotąd autokratycznie sprawujące pełną kontrolę – lub takie sprawujące wrażenie – jakby zastęgly w bezruchu, w oczekiwaniu na to, co dalej. Przy tej dynamice społecznej sprawiało to wrażenie bezustannego wycofywania się. A to z kolei napędzało eskalację żądań i oczekiwań. Polaryzacja społeczeństwa ogromniała i stawała się często zero-jedynkowa.

Oni-My. Oczywiście było to dużo bardziej skomplikowane, płaszczyzn wielu skonfliktowanych światów przecinały się wielokrotnie. Sam obóz władzy (zostawiając na boku bezpieczeństwo) rozdzielany był sprzecznymi pomysłami i ideami. W PZPR uruchomił się proces oddolnej, „poziomej” samoorganizacji, wyłamujący się z hierarchicznego dogmatu. Państwo drżało w dotychczasowych posadach, a nie było jasne, dokąd i jak mogłoby zmierzać, nie naruszając i tak kruchej politycznej równowagi i dość patowego poczucia „zawieszenia ognia”. Słowo strajk było codziennością w wymiarze realnym, nie tylko słownikowym.

Pojawiał się niezależny obieg informacji i opinii, z tygodnikiem „Solidarność”, kierowanym przez doradcę strajkowego z Sierpnia '80 Tadeusza Mazowieckiego. Wydawnictwa bezdebitowe wychodziły w tysiącach odślon i tytułów. Drukowano książki zakazane i zbójckie. Ja sam jako uczeń maturalnej klasy prowadziłem lekcje z języka polskiego na temat Czesława Miłosza, byłem jedyną osobą w swoim liceum, która nie tylko wiedziała, co pisał, ale też miała w domowej

► biblioteczce jego wiersze i kilka innych tytułów. Zmieniała się także prasa wydawana przez rządowo-partyjny koncern RSW Prasa-Książka-Ruch, fenomenem ogólnopolskiej poczytności cieszyła się „Gazeta Krakowska” redagowana przez Macieja Szumowskiego, rozchwytywana w kioskach całej Polski.

Niemożliwe stało się pokojowe zapędzenie całej tej energii do jakiegoś kąta, ten tygiel demokratyzującego się społeczeństwa był nie do wygaszenia. A dobrego wyjścia nie było widać. Władza pod przywództwem gen. Wojciecha Jaruzelskiego przygotowywała w głębokiej konspiracji rozwiązanie siłowe, zwane stanem wojennym, ale to już całkiem inna historia. Śpiewał Kelus:

*Gdy zniknął długowłosy chłopiec
na scenie zjawił się urzędnik
a na widowni coraz częściej
chłopcy z resortu spraw wewnętrznych
i się robiło coraz duszniej
i się robiło coraz ciasniej...*

Wciąż mi się wydaje, że ten pierwszy okres Solidarności mamy nie bardzo przerobiony i przemysłany. Okazał się za trudny zarówno dla tych z PZPR, którzy w 1989 r. oddali władzę po negocjacjach i wyborach czerwcowych, jak i dla tych (nas), którzy władzę przejęli i z krótkimi interwałami na rzecz SLD sprawują ją *de facto* do dzisiaj. Polska zmieniła się w bardzo odległym od ideałów i dążeń z lat 1980-1981 kierunku. Prof. Tadeusz Kowalik, ekonomista, doradca Solidarności w stoczni i w okresie 1980-1981, skonstatował po latach: „Najbardziej masowy ruch pracowniczy dokonał przewrotu, z którego wyłonił się jeden

z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społecznych, jakie zna historia wojennej Europy”.

Zostają też pytania bardziej ogólne.

Czy Solidarność lat 1980-1981 mogła wejść do panteonu narodowych powstań, skoro nikt nie zginął i nie połała się krew? Dużo lepiej nadaje się do tej roli aksamitny stan wojenny.

Czy mogła być rewolucją, skoro nadal rządziła władza, przeciwko której stanęły miliony? Może zmieniła realność funkcjonowania opresyjnego państwa, uwalniając atomową energię samoorganizujących się tłumów, które na nowo chcą określić swoją przyszłość.

Czy była zapowiedzią i forpocztą geopolitycznego trzęsienia ziemi, czy jedynie okiełznanym wedle scenariusza pisanego gdzie indziej zrywem nieświadomych mas? Była i jednym, i drugim. Pisał Miłosz:

*Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina biegnie od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniami.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłynąć na bieg lawiny.*

Stawiamy jej dzisiaj pomniki, stylizujące się na zardzewiałe poszycie kadłubów statków, jak te, które powstawały w stoczni Lenina, na pochylniach i w dokach Gdyni i Szczecina. Ale czy ją badamy i rozumiemy? Czy oprócz potężnego słowa Solidarność, które się zbanalizowało i zamieniło w swoją polityczną karykaturę, mamy o niej coś istotnego do powiedzenia?

Była tamta Solidarność napętnianiem żywą treścią wyblakłych testamentów lewicowych, robotniczych

marzeń z XIX i XX w., widocznych często na płotach i murach jako wyblakłe szablony propagandowego pustostawia.

Myślę dzisiaj, że te półtora roku, od sierpnia 1980 do grudnia 1981 to była wielka próba generalna. Improvizowana, bez scenariusza, czasami z fałszywymi aktorami; nawet jeśli nie brało w niej udziału 10 mln naturalistów, był to spektakl nie do opanowania. Nie miał jednego reżysera ani jednej postaci głównej, choć pewnie i Wałęsa, i Jan Paweł II by się o to pospierali. Była to próba generalna do spektaklu pod tytułem „Demokracja”. Była jednym z najintensywniejszych doświadczeń politycznych naszej części Europy dla milionów, które w nim wzięli udział. I była czymś całkowicie odmiennym od spektaklu, w którym przyszło nam zagrać po 1989 r. i w którym płasmy po dziś dzień. Tęsknię za tamtą próbą, która była prawdziwsza, piękniejsza i równocześnie groźna. Ale zapowiadała inny spektakl niż Polska 2021. Tęskniła i obiecywała solidarność i sprawiedliwość. I dlatego jest nadal albo jeszcze bardziej aktualna i oczekiwana, za co ja jestem jej całym swoim życiem przeżytym w jej blaskach i cieniach – wdzięczny. Skąd to wiedział Kelus w 1982 r.?

*I listy piszę jej ulotne
na czarnych bębnoch powielaczy:
„... gdy sztuka wróci znów na afisze,
zagramy trochę ją inaczej...”
I piszę: „Wracaj jak najprędzej,
wracaj najprędzej jak się da”(...)*

Czas się upomnieć o Solidarność.

Roman Kurkiewicz

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

ZAGRABIONA HISTORIA SOLIDARNOŚCI ZOSTAŁ TYLKO MIT

Ludzie pierwszej Solidarności zostali wystawieni do wiatru,
do czego wstyd im się przyznać. O tym jest ta książka.

Bronisław Łagowski



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 53 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

E-BOOK 19,90 zł





Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk o sensie II. Kościół

Niedawno pytaliśmy w tym miejscu o sens istnienia Polski. Dziś trzeba pytać o sens istnienia Kościoła. Nie Kościoła w ogóle, lecz rzymskokatolickiego Kościoła w dzisiejszej Polsce. To pytanie zadaje jako praktykujący rzymski katolik.

Z sensem istnienia Kościoła w Polsce bywało różnie. Najpierw stworzył on z nas polityczną wspólnotę – tu jego zasługi są nie do przecenienia. Potem, od XII do początku XIV w., tylko Kościół – archidiecezja gnieźnieńska, a z czasem też kult św. Stanisława – był spoiwem dawnego, jednolitego państwa. To również jest zasługa nie do przecenienia. Jednak w XIV w., po przyłączeniu przez Kazimierza Wielkiego Rusi Halickiej, polski katolicyzm stał się w obliczu innej chrześcijańskiej wiary – prawosławia.

I odtąd interes Kościoła zaczął się rozmiącać z interesem państwa. Ten pierwszy wymagał katolicyzacji, ten drugi – szacunku dla odmienności. Kazimierz Wielki usiłował godzić oba interesy, lecz już Władysław Jagiełło popierał katolicyzm z łatwością do zrozumienia gorliwością neofity. Później, mimo różnych zahamowań, było z tolerancją raczej lepiej niż gorzej – aż do przywilejów Zygmunta Augusta z lat 1563 i 1568. Ale niebawem przyszła kontrreformacja. Legła ona u progu dezintegracji Rzeczypospolitej, a w dalszej konsekwencji – u progu rozbiorów. To ona bowiem odepchnęła od Rzeczypospolitej innowierców. To ona odgrodziła nas od laicyzującej się Europy. To ona zabiła ożywcze prądy religijne, a chrześcijaństwo sprowadziła do obrzędu i dewocji.

I tak już zostało. Gdy dziś deklamujemy o roli Kościoła rzymskokatolickiego podczas zaborów, zbyt rzadko pamiętamy, że utrzymywał on polskość w sensie coraz bardziej nacjonalistycznym, a coraz mniej historycznym. Rzymski katolicyzm jako integralny składnik polskości usuwał wszak poza jej obręb obrządek unicki (tego samego wyznania!), a tym bardziej przecież wiarę prawosławną, częściowo nawet (bo przy nieobecności różnic kulturowych) również protestantyzm. Kościół rzymskokatolicki bronił więc Polski etnicznej, niszcząc (choćby mimowolnie) tradycje Rzeczypospolitej wielonarodowej. Międzywojenne zbliżenie Kościoła z endecją było czymś w sumie naturalnym.

Widziana na tym tle rola Kościoła rzymskokatolickiego w PRL okazała się wyjątkowa. Otrzymując (po raz pierwszy od XII w.) państwo jednolite narodowo, religijnie i nawet obrzędowo, Kościół ten stał się potęgą: jedyną siłą niezależną, niepodporządkowaną władzy. Co oczywiście nie wykluczało rzesz tajnych współpracowników SB w jego szeregach. Kościół stał się jednak skuteczną zaporą

przeciw sowietyzacji – jakkolwiek tę sowietyzację rozumieć (bo też nie trzeba jej absolutyzować). Toteż i pod tym względem zasługi Kościoła są znaczne – choć można się zastanawiać, czy konkretne rozwiązania były trafne w każdym przypadku.

Tymczasem na samym początku III Rzeczypospolitej Kościół skonfliktował się z porządkiem prawnym. W trybie natychmiastowym, bez czekania na nową ustawę oświatową, zażądał wprowadzenia religii do szkół. Gdy państwo ustąpiło, nadeszło, trwające latami, śrubowanie kolejnych żądań, każdorazowo psujących zasadę świeckości. Postępowano według zasady wypróbowanej sto lat wcześniej na zaborcy rosyjskim: „brać i nie kwitować”. Jednak teraz „brano” już nie od zaborcy, lecz od własnego państwa. Równocześnie polski Kościół – wbrew swej europejskiej proveniencji – przestał odgrywać rolę łącznika z Europą w jeszcze większym stopniu niż w czasach kontrreformacji: stał się czynnikiem odgradzającym nas

PiS wyprowadza nas z Europy politycznej, polski Kościół wyprowadza nas z Kościoła powszechnego.

od Europy, od tej – jak mówiono – „cywilizacji śmierci”. Na Zachodzie „wielu hierarchów się pogubiło”, „oni się już poddali”, ich postawa jest „kapitulanka” – tak skarżył się niedawno abp Marek Jędraszewski. PiS wyprowadza nas z Europy politycznej, polski Kościół wyprowadza nas z Kościoła powszechnego.

Dla katolika, wierzącego wszak w „święty Kościół powszechny”, jest to najbardziej bolesne. Kościół ma prowadzić do Boga – czy prowadzi? Kościół ma mówić o czekającej nas wieczności – czy mówi? Kościół ma szerzyć miłosierdzie – czy szerzy? Katolicyzm ograniczony do walki o państwowy zakaz aborcji, sprzeciwu wobec in vitro i ochrony materialnego stanu posiadania – jest sam w sobie zgorszeniem. A gdy jeszcze dochodzą skandale pedofilskie... Jednak równie bolesne dla Polaka – obojętne już jakiej konfesji – jest dokonywane przez Kościół odpychanie Polski od Europy. To przecież niezgodne z misją Kościoła od samych jego początków. I równające się narodowemu samobójstwu.

Tak oto na pytanie o sens istnienia Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce trzeba odpowiedzieć krótko: polega on na wspieraniu Polski pisowskiej. Czyli Polski, która nie ma sensu.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Lustro amerykańskiej demokracji

Komisja w sprawie ataku na Kapitol pokazuje działania
ekstremistów ze strony Trumpa

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Po co Amerykanom specjalna komisja ds. wydarzeń z 6 stycznia? Zależy kogo pytamy. Po to, by dojść prawdy i ukarać winnych. Po to, by zrobić niewinnych i zniszczyć amerykańskie wartości. Po to, by dalej zniekształcać najlepszego prezydenta w historii USA. Cynicy głoszą, że po to, by Amerykanie wreszcie wyzbyli się złudzeń, bo co najmniej połowa ich klasy politycznej to tchórze uprawiający wyłącznie efekciarski catering pod gusta swojej bazy wyborczej. Badacze i historycy biją na alarm, że po to, by zrozumieć, iż kolejne insurekcje na podobieństwo tej z 6 stycznia mogą być nieuniknione.

O tym, że Donald Trump do dziś wierzy i głosi, że wybory zostały sfałszowane, na pewno wszyscy słyszeli. O tym, że 6 stycznia fanklub Trumpa przypuścił szturm na Kapitol, by przerwać Kongresowi procedurę liczenia głosów elektorskich i zablokować ogłoszenie Bidena nowym prezydentem, zapewne także. Ale może już nie do wszystkich docierają wieści, co dalej z teorią

jest stan amerykańskiej demokracji i jakie decydują o tym siły. Które z tych sił są zupełnie nowe i czy można je dalej ignorować, zwłaszcza ludzić się, że pojawiły się przelotnie i odejdą wraz ze zmierzchem Trumpa i trumpizmu (który kiedyś musi nastąpić!). Czy raczej nie trzeba się oswoić z myślą, że w najbliższej przyszłości będą wywierać zasadniczy wpływ na politykę i polityków, a wszystko to w atmosferze skrajnej politycznej i ideologicznej polaryzacji między rządzącymi frakcjami i niepojętej wręcz lojalności wobec własnej bazy, zwłaszcza Trumpbazy, ze strony republikanów. Historia tworzenia i niezwykle trudnego startu prac komisji ds. 6 stycznia (Komisja 6/1) to opowieść, która dostarcza odpowiedzi na te pytania. Przyjrzyjmy się jej szczegółowo.

Dni, tygodnie, miesiące

6 stycznia: O godz. 11.50 Trump zaczyna przemawiać do ludu MAGA (*Make America Great Again*) zebrałego w parku Ellipse przed Białym Domem na wiecu pod hasłem „Save America” (Ocalmy Amerykę). Mówi m.in.: „Musimy walczyć jak diabli, bo

starciach rannych zostaje ponad 140 policjantów oraz kilkudziesięciu napastników, a pięć osób traci życie. Ochrona w ostatniej chwili ewakuuje członków administracji, w tym byłego wiceprezydenta Mike Pence’a. Napastnicy z bronią, flagami, w tym konfederackimi, oraz symbolami identyfikacji z MAGA niszczą i łupią Kapitol, zwłaszcza biura demokratów, kradną laptopy. Media emitują dramatyczne nagrania z zajęć, w tym film, na którym przywódca kongresowej mniejszości, republikanin Kevin McCarthy, błaga przez telefon Trumpa: „To są twoi ludzie! Każ im natychmiast przestać!”. W dniu pierwszych przesłuchań świadków zajęć (policjantów) pod koniec lipca br. McCarthy całkowicie zmieni kurs i powie: – Za tragedię 6 stycznia odpowiadają wyłącznie Nancy Pelosi i demokraci, bo wiedząc, że istnieje ryzyko zamieszek, nie zabezpieczyli Kapitolu.

Przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi już wieczorem 6 stycznia apeluje o stworzenie niezależnej komisji śledczej w sprawie ataku na podobieństwo Komisji 9/11 po zamachach z 11 września 2001 r. Sondaże przeprowadzone przez najważniejsze ośrodki badania opinii społecznej wykazują, że pomysł Pelosi popiera 80% członków obu izb Kongresu i większość społeczeństwa. Kilku re-

Otoczył mnie rozwścieczony tłum, zerwali ze mnie moją odznakę, radio, amunicję, zaczęli mnie okładać pięściami i metalowymi przedmiotami.

o „skradzionych” wyborach i losem desperatów, którzy 6 stycznia starali się ją narzucić reszcie kraju, atakując jeden z jego najważniejszych symboli demokracji. Tymczasem sprawa warta jest najwyższej uwagi, bo toczące się w USA dochodzenie w sprawie wydarzeń z tego pamiętnego dnia przynosi prawdziwe rewelacje. I nie chodzi tu tylko o ustalanie faktów i pociągnięcie do odpowiedzialności winnych. Stawka jest duża wyższa. Chodzi o odpowiedź na pytania, jaki

jak nie będziecie walczyć jak diabli, to niedługo nie będziecie mieć ojczyzny”. Tłum skanduje: „Walcz za Trumpa! Walcz dla Trumpa”. Po trwającym około godziny przemówieniu Trump zaprasza wszystkich do wspólnego marszu na Kapitol, choć sam się tam nie udaje. Nieco po godz. 14. ok. 800 osób przełamuje kordon policji i wdzierają się do budynku Kapitolu. Trump zwleka z decyzją o wystąpieniu na Kapitol posiłków policji oraz Gwardii Narodowej. W krwawych

publikańskich kongresmenów twerdzi w tym czasie, że zamieszki wywołała Antifa we współpracy z FBI. Donald Trump „potępia” wydarzenia z wrodzoną sobie przewrotnością. Powtarza, że uczestnicy jego wiecu byli „nastawieni pokojowo”.

9 stycznia: Howard Liebengood, policjant, który 6 stycznia bronił Kapitolu, popełnia samobójstwo.

13 stycznia: Były dyrektor narodowej Komisji Bezpieczeństwa Randolph Post Eddy wyznaje



Uzbrojeni napastnicy, z flagami, w tym konfederackimi, oraz z symbolami identyfikacji z MAGA wtargnęli na Kapitol.

w wywiadzie dla stacji radiowej NPR, że FBI i CIA nie zawiadomiły Kongresu na czas o możliwości zamieszek, gdyż „przeoczyły” wszystkie znaki ostrzegawcze.

15 stycznia: Samobójstwo popełnia Jeffrey Smith, kolejny policjant z grupy broniącej Kapitolu 6 stycznia. Wdowa po nim wyznaje, że skłaniała hejtu, jakiej doświadczył jej mąż, w tym już po szturmie, jest nie do wyobrażenia.

26 stycznia: Szefowa oddziału policji z Kapitolu Yogananda Pittman zeznaje przed Kongresem, że już 4 stycznia wiedziała, iż wśród demonstratorów szykujących się na wiec „Save America” będą członkowie grup paramilitarnych i organizacji białych suprematystów oraz że niektórzy przybędą uzbrojeni. Przyznała ze skruchą, że jako organ bezpieczeństwa zawiodła, nie traktując tych informacji z należytą powagą.

Luty-kwiecień: Nancy Pelosi regularnie zwraca się do republikanów o wypracowanie wspólnego planu stworzenia komisji 6/1 i jej prac.

Rośnie grono republikanów głoszących solidarność z tezą Trumpa, w której demokraci nazbyt demonizują wydarzenia z 6 stycznia, by zapunktować u swoich wyborców.

17 kwietnia: 100 dni po ataku Pelosi pisze list do Kongresu, ponawiając prośby o współpracę republikanów przy tworzeniu komisji śledczej. Lider republikanów Lindsey Graham odmawia, argumentując, że w komisji nie może zasiadać siedmiu demokratów i tylko trzech republikanów, jak widziałaby to Pelosi. GOP (skrót Partii Republikańskiej – Grand Old Party – przyp. red.) poprze projekt komisji, jeśli będzie w niej miała równą reprezentację.

12 maja: W tajnym głosowaniu liderzy GOP pozbawiają przywódczej pozycji w Kongresie Liz Cheney, córkę byłego wiceprezydenta Dicka Cheneya, za to, że kontynuuje ataki na Trumpa, obwinia go o szturm na Kapitol i głosi potrzebę skrupulatnego śledztwa w tej sprawie. Zastępuje

ją Elise Stefanik, niegdyś umiarkowana konserwatystka i krytyk Trumpa, a po szturmie na Kapitol jedna z najgorliwszych wyznawczyń teorii o sfałszowanych wyborach. Lindsey Graham w wywiadzie dla FOX News tak wyjaśnia to posunięcie: – Liz Cheney zdecydowała, że nasza partia nie może rosnąć wraz z prezydentem Trumpem. Ja zdecydowałem, że nie może rosnąć bez niego.

13 maja: Sondaż Agencji Reutera wykazuje, że już 55% republikańskich wyborców wierzy, że szturm na Kapitol był prowokacją lewicowców dążących do oczernienia wizerunku Trumpa. To kilkanaście procent więcej niż w styczniu.

19 maja: Izba Reprezentantów przegłosowała ustawę o stworzeniu niezależnej, dwupartyjnej Komisji 6/1. Ma w niej zasiadać pięciu republikanów i pięciu demokratów.

27 maja: Sondaże Quinnipiac University oraz YouGov/Economist pokazują, że prawie dwie trzecie

► Amerykanów nie wierzy, iż republika nie działa w zgodzie z wartościami demokracji. 58% obywateli chce stworzenia komisji 6/1. Natomiast 72% republikanów uważa, że Ameryka nie potrzebuje takiej komisji.

28 maja: Republikańscy senatorowie odrzucają ustawę zaaprobowaną przez niższą izbę Kongresu. Donald Trump mówi o komisji, że to „wnyki zastawione przez demokratów na amerykańskich patriotów”. Przyczyny nieoczekiwanej zmiany kursu GOP w sprawie komisji zdradza republikański senator z Południowej Dakoty John Thune: – Prace komisji mogą się przeciągnąć aż do wyborów parlamentarnych w 2022 r. Tymczasem każdy dzień odgrzewania wydarzeń związanych z elekcją z 2020 r. to dla nas dzień stracony, dlatego wolimy położyć kres tej sprawie.

30 czerwca: Izba Reprezentantów przegłosowuje ustawę o stworzeniu kongresowej komisji ds. 6/1. Republikanin Jamie Beutler ze stanu Waszyngton uspokaja prawicę i lud MAGA słowami: – Partynja komisja

powołana do życia przez Pelosi nie ma żadnej wiarygodności i zostanie wyśmiana przez co najmniej połowę Amerykanów. Z grona 212 republikanów w Kongresie za ustawą głosują tylko: Liz Cheney (Wyoming) oraz Adam Kinzinger (Illinois).

1-19 lipca: Nancy Pelosi i Kevin McCarthy nominują kongresmenów na członków komisji 6/1. Pelosi wysuwa kandydatury siedmiu demokratów oraz Liz Cheney, McCarthy nominuje pięciu republikanów. Pelosi odrzuca kandydatury Jima Jordana i Jima Banksa, zagorzałych trumpistów, którzy 6 stycznia głosowali przeciwko ogłoszeniu Bidena nowym prezydentem USA. W odpowiedzi McCarthy wycofuje wszystkich swoich kandydatów. Pelosi zaprasza do komisji Adama Kinzingera. Wraz z Cheney będą jedynymi republikanami obok siódemki demokratów.

10 lipca: Kyle de Freytag jako trzeci dołącza do grona samobójców wśród policjantów odpierających 6 stycznia atak na Kapitol.

26 lipca, dzień przed rozpoczęciem pierwszych przesłuchań przez Komisję 6/1: Departament Stanu podaje, że w związku z rozruchami na Kapitolu zaarrestowano do tej pory 570 osób z 46 stanów. 170 osób usłyszało zarzuty użycia broni skutkującego zranieniem bądź śmiercią funkcjonariusza policji. Sześć osób oskarżono o atak na przedstawicieli mediów bądź zniszczenie ich sprzętu. 235 osób oskarżono o celowe działania przeciw procedurze rządowej, w tym 83 osoby z tego grona o udział w zorganizowanej konspiracji przeciwko rządowi. To członkowie grup supremacyjnych i paramilitarnych. 55 osób oskarżono o wtargnięcie na Kapitol z zamiarem użycia śmiertelnej broni, a 35 osób o kradzież mienia rządowego. 35 osób uznano za terrorystów, natomiast większość z aresztowanych będzie odpowiadać za przestępstwo bezprawnego wtargnięcia na teren placówki rządowej. Co najmniej 62 aresztowanych to żołnierze, w tym pięciu wciąż w służbie

4 września 2021, godz. 10.00 – 18.00

**DZIEŃ OTWARTY
W MUZEUM WIĘZIENIA PAWIAK**

ORAZ

**W MAUZOLEUM WALKI
I MĘCZEŃSTWA**







czynnej, w armii, w rezerwie bądź w Gwardii Narodowej. 36 osób już przyznało się do winy, a sześć dostało wyroki. Dyrektor FBI Christopher Wray informuje, że zatrzymania były możliwe dzięki prawie 300 tys. sygnałów od obywateli z każdego zakątka kraju, informacjom pozyskanym z ponad 1600 skonfiskowanych urządzeń elektronicznych i ponad 170 tys. raportów policyjnych. – To prawdopodobnie najbardziej skomplikowane śledztwo w całej historii naszego wydziału sprawiedliwości – stwierdza Wray.

27 lipca: Początek przesłuchań w Komisji 6/1. Jako pierwsi zeznają czterej policjanci pełniący 6 stycznia służbę na Kapitolu. O napastnikach mówią: „terroryści”, „zamachowcy”, „rasiści”. Wszyscy są przekonani, że szturm był akcją zaplanowaną i skoordynowaną, byli świadkami rozmów na ten temat.

Czterech funkcjonariuszy broniących Kapitolu popełniło samobójstwo.

– Otoczył mnie rozwścieczony tłum, zerwali ze mnie moją odznakę, radio, amunicję, zaczęli mnie okładać pięściami i metalowymi przedmiotami. Ktoś krzychał: „Bierz jego pistolet! Zabij go jego własną bronią!”. Tego dnia znalazłem się w piekle, żeby bronić tych, którzy dzisiaj twierdzą, że to piekło nie istniało, albo że nie było aż takie złe i promują teorie spiskowe, które mają pomniejszyć rozmiar horroru i zatrzeć motyw jego sprawców, opowiada jeden z policjantów, Michael Fanone, zwracając się przy tym do republikańskich kongresmenów. Kevin McCarthy oraz Mitch McConnell oznajmniają, że nie mieli czasu oglądać przesłuchań oraz że republikanie i tak nie zaakceptują żadnego raportu ani rekomendacji komisji.

29 lipca: samobójstwo popełnia czwarty policjant ze służby na Kapitolu Gunther Hashid.

Listopad 2022 – styczeń 2023, czarny scenariusz: republikanie przejmują kontrolę nad Kongresem. Pierwszym ruchem nowego rządu jest likwidacja Komisji 6/1 i zakwestionowanie wszystkich dotychczasowych ustaleń. Uczestnicy szturm na Kapitol wychodzą na wolność. Portrety Trumpa obowiązkowo zdobią ściany gabinetów republikańskich polityków.

„Nigdy nie zapominajcie, historię piszą zwycięzcy!” – huczy ze sceny Trump, inaugurując swoją kampanię prezydencką 2024.

Nowa twarz ekstremisty

Legitymizacja kłamstwa i brawura, z jaką jest ono dziś wykorzystywane do „robienia” w Ameryce polityki, zwłaszcza na prawicy, to tylko jedna z zatrważających lekcji dostarczonych nam 6 stycznia i przez ostatnie siedem miesięcy – w czasie wysiłków powołania do życia komisji 6/1. Nie można przecież przeoczyć, jak wielką rolę w tym teatrze kłamstw i uników ze strony klasy politycznej odgrywają sami wyborcy marzący o kontynuacji ery MAGA. Zdaniem ekspertów to właśnie oni są dziś ową nową i niezwykle niebezpieczną siłą na scenie politycznej. By zrozumieć, z czym się mierzymy, centrum badawcze Project

on Security and Threats przy Uniwersytecie Chicago przeanalizowało profile 193 aresztowanych w związku z wydarzeniami z 6 stycznia.

Badania zaowocowały czterema ważnymi stwierdzeniami. Po pierwsze, wśród napastników dominuje przekonanie, że jedynie wykonywali płynący z góry rozkaz. Po drugie, tylko 10% z nich ma/miało powiązania z grupami ekstremistycznymi. Po trzecie, w przeciwieństwie do typowego prawicowego ekstremisty znanego służbom z przeszłości (zwykle człowiek postrzegający siebie jako niemającego nic do stracenia, często bezrobotny i przeważnie słabo wykształcony oraz młody) inicjatorzy szturm na Kapitol mieli do stracenia wiele. Byli zwykle w średnim wieku (40 lat i więcej), mieli rodziny, niezły status majątkowy i sukcesy zawodowe. Bezrobotni stanowili wśród szturmujących tylko 9%, natomiast 40% posiadało własne firmy i dyplomy wyższej uczelni. Nie rekrutowali się też z konserwatywnych zakątków kraju, przeciwnie – ponad połowa przybyła z miejsc, gdzie wybory wygrał Biden.

– Szturm na Kapitol to ostrzeżenie, że nowa siła w amerykańskiej polityce to nie tylko melanz prawicowych organizacji, ale szeroki ruch społeczny,

głoszący przemoc i rosnący w siłę nawet tam, gdzie fani MAGA są mniejszością – podsumowuje sytuację prof. Robert Pipe, szef badań.

Słowa o przemocy nie kłamią

W połowie sierpnia w magazynie „The Atlantic” ukazał się esej eksperta z Instytutu Studiów Arabskich w Waszyngtonie Husseina Ibisha, „When They Fantasize About Killing You, Believe Them” (Gdy snują fantazje o tym, że cię zabiją, wierz im). Ibish, odwołując się do osobistych doświadczeń z życia na Bliskim Wschodzie i wieloletniej pracy jako analityk regionu, tłumaczy, że gdy polityczny żargon zaczyna nasiąkać retoryką i fantazjami o przemocy, nie trzeba długo czekać na akty prawdziwej przemocy. „Amerykańska ekstremizm polityczna, i ta z prawej, i z lewej, zawsze posiadała pewien wymiar militarny, ale to, z czym mamy do czynienia dziś, to rzecz całkiem nowa. Osacza nas serwowana nam na co dzień, wyrafinowana, acz sadystyczna retoryka, która ugruntowuje swoją pozycję w politycznym mainstreamie” – pisze Ibish. I bije na alarm: „Hiperboliczne zachowania ekstremistów ze szkoły Trumpa powtarzane wystarczająco często będą miały śmiertelne konsekwencje”.

Niestety, nie jest pociechą, że kłopoty ma nie tylko demokracja amerykańska. Wiele innych, w tym ta z naszego podwórka, również ledwie dyszy.

– Dzieje się tak między innymi dlatego, że mechanizmy, które powołały do życia świat postprawdy, jednocześnie odpowiadają za dramatyczny upadek wiary w autorytety i instytucje stojące na straży wolności i demokracji – wyjaśnia Laura Thornton, szefowa think tanku Alliance for Securing Democracy z Waszyngtonu. – W takim świecie wystarczy kłamstwo ileś razy powtórzyć, a ludzie bez problemu je kupią.

Wygląda na to, że sukces Komisji 6/1 potrzebny jest nie tylko Ameryce, ale całemu światu. Byłby jak blokada założona na rozwarte szczęki aligatora, dowód na to, że nie wszystko jeszcze stracone, bo kłamstwo, choć potrafi rzucać długi cień, wciąż ma za krótkie nogi w zderzeniu z faktami, ludzkim uporem i zwyczajną ludzką przyzwoitością.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Kościół się doigrał

To poczucie wstydu sprawiło, że Irlandia zaczęła się sekularyzować, że chciała skończyć z hipokryzją duchowieństwa

Rozmawia Mateusz Demski

W kręgach irlandzkich aktywistów działasz od prawie czterech dekad. Końcówka lat 70. to był dobry czas na włączenie się w walkę o prawa kobiet?

– Pierwszy możliwy. Kiedy włączyłam się w walkę o prawa kobiet, ona dopiero się rozpoczynała. To był bardzo trudny początek, bo te ruchy były napiętnowane jako wrogie narodowi. Irlandia zarówno w czasach panowania Brytyjczyków, jak i po odzyskaniu niepodległości w 1922 r., była krajem patriarchalnym i katolickim, w którym pozycja społeczna kobiet ograniczała się do roli matki i żony. Dopiero w latach 60. XX w. przyznano nam prawo do nauki w szkołach średnich. Zapis w konstytucji, który zakazywał podejmowania pracy przez mężatki, zniesiono dekadę później. Każdy aspekt życia kobiet podlegał kontroli w imię różnych idei ustalanych przez Kościół.

Tę potrzebę buntu wyniosłaś z domu?

– Byłam wychowana w tradycyjnym duchu, chodziłam do typowej szkoły katolickiej. Miałam tam wpajany zestaw reguł, które uważałam za swoje. Brzmiały: jestem katoliczką, rodzina jest dla mnie ważna, kobieta bez rodziny znajduje się na przegranej pozycji. Nawet później, gdy rozwijałam karierę akademicką, desperacko myślałam o znalezieniu partnera, rodzinie, dzieciach. Wydawało mi się, że to będzie droga ku spełnieniu.

I temu modelowi się poddałaś?

– Wysłałam za mąż w 1973 r. Nie potrafiłam jednak emocjonalnie się w to włączyć, po ślubie zaczęłam odczuwać pustkę. Małżeństwo rozsypało się po kilku miesiącach. Ale oficjalnie nie mogliśmy go rozwiązać. Do połowy lat 90. obowiązywał w Irlandii całkowity zakaz rozwodów. Jedyną opcją była separacja, w której spędziliśmy z mężem ponad 10 lat. W tym czasie nie utrzymywaliśmy kontaktu, a mimo to uczelnia,



AILBHE SMYTH

– irlandzka działaczka społeczna i polityczna. Założycielka i była kierowniczka Instytutu Studiów Kobiety na University College Dublin. Ailbhe Smyth jest bohaterką filmu „Ósma poprawka”, który będzie pokazywany na 18. Millennium Docs Against Gravity 3-12 września.

na której byłam zatrudniona, poinformowała mnie pewnego dnia, że musi cofnąć mi etat. Powód: ówczesne prawo nie zezwalało mężatkom na pracę na stanowiskach państwowych. Wtedy po raz pierwszy tak silnie obudziła się we mnie niezgoda. A to miał być dopiero początek moich problemów.

Co to znaczy?

– Po kilku latach od ślubu zaszłam w ciążę z innym mężczyzną. Formalnie wciąż byłam żoną kogoś innego, dlatego moja córka została zarejestrowana jako nieślubne dziecko. Gdyby coś mi się przytrafiło, moje dziecko nie miałoby prawa do mojej emerytury. Ten stan ciągłego zagrożenia,

niepewności doprowadził mnie do anoreksji i depresji klinicznej.

A jednak w Irlandii coś zaczęło się zmieniać.

– Faktycznie, był to czas pierwszych zmian i otwarcia obyczajowego. W latach 70. Irlandia weszła do Unii Europejskiej. Zaczęły powstawać pierwsze grupy obrony praw kobiet. Najbardziej znaczący w tym czasie okazał się rok 1978, kiedy doszło do zmiany prawa o antykoncepcji. Od lat 30. środki antykoncepcyjne były w Irlandii nielegalne, aż po czterech dekadach dopuszczono je do sprzedaży na receptę dla małżeństw. Dziś uznalibyśmy to za zgniły kompromis. Wtedy był to sygnał, że ludzie chcą zmiany myślenia.

Nietrudno zgadnąć, że w sprawę wmieszał się Kościół.

– Tak, bo stanowił wówczas najwyższą instancję. Kościół był autorytetem w dziedzinie życia rodzinnego i seksualnego – miał w swoich rękach szkoły podstawowe, szpitale, sierocińce, świadczył również inne usługi socjalne. Kościół uznał tę decyzję za niezgodną z tradycją i tożsamością narodową, czemu przyklasnęły irlandzkie ruchy tradycjonalistyczne. Idąc za ciosem, wywołały one debatę na temat aborcji i zaczęły forsować wprowadzenie 8. poprawki do konstytucji, która miała zatwierdzić bezwzględny zakaz przerwania ciąży.

Jak wcześniej wyglądała kwestia aborcji?

– Za aborcję groziło dożywocie, jak za umyślne spowodowanie śmierci. Zarówno kobieta, która zdecydowała się na zabieg, jak i lekarz oraz każdy, kto udzielał pomocy, narażał się na więzienie. W latach 20. i 30. XX w. można było kupić spod lady w aptece tabletki, które prowadziły do przerwania ciąży. Później, kiedy w 1967 r. Anglia, Szkocja i Walia przyjęły ustawę o aborcji, Irlandki zaczęły na aborcję jeździć za granicę. Ale oczywiście nie każda mogła sobie na to pozwolić. Upowszechnianie wiedzy na temat tego, jak przerwać



ciążę za granicą również obłożono surowymi karami.

Aborcja nie była zjawiskiem marginalnym. Dlaczego więc ludzie poparli politykę antyaborcyjną?

– Kampanię na rzecz 8. poprawki zdominowała mała, ale dobrze finansowana i zorganizowana grupa pod nazwą Pro-Life Amendment Campaign. Tworzyli ją ludzie ze środowisk akademickich, lekarskich, a także klerykalnych, którzy postavili sobie za cel „obronę tradycyjnych irlandzkich wartości”. Prawo cywilne już wtedy zawierało drakońskie przepisy

Gdyby referendum odbyło się 20 lat wcześniej, to poprawka zostałaaby przyjęta większością 80%, a może nawet 90% głosów. Sam fakt, że ponad jedna trzecia ludzi przy urnach sprzeciwiła się Kościołowi, był dowodem zachodzących zmian i motywował do dalszej walki. Ironią losu jest przecież fakt, że w referendum z roku 2018 Irlandczycy zagłosowali odwrotnie proporcjonalnie – tyle samo ludzi, którzy 35 lat temu byli za zakazem, teraz domagało się wolnej aborcji.

Co sprawiło, że między rokiem 1983 a 2018 ta szala się przechyliła?

Krzywdza dzieci gwałconych i upokarzanych przez księży oraz siostry zakonne dała niehumanitarny obraz patologii.

antyaborcyjne, ale grupa ta dążyła do zapisania ich dodatkowo w konstytucji. Tak rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę kampania, oparta na manipulacji nastrojami społecznymi. Wspomniana organizacja po raz pierwszy w historii Irlandii zaczęła rozpowszechniać narrację o podmiotowości płodu. O tym, że należy równać prawo nienarodzonego dziecka do życia z prawem do życia matki. Równocześnie zaczęło się lobbowanie rządu w kwestii zorganizowania referendum.

Jak potoczyło się głosowanie?

– W referendum z 1983 r. zapytano, czy obywatel uznaje zapis o zrównaniu prawa matki i prawa nienarodzonego dziecka. Na „tak” było ponad 66% głosujących, co paradoksalnie dawało nadzieję na przyszłość.

– Po pierwsze, upadek moralnego autorytetu Kościoła, do którego doprowadziła postawa samych duchownych. W latach 90. na jaw wyszło wiele przypadków pedofili z udziałem księży i najwyższych hierarchów. Krzywda dzieci gwałconych i upokarzanych przez księży oraz siostry zakonne, dała niehumanitarny obraz strukturalnej patologii.

Głośno zrobiło się w pewnym momencie o magdalenkach i sposobie traktowania kobiet przez zakonnice. Życie tam przypominało najgorszy koszmar.

– Wciąż pamiętam czasy magdalenek, nawet do naszego domu jako służąca była stamtąd wysyłana młoda dziewczyna. Zwykle trafiały tam sieroty, samotne matki, które padły ofiarą gwałtu, albo po prostu dziewczyny

Protest wywołany sprawą Savity Halappanavar, 2012 r.

uważane za złe się prowadzące. Kiedy trafiały do magdalenek, golono im głowę, a jeśli miały dzieci, to siłą odbierano je matkom i oddawano do adopcji. Nie mówiąc o tym, co działo się za murami. Brutalna przemoc fizyczna i psychiczna. Harówka od rana do nocy bez wynagrodzenia. Niektóre kobiety spędzały tak całe życie. Magdalenki, tak samo jak „ośrodki poprawcze” dla chłopców, funkcjonowały aż do połowy lat 90., czyli do momentu powstania rządowej komisji badającej te przypadki.

I nagle okazało się, że miarka się przebrała. Kościół nie mógł już dłużej uchylać się od odpowiedzialności.

– Nikt nie mógł już tego znieść. Nagle w ludziach obudził się gniew, smutek, ale też wstyd i skrucha. Tak naprawdę wszyscy byliśmy w pewnym sensie odpowiedzialni za te zaniedbania, tę przemoc wobec najślabszych. Ludzie tkwili w cichym przyzwoleniu na to wszystko, wiedzieli, co się dzieje, ale nie zrobili niczego, żeby to powstrzymać. Sądzę, że to poczucie wstydu sprawiło, że Irlandia zaczęła się sekularyzować, że chciała skończyć z hipokryzją Kościoła.

Ale sprawa wciąż domaga się rozstrzygnięcia – w dalszym ciągu 90% szkół podstawowych w Irlandii jest zarządzana przez tę instytucję. Kościół ma w posiadaniu również grunty, co oznacza, że może nimi obrać i jest materialnie

► zabezpieczony. Trzeba w końcu rozdzielić państwo od Kościoła.

Wróćmy do kwestii aborcji. Pierwszym krokiem do zmian było częściowe wyzwolenie się ludzi spod wpływu Kościoła. Czy były jeszcze jakieś inne przyczyny?

– Były oczywiście konkretne przypadki i doświadczenia kobiet, które ucierpiały w trakcie obowiązywania 8. poprawki. W 1992 r. głośna była sprawa 14-latk, która padła ofiarą gwałtu i zaszła w ciążę. Rodzice dziewczynki postanowili zorganizować wyjazd do Wielkiej Brytanii, by tam dokonać aborcji, ale sąd przychylił się do wystąpienia prokuratora o zakaz podróży. Ogromny stres doprowadził dziewczynkę do poronienia. W tym samym roku odbyło się referendum, w wyniku którego zalegalizowano dostęp do informacji dotyczących aborcji za granicą, zyskałyśmy również prawo do swobodnego wyjazdu.

W Irlandii dopiero w latach 60. XX w. przyznano kobietom prawo do nauki w szkołach średnich.

Sprawa z 1992 roku była niestety jedną z wielu tragedii. Kobiety coraz częściej zaczęły dzielić się swoimi historiami w sieci, w mediach, ale prawdziwe zmiany zapoczątkowała sprawa Savity Halappanavar – 31-letniej Hinduski mieszkającej w Irlandii. Był 2012 rok, Savita w 17. tygodniu ciąży zgłosiła się do szpitala w Galway, uskarżając się na ból pleców. Tam usłyszała, że jest w trakcie poronienia. Wielokrotnie prosiła o aborcję, ale lekarze odmówili. Powiedzieli jej, że żyje w katolickim kraju, więc będą do końca bronić prawa dziecka do życia. W końcu rozwinęła się sepsa i pacjentka zmarła. Kilka dni później na ulice Dublina i innych irlandzkich miast wyszły dziesiątki tysięcy ludzi – nieśli zdjęcia Savity, nad mostem Ha'penny w stolicy zawisł transparent z napisem „Nigdy więcej”.

W tym samym czasie działałaś również w ruchu LGBT i byłaś odpowiedzialna za współorganizację historycznego referendum, w którym Irlandczycy uznali małżeństwa jedнопłciowe. Czy to łączyło się ze sprawą aborcji?

– W gruncie rzeczy są to tematy nierozłączne, które sprowadzają się do jednego – integralności cielesnej i wolności seksualnej. Wielka

dyskusja na temat dostępności aborcji i praw LGBT toczyła się równolegle. W 1992 r., a więc dokładnie w czasie referendum aborcyjnego, Irlandia zalegalizowała homoseksualizm. Lata 90. to czas różnych kampanii społecznych na rzecz osób LGBT, ale także unowocześnienia Irlandii – zarówno na poziomie gospodarczym, jak i obyczajowym. Na tej fali pojawił się temat małżeństw. Kwestia ta została poruszona w 2006 r., kiedy irlandzkie prawo nie uznało związku Katherine Zappone i Ann Louise Gilligan zawartego w Kanadzie. Wydarzenie to dało początek kampanii, która w maju 2015 r. zakończyła się uznaniem małżeństw osób tej samej płci. Warto dodać, że dwa miesiące później parlament przyjął ustawę, dzięki której osoby transpłciowe mogą dokonać prawnej zmiany oznaczenia płci. A to przetarło szlaki kampanii *pro-choice*.

W krótkim czasie Irlandczycy zbliżyli się do idei otwartości i tolerancji, jednak temat aborcji musiał jeszcze chwilę zaczekać. Dlaczego?

– Bo sprawy, choć podobne, różnią się pod kątem akceptacji społecznej. Kiedy walczysz o prawa do małżeństw, walczysz o równe prawa, o to, żeby osoby LGBT były traktowane tak samo jak reszta. Z początku trudno było oczywiście przekonać do tego Irlandczyków, ale ostatecznie trafiły do ludzi takie pojęcia jak miłość, rodzina, potrzeba bezpieczeństwa. A więc wartości, które są uniwersalne, tak samo bliskie i znane konserwatywnej części społeczeństwa. Uznano po prostu, że rodzina to rodzina – i kropka. Natomiast w wypadku aborcji chodzi o indywidualny wybór, z którym nie każdy chce się zgadzać.

W 2018 r. Irlandia zgłosowała jednak w referendum za usunięciem zapisu w konstytucji. Jak dziś funkcjonuje prawo aborcyjne?

– Po usunięciu 8. poprawki aborcja w Irlandii jest dostępna i legalna. Zgodnie z prawem każda kobieta może przerwać ciążę na żądanie do 12. tygodnia. Po upływie tego czasu zezwala się na aborcję tylko w wypadku wady płodu czy też w sytuacji

zagrożenia zdrowia lub życia matki. Ale w praktyce rozwiązanie to dalekie jest do ideału. Trzeba odczekać z wykonaniem aborcji trzy dni od wizyty, co oznacza, że kobiety na granicy 12. tygodnia mogą nie zdążyć z zabiegiem. Poza tym wiele kobiet ciągle nie spełnia warunków wymienionych w ustawie i musi wyjeżdżać do Anglii na zabieg. Kolejną kwestią jest to, że lekarze zasłaniają się klauzulą sumienia. Niekiedy trudno się dziwić. Za przerwanie ciąży wbrew zapisom ustawy można pójść do więzienia nawet na 14 lat, dlatego dla swojego dobra lekarze odmawiają pomocy pacjentkom.

Co oznacza, że aborcja legalna to nie zawsze aborcja dostępna.

– Walka trwa, jest jeszcze wiele do zrobienia. Żyjemy w kraju, w którym aborcja jest legalna, a ja za każdym razem, siedząc w samolocie do Londynu i widząc obok młodą dziewczynę, zastanawiam się, czy nie leci tam po to, żeby otrzymać pomoc. Czuję się wtedy bezradna, pokonana, ale powtarzam sobie, że nie wolno się poddawać. W protestach uczestniczę od prawie 40 lat, przeżyłam niejeden moment rezygnacji. Kiedy w 1996 r. przegraliśmy referendum w sprawie dopuszczenia rozwodów, zaczęłam zastanawiać się nad wyjazdem, ponieważ pomyślałam, że nie mogę dłużej żyć w tym kraju. Nigdy jednak tego nie zrobiłam, bo to mój dom. I to samo wyczuwam wśród polskich kobiet. Serce mi pęka, kiedy śledzę doniesienia z Polski, ale jednocześnie na duchu podnosi mnie ten nieprawdopodobny zapał ludzi. To klucz do sukcesu – masowy ruch społeczny. Polacy nie powinni więc spuszczać z tonu. Musicie ciągle wychodzić na ulicę, naciskać na władzę, to najważniejszy przywilej demokracji. Irlandia jest z wami i wierzymy, że niedługo będziemy świętować wasze zwycięstwo.

Mateusz Demski

Ailbhe Smyth – jedna z inicjatorek i liderek kampanii „Together for Yes”, która przyczyniła się do uchynienia 8. poprawki – konstytucyjnego zakazu aborcji wprowadzonego w Irlandii w latach 80. XX w. Wieloletnia liderka Krajowej Federacji LGBT i współorganizatorka historycznego referendum, w którym Irlandczycy zgłosowali za legalizacją małżeństw osób tej samej płci. W 2019 r. wraz z Grainne Griffin i Orlą O'Connor, współautorkami „Together for Yes”, znalazła się na liście „100 najbardziej wpływowych osób świata” magazynu „Time”.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Resztki z wakacji

W Chałupach na Helu odwiedzamy pole kempingowe nad zatoką, gdzie koczuje z rodziną Daniel, mój dorosły syn. Surfuje, jak wszyscy, którzy tu mieszkają. Pięknie wygląda zatoka pełna śmigających kolorowych żagli i latawców od kitesurfingu. A obozowisko to jakby brazylijskie fawele, stłoczone wysłużone kampery mieszkalne wciągają na siebie. Ale samochody na parkingu luksusowe, ceny tych mieszkalnych budek też. Wracając, stoimy w godzinnym korku, tak „krótko”, bo wpuszczono nas w kolejkę, gdy wyjechaliśmy z kempingu, a sznur samochodów ciągnął się pewnie do Kuźnicy. Hel jako jedno, długie wąskie gardło.

Od wczoraj puste już bocianie gniazda, wiele ich w tej wsi. Te puste gniazda nastrajają mnie melancholijnie. Kończy się lato, a zaczyna czas smuty.

Odwiedzamy słynną restaurację Ewa Zaprasza, w pobliskiej wiosce Sasino. Byliśmy tu kilka lat temu. Zmieniła się nie do poznania, rozbudowała, jedliśmy jakby w szklanym akwariu, bardzo wszystko estetyczne, świetna obsługa, no i niezwykle jedzenie. Paryż w niewielkiej i niepięknej wsi.

Wróciliśmy przez Sopot do Warszawy o północy. Zmęczeni po konfliktach w samochodzie. Z tyłu dzieci biorą się za łby, żona też nerwowa, w podróży ma „krótki lont”. Męka wypakowywania bagaży z samochodu. I zaraz się okazuje, że nie ma wody. Znowu awaria pompy. A przecież to czubek piramidy różnych małych nieszczęść. W czasie pobytu w S. kilka razy w środku nocy zrywał nas z łóżka telefon, dzwoni stacja monitorowania, sygnał włamania, czy wysłać patrol? Zawsze to były fałszywe alarmy, ale noce zatrute niepokojem. Żona ma teorię, że to pająk, ale ile razy pająk może wchodzić na czujkę. Alarm nam po prostu zwariował. Wczoraj wieczorem w hotelu w Sopocie odkryłem, że mam stłuczony ekran komórki. A przecież mi nie upadła. Podejrzenie padło na młodszego synka Frania, bo pożyczał ode mnie smartfona. Ale nigdy nie oskarżam, jak nie mam pewnych dowodów, a nawet jeśli je mam, to bardzo trudno mi oskarżać. Franio przekonuje mało przekonująco, że jest niewinny. Ale wierzę mu, bo zawsze lepiej wierzyć, niż nie wierzyć. Szczególnie jak się kogoś kocha. Tej nocy w hotelu zalałem łazienkę, nie zauważyłem, że kabina jest niedomknięta. Męka sprzątania.

Ja z żoną w eleganckim hotelu fundowanym przez sopocki Festiwal Literatury, a dzieci śpią u naszego przyjaciela Krzysia z Toronto, który wynajmuje w Sopocie przestronny apartament pod skarpą obrośniętą dzikim

i mrocznym lasem, spokojne miejsce, kwadrans od mola. Cudnie być z Krzysiem i słuchać jego niezwykłych opowieści, ma dar patrzenia i opowiadania. Mieszka na stałe w Kanadzie, ale pochodzi z Sopotu i spędza tu wiele czasu. Szuka miejsca, gdzie mógłby spędzić ostatnie lata życia, ale wie, że to nie będzie Polska, nie ma mowy. Tu unoszą się w powietrzu gęste i złe emocje.

Potem w Państwowej Galerii Sztuki u nasady mola polsko-włoski panel „Pisarze a władza, niebezpieczne związki”. Pełna sala, zabrakło miejsc. Czuję się dobrze i mówię swobodnie, snując różne wątki z „Domu pisarzy w czasach zarazy”. Po spotkaniu dwie osoby przychodzą po autograf, ale nie z „Domem”, lecz z moim „Krótkim przewodnikiem po depresji”. Też znak czasu.

Deptak sopocki. Płynięcie nim wartka i gęsta rzeka ludzi. Zachodzimy na molo. Mieszkałem po raz pierwszy w Sopocie w domu Zaiksu, naprzeciw Grand Hotelu, gdy

byłem pewnie w wieku Frania, potem jeszcze kilkakrotnie. Miałem bodaj 16 lat, gdy ktoś mi załatwił bilet na festiwal. Śpiewały Ewa Demarczyk i Anna German, pamiętam, że ta druga właśnie w naszym domu Zaiksu, gdzie mieszkali kompozytorzy i autorzy tekstów, próbowała swój głos, aż trzęsły się szyby. I koniec wakacji, ponura pogoda i znowu będzie mijał kolejny rok.

Za niską dietę odpowiada rząd Platformy Obywatelskiej – twierdzi minister rodziny Marlena Małag, która była gościem TVP. Jej zdaniem dopiero PiS podjęło działania na rzecz poprawy sytuacji demograficznej Polski. „Polska jest w pułapce demograficznej, która wynika z zaniedbań poprzedników”. To jest pułapka, którą PO zastała na PiS, a oni w nią wpadli. Nawet 500+ nie pomogło i dietę polska w kryzysie, co zagraża bytowi narodu. Jak zmusić Polki, by więcej rodziły? Zakaz aborcji też nie pomaga ani zakaz edukacji seksualnej. Może teraz zakaz antykoncepcji? Zostaje chyba już tylko imigracja, to się sprawdziło na Zachodzie, ale PiS jej za Boga nie chce, nie chce nawet grupki biednych Afgańczyków z polsko-białoruskiej granicy. Czy naród polski jest więc skazany na wymarcie? A z tej afery na granicy, jestem pewien, PiS skorzysta propagandowo. Prezes zaciera malutkie dłonie. To będzie obfite wyborcze paliwo. Będą nas straszyć, że jak opozycja dojdzie do władzy, to zaleje Polskę obcymi, islamskimi fanatykami, roznosicielami zarazków. To trafia do naszych miłosiernych chrześcijan jak mało co.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Z tej afery na granicy PiS skorzysta propagandowo. Prezes zaciera malutkie dłonie. To będzie obfite wyborcze paliwo.

Hiszpania walczy z wyludnieniem wsi

W ostatnich 50 latach hiszpańska prowincja straciła 28% ludności

Tomasz Skowronek

W najnowszym hiszpańskim *reality* show 40 uczestników będzie rywalizować o możliwość założenia firmy w wiosce liczącej mniej niż 5 tys. mieszkańców. W 20-odcinkowym programie „Ruralmind”, który ma zostać wyemitowany w październiku na Twitchu i YouTube, uczestnicy będą rywalizować o wprowadzenie w życie, a następnie rozwinięcie pomysłu na biznes. Jedynym haczykiem jest to, że muszą otworzyć ten biznes w wiosce, w której mieszka mniej niż 5 tys. osób. „Celem jest radykalna zmiana sposobu, w jaki ludzie postrzegają życie na wsi – powiedziała Patricia García Gómez, współtwórczyni programu. – Postrzegamy wsie jako miejsca dla agroturystyki lub rolnictwa, ale nie widzimy, że można założyć w nich każdy rodzaj start-upu”.

Uczestnicy programu zostaną wysłani do trzech podupadających wiosek w północnej i środkowej Hiszpanii, gdzie z pomocą mentorów opracują biznesplany. Ostatecznie zwycięzców ma być trzech – dostaną oni 3 tys. euro, a organizatorzy mają nadzieję, że będzie to nowe spojrzenie na życie na wsi.

Patricia García Gómez toczy osobistą walkę z wyludnieniem wsi. 12 lat temu przeprowadziła się do Villarrín de Campos – wioski w północno-zachodniej Hiszpanii, której populacja systematycznie się zmniejsza. Zwabiona jakością życia w mieście liczącej wówczas 525 mieszkańców zaczęła przekształcać dom, który niegdyś należał do jej prapradziadków, w ośrodek agroturystyki. Dziś tamtejsza populacja liczy 390 osób. „Minęło sześć lat bez narodzin ani jednego dziecka w wiosce. Z roku na rok wioska powoli wymiera”, stwierdziła García Gómez.

W ciągu ostatnich 50 lat hiszpańskie wsie straciły 28% ludności i obecnie mówi się o nich *la España vacía* – pusta Hiszpania.



Niektóre wioski żyją według konkretnych dat i godzin. Andaluzijska Sillar Baja jest domem dla zaledwie 67 osób. Ostatni bar zamknięto tu trzy lata temu, a od zamknięcia ostatniego sklepu minęło już 10 lat. Zakupów w Sillar Baja dokonuje się w furgonetce, która codziennie dostarcza chleb. Inna z kolei sprzedaje w środy ryby, natomiast furgonetka z lekami przejeżdża w każdą sobotę. Mięso, owoce i warzywa trzeba kupić w oddalonym o 7 km mieście Darro lub w Diezmie, która jest jeszcze dalej. Według burmistrz Emilii Troncoso „wszyscy, oprócz jednej rodziny, która ma dwoje małych dzieci, są starzy lub bardzo starzy”.

W ok. 20 wsiach w regionie Granady nie ma ani sklepu, ani baru. Miejscowość Limones jest oddalona o 45 minut jazdy od Granady. Lucía Lucena jest burmistrznią Limones i zarazem jego ostatnią sklepikarką. Swoją sklep spożywczy i farmaceutyczny zamknęła osiem lat temu. Po latach ostatni bar w „wiosce emerytów” również został zamknięty. Zakupy odbywają się teraz zgodnie z kalendarzem: chleb przyjeżdża codziennie, sprzedawca owoców i ryb – we wtorki i soboty, sporadycznie pojawiają się sprzedawcy gazu

butanowego. Serowar, który przywozi też kielbaski, przyjeżdża do Limones co 15 dni. Problem kupowania leków jest rozwiązany od roku: farmaceuta, który jest „bardzo potrzebny, ponieważ wszyscy tutaj mają od 60 do 80 lat”, jak mówi Lucena, przyjeżdża do wioski w środy i piątki, w tym samym czasie co lekarz.

W walce z wyludnieniem niektóre miejsca bądź rejony zaczęły działać na własną rękę. W samej Galicji są 3562 opuszczone wioski, a z każdym tygodniem ich liczba powiększa się o kolejną. Wiele wiosek jest wystawionych na sprzedaż. Ceny wahają się od 85 tys. euro do kilku milionów. Coraz częściej żądni przygód obcokrajowcy i przedsiębiorcy Hiszpanie kupują je, korzystając z okazji cen. Zainteresowanie opuszczonymi miejscami wzrosło po tym, jak aktorka Gwyneth Paltrow oznaczyła jedną ze swoich wiosek na stronie internetowej jako prezent gwiazdkowy.

Natomiast władze Pescuezy, małej wsi w zachodnim regionie Estremadury, liczącej zaledwie 172 osoby, opracowały strategię „Zostań z nami”, czyniąc ją możliwie atrakcyjną dla seniorów (którzy stanowią 65% mieszkańców). Dzięki otwarciu centrum z pomocą, specjalnym, bezpłatnym

Miasteczko Gargallo w prowincji Teruel.



pojazdów dla emerytów, poręczym na ulicach i corocznemu festiwalowi muzycznemu zamienili wieś w dom opieki na świeżym powietrzu. Pescueza odnotowała ożywienie nie tylko wśród seniorów, ale i w młodszych pokoleniach. W ciągu ostatnich siedmiu lat w wiosce urodziło się aż 14 dzieci – po 17 latach bez narodzin. „Nasz projekt sprawdziłby się w mniejszych miastach, poniżej tysiąca mieszkańców”, zaznacza burmistrz Andres Rodriguez. Jeszcze inne wioski rozpoczęły z różnym powodzeniem programy mające przyciągnąć imigrantów do życia w umierających wsiach.

Według Krajowego Urzędu Statystycznego pięć regionów wiejskich (Aragonia, Castilla y Leon, Castilla-La Mancha, Extremadura i Rioja), które stanowią 53% obszaru Hiszpanii, mają obecnie tylko 15% ludności. Współczynnik dzietności w Hiszpanii, wynoszący 1,3% w 2017 r., był drugim najniższym w Unii Europejskiej – po Maltcie, a przepaść pomiędzy liczbą urodzeń w miastach i na wsi jest w tym kraju jedną z największych w UE. Brak młodych ludzi oznacza, że populacja nie jest uzupełniana, a regiony tracą także przedsiębiorców, którzy mogliby tworzyć miejsca pracy i napędzać lokalną gospodarkę.

W marcu tego roku lewicowy rząd Hiszpanii ogłosił plan o wartości 10 mld euro, wykorzystujący fundusze, które UE przeznaczyła na odnowę populacji. Plan obejmuje 130 różnych rodzajów środków mających na celu rozwiązanie tego demograficznego wyzwania i zagwarantowanie równych szans w całym kraju. „Praca na rzecz przywrócenia równych szans w zakresie praw ludzi na całym terytorium ma kluczowe znaczenie”, powiedziała na konferencji prasowej Teresa Ribera, minister ds. przemian ekologicznych i wyzwań demograficznych. Ribera poinformowała również, że w Hiszpanii jest 6,8 tys. miejscowości zamieszkałych przez mniej niż 5 tys. mieszkańców, a wiele z nich bez wypełnionego limitu 12,5 mieszkańców na kilometr kwadratowy.

Pakiet pomocy rządowej obejmuje rozbudowę sieci telefonicznej 5G w całej Hiszpanii, rozwój inteligentnych technologicznie miast na obszarach wiejskich oraz regionalnych centrów innowacji. Dodatkowa pomoc zostanie udzielona również osobom

mieszkańca na kilometr kwadratowy – mniej niż w Laponii. „To prawdziwy problem środowiskowy, ludzki i historyczny – katastrofa dla całego kraju – mówi Tomas Guitarte w rozmowie z Al Dżazirą. – Jakiś czas temu, kiedy spotkałem króla, przypominałem mu, jak w 2000 r., jako księżę koronny, przybył do Teruel. Powiedzieliśmy mu, że największymi problemami regionu jest wyludnienie i brak infrastruktury. Minęło 19 lat i te problemy stały się jeszcze poważniejsze, a miejsca takie jak Teruel mogą całkowicie opustoszeć”.

Guitarte, którego rodzina opuściła region, gdy miał 10 lat, twierdzi, że zrobiła to „dlatego, że rodzice chcieli mieszkać gdzieś, gdzie mógłbym zdobyć wykształcenie akademickie, co było prawie niemożliwe w tamtym czasie w Teruel”.

Ale najbardziej uderzającym przykładem porzucenia Teruel jest z pewnością sektor transportu. Hiszpania słynie z szybkich linii kolejowych, ale kiedy na początku XXI w. zbudowano szybkie połączenie kolejowe Madryt-

Wiele wiosek jest wystawionych na sprzedaż. Ceny wahają się od 85 tys. euro do kilku milionów.

starszym na obszarach wiejskich, a także kobietom i młodym ludziom w znalezieniu pracy. Premier Pedro Sánchez zachęcał Hiszpanów, jak i turystów, do spędzania urlopów w wioskach. „Chciałbym szczególnie podkreślić, że (turyści) powinni cieszyć się bogatymi wiejskimi atrakcjami, jakie ma nasz kraj, to jeden z klejnotów w koronie”, powiedział Sánchez na marcowym spotkaniu burmistrzów w Madrycie.

Pustoszące wsie Hiszpanii stały się poważnym problemem, uwydatniając rozczarowanie tamtejszym systemem politycznym wśród wiejskich wyborców, którzy przez lata czuli się zaniedbywani przez rządzących.

W Teruel – jednej z prowincji, w której brakuje szpitali, szkół, dostępu do internetu, szkoleń i pracy – działacze utworzyli partię o nazwie Teruel Existe, która zdobyła miejsce w parlamencie w wyborach powszechnych w 2019 r.

Od dziesięcioleci populacja Teruel się zmniejsza, a w 2017 r. niektóre jej części zanotowały średnio 1,63

-Walencja, próby o poprowadzenie trasy przez Teruel zignorowano.

Jeśli chodzi o oferowaną w ramach rekompensaty dwutorową kolej, nigdy jej nie zbudowano, a opublikowany w 2018 r. film, w którym traktor wyprzedza pociąg, poruszający się z prędkością ok. 30 km/godz., do dziś jest popularny w mediach społecznościowych.

„Politycy od lat nas zaniedbują”, powiedział VOA Carlos Vallejo, rzecznik Soria Ya, grupy walczącej z zaniedbaniem w prowincjach, blisko współpracującej z Teruel Existe. Vallejo ma teraz nadzieję, że po zapowiedziach rząd w końcu podejmie walkę z wyludnieniem.

„Chcemy trzech rzeczy: lepszej infrastruktury, takiej jak autostrady; lepszych usług, takich jak szpitale, ponieważ w tej chwili mamy tylko jeden, przez co zmagaliśmy się z prawdziwym obciążeniem podczas pandemii; i lepszej łączności, ponieważ wi-fi nie jest wystarczająco dobre w niektórych częściach Sorii”.



Raj zupełnie utracony

Haiti to dziś synonim wszystkich możliwych klęsk i tykająca bomba dla całej półkuli

Mateusz Mazzini

Spywające w nocy z 6 na 7 lipca depesze o zamachu na prezydenta Jovenela Moise'a pachniały nie tylko sensacją, ale przede wszystkim podróżą w czasie. Wiele rzeczy, w tym rzeczy złych, dzieje się na świecie, ale informacje o morderstwach głów państw nie pojawiają się często w serwisach międzynarodowych. Są raczej wspomnieniem czasów zimnowojennych dyktatur i przewrotów. Dlatego kiedy z Haiti przyszła wieść o tym, że prezydent leży martwy w kałuży krwi we własnej rezydencji, można było pomyśleć, że na podłogę spadła stara kartka z kalendarza.

Na Haiti czas zdaje się płynąć nie linearnie, lecz w pętli chaosu, załamania i kryzysów. Tak się działo tutaj jeszcze w czasach kolonialnych i następującej po niej chybotałej niepodległości. Wywalczona wcześniej, bo już w 1804 r., jako druga na całej półkuli, narodziła się z powstania niewolników przeciwko rządowi Napoleona i okupiona była latami

brutalnych walk partyzanckich. Spokoju jednak nie przyniosła, bo ojciec haitańskiej wolności Jean-Jacques Dessalines stał się od razu pierwszym przywódcą i pierwszym dyktatorem kraju. Po nim było ich jeszcze wielu, z przerwami na amerykańskie interwencje, a nawet trwającą prawie całe międzywojnie okupację kraju przez Wielkiego Brata z północy. Po raz ostatni Amerykanie na Haiti pojawili się na dłużej w 1994 r., w następstwie, a jakże, zamachu stanu.

Haiti to od lat państwo stojące na krawędzi upadku. Ale to także narcoestado – państwo narkotykowe.

Wtedy usunięty z prezydenckiego fotela został Jean-Bertrand Aristide, a Waszyngton przez pół roku, mocą swojej marynarki wojennej i dzięki mandatowi Narodów Zjednoczonych, próbował „utrzymać demokrację”, bo taką oficjalną nazwę nosiła ta operacja.

Historia haitańskiej państwowości jest więc historią powrotów do przeszłości, powtarzających się

schematów i innych dramatycznych wydarzeń. Tak często jak przewroty i okresy politycznej niestabilności zdarzały się tam bowiem huragany, trzęsienia ziemi, tropikalne sztormy, klęski głodu i epidemie. To właśnie z powodu dramatów humanitarnych Haiti zyskiwało jakiejkolwiek zainteresowanie świata zewnętrznego. Ostatni raz w 2010 r., kiedy gigantyczne trzęsienie ziemi o sile 7,0 stopni w skali Richtera i epicentrum w odległości 25 km od stolicy kraju, dwumilionowego Port-au-Prince, zdewastowało ten wyspiarski kraj i zabrało życie 230 tys. osób.

Powstałe wtedy szkody, wyceniane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż na ponad 8 mld dolarów, nigdy nie zostały w pełni naprawione. Trzęsienie ziemi pozbawiło Haiti

infrastruktury, oświaty, ochrony zdrowia, budynków użyteczności publicznej, a pewnym sensie też życia. W następstwie katastrofy kraj opuściło, według różnych danych, od 300 tys. do nawet 1,5 mln osób. Najłatwiej mieli ci, na których czekały rodziny albo przynajmniej większa haitańska diaspora, najczęściej w USA i Kanadzie. Pozostałych odnaleźć można niemal w każdym

kraju Ameryki Łacińskiej, od Chile po Meksyk. Zwykle stanowią tam najbardziej niebezpieczną warstwę migrantów. Bez zalegalizowania pobytu, ważnych dokumentów, stałej pracy, a nawet bez dachu nad głową. Trwają jednak w tym zawieszeniu, bo to i tak lepsze niż powrót do trawionej permanentnym kryzysem ojczyzny.

O ile jednak trzęsienie ziemi z 2010 r., przy całej swojej dewastującej sile, było pojedynczym wydarzeniem, o tyle nieco ponad dekadę później Haiti doświadczyło kumulacji katastrof tak gęstej, że aż mało realistycznej. Na początku lipca zamordowany został Moïse, od pół roku i tak rządzący według wielu nielegalnie, a od ponad dwóch lat

niedemokratyczne, stojące na krawędzi upadku. Ale to także *narco-estado* – państwo narkotykowe. Określeniem tym opisuje się kraje, przez które narkotyki szmuglowane są w sposób nieograniczony, a sam aparat państwowy do tego się przyczynia, najczęściej czerpiąc z przemytu spore korzyści materialne. Gangi na Haiti mają olbrzymią moc sprawczą, często wynikającą z kontrolowanych przez nie zasobów, w tym finansowych. Ich pozycja wzmocniła się jeszcze w czasie pandemii, ponieważ jako jedyne dysponowały gotówką, więc szybko stały się nie tylko alternatywą dla legalnej pracy, ale nawet jedyną szansą na przetrwanie.

Gangi zdestabilizowały kraj politycznie, a teraz uniemożliwiają jego odbudowę.

czysto dyktatorsko, za pomocą dekrétów, bo konsekwentnie w tym czasie odmawiał choćby przeprowadzenia wyborów do parlamentu, nie mówiąc o powołaniu tej instytucji. Nieco ponad miesiąc później ziemia znów się zatrzęsała. Tym razem nawet mocniej, bo sejsmografy pokazały aż 7,4 stopni w skali Richtera. Epicentrum było na szczęście dalej od najgęściej zaludnionej części kraju, więc ofiar było mniej. Dzisiaj ich liczba nieco tylko przekracza 2 tys., co jest ułamkiem tragedii z 2010 r. Na tym jednak się nie skończyło. Dwa i pół dnia po wstrząsie przyszła Grace – tropikalny sztorm, który zalał zgliszcza, przewrócił chwiejące się domy i uniemożliwił szybkie udzielenie pomocy ofiarom trzęsienia ziemi. Do 2,2 tys. ofiar dołożył trzeba 12 tys. rannych, 300 wciąż zaginionych – to dane za USAID, amerykańską agencją pomocy rozwojowej, największym aktorem działań humanitarnych na Haiti. UNICEF z kolei dopełnia obraz skalę zniszczeń: 1,2 mln osób poszkodowanych przez katastrofy, w tym 540 tys. dzieci. Oraz ponad pół miliona osób, którym pomoc trzeba natychmiast.

Próbuje to zrobić USAID, próbuje UNICEF, próbują inne organizacje. Na drodze stają im nie tylko przeszkody fizyczne, jak zerwane mosty czy zalane drogi, ale też, a może przede wszystkim gangi. Haiti to od lat państwo niestabilne,

Z gangami dogadywać się musiał Jovenel Moïse, a układy te doprowadziły do utraty poparcia ze strony zagranicznych sojuszników. Rosnący w siłę autokrata, wspierany okazjonalnie przez narkotykowych baronów, nie dawał już Zachodowi gwarancji, że wierzy w demokrację. Kolejne administracje w Waszyngtonie wzywały go do przeprowadzenia wyborów parlamentarnych, Unia Europejska odmówiła wsparcia przy organizacji tych prezydenckich, stwierdzając, że i tak nie będą uczciwe. Ślad narkotykowy pojawia się zresztą w śledztwie w sprawie jego morderstwa.

Pod koniec sierpnia „New York Times” poinformował, że Dimitri Hérard, szef osobistej ochrony prezydenta, od lat znajdował się na celowniku DEA, amerykańskiej agencji rządowej walczącej z przemytem narkotyków. Amerykanie podejrzewają, że Hérard był odpowiedzialny za odbiór w stołecznym porcie przetrzymanej z Panamy przesyłki: 800 kg kokainy i 300 kg heroiny. Haitińska policja przemyt odkryła, ale gdy oficerowie pojawili się na miejscu, narkotyków już nie było. Trop w tej sprawie prowadzi też do szwagra prezydenta. Dodając do tego fakt, że konkluzje w śledztwie po zamachu są niejasne, a oficjalna interpretacja, głosząca inspirowany z zagranicy atak na haitańską niezależność, brzmi jak słaba teoria spiskowa, nie

można wykluczyć, że Jovenel Moïse zginął, bo w świecie gangów zmienił się układ sił, a on stał się ofiarą tej zmiany.

Gangi zdestabilizowały więc kraj politycznie, a teraz uniemożliwiają jego szybką odbudowę. Konwoje humanitarne są dla nich łakomym kąskiem. Dodatkowo, jak donosi amerykańskie radio NPR, ponieważ ich członkowie sami są poszkodowani, zagarniają pomoc dla siebie, również medyczną. W ubiegłym tygodniu porwano w Port-au-Prince dwóch chirurgów, w tym jednego z ostatnich w kraju ortopedów. Pozornie dla okupu, faktycznie, by udzielił pomocy gangsterom. Szpitale są już przepełnione, a pracownicy organizacji humanitarnych boją się wyjeżdżać na prowincję. Pomoc, jeśli więc w ogóle dociera do kraju, nie trafia do tych, którzy jej najbardziej potrzebują.

Żeby pomóc Haiti, nie wystarczą tylko chęci. Nie obejdzie się zapewne bez konfrontacji z gangami i narzucenia reform. W pewnym sensie będzie to więc znów okupacja, nawet jeśli tylko częściowa i w dobrej wierze. Alternatywą jest ponowna destabilizacja i miliony migrantów, którzy trafią do biednych, pozbawionych infrastruktury państw regionu. W interesie wszystkich jest więc, by tym razem haitański cykl chaosu nie zaczął się od nowa.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W najnowszym numerze tygodnika „NIE” można przeczytać i zobaczyć, jak pisowcy zmieniają oblicza. Swoje oblicza.



Tomasz Mitkowski

Rok Różewicza: Kartoteka prawnuków

Utwór Tadeusza Różewicza staje się kluczem do opisu świata dla kolejnych pokoleń

Kiedy demonstracyjnie krytyczna wobec ówczesnego teatru „Kartoteka” Tadeusza Różewicza pojawiła się na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie (1960), Jan Kott z rozbrajającą szczerością stwierdził, że „Różewicz napisał naprawdę tradycyjny dramat narodowy”. Za nim powtarzali to inni, dodając, że to dramat pokolenia porażonych wojną, wciąż przeżywających traumę i z trudem znajdujących miejsce w powojennej rzeczywistości.

Tego rodzaju interpretacja pozbawiła „Kartotekę” wymiaru uniwersalnego, a tymczasem utwór staje się kluczem do opisu świata dla kolejnych pokoleń: synów, wnuków, a nawet prawnuków. Taki sposób czytania dramatu podtrzymał i wzmocnił sam poeta, reżyserując wraz z aktorami Teatru Polskiego we Wrocławiu „Kartotekę rozrzuconą” (1994), czyli nowy wariant dramatu w zmienionych okolicznościach historycznych.

A jak jest dzisiaj? Czy „Kartoteka” zachowała zdolność krytycznego narzędzia rzeczywistości polskiej XXI w.? I czym jest dla pokolenia prawnuków Bohatera? Czy nie tylko zabytkiem, czy nie tchnie anachronizmem? Młodzi reżyserzy, wnukowie i prawnukowie Bohatera próbują dowiedzieć, że tak nie jest, choć sięgają po ten tekst dość rzadko – wśród dwudziestu kilku realizacji sztuki Różewicza w pierwszych dwóch dekadach XXI w. zaledwie sześć jest dziełem pokolenia prawnuków Bohatera. Za interesowanie „Kartoteką” wykazują niemal wyłącznie mężczyźni, choć to kobieta – niedoceniana reżyserka Wanda Laskowska – wprowadzała ten utwór na polską scenę niemal na własne ryzyko, ponieważ władze nie udzieliły zezwolenia na jego wystawienie i dopiero po próbnym pokazie spektakl został zatwierdzony do eksploatacji w Teatrze Dramatycznym m.st. Warszawy.

Dlaczego młodzi reżyserzy tak rzadko sięgają po „Kartotekę”, skoro – a widać to po rezultatach ich prac – spotkania z dramatem Różewicza kończą się dość szczęśliwie, często oceniane jako odkrywcze? Jako pierwszy wnuk odważył się na konfrontację Paweł Kamza (rocznik 1963) w Teatrze Współczesnym

w Szczecinie (1997). Przedstawienie miało sportretować powojenne pokolenie, a zwłaszcza pokolenie rocka. Reżyser poszatkował utwór, dowolnie montując w nową całość, wyrzucił niepotrzebne mu doświadczenia ojców, dopisał (scenicznie) dziesiątki obrazków, sugerujących osadzenie akcji w epoce rockandrollowców.

Nietrudno wskazać źródło takich pomysłów – jest nim „Kartoteka rozrzucona”, w której pojawia się drugi Bohater, a przeżycia ich obu są przemieszane. W „Kartotece” Kamzy też jest dwóch Bohaterów, ale na tym podobieństwo się kończy. O ile bowiem zarówno dawna, jak i nowa wersja dramatu są drapieżnym ko-

z nowej wersji dramatu, a zarazem na wprowadzenie na scenę dwóch Bohaterów. Sygnalizowało to podwójną optykę opowieści, będącej z jednej strony relacją o sytuacji duchowej pokolenia wojennego, a z drugiej próbą ukazania rozterek młodego pokolenia.

Kruszczyński odmłodził „Kartotekę”, odnajdując w niej motywy bliskie dzisiejszej młodej generacji. Ożywczym pomysłem było przeobrażenie Chóru Starców w chór raperów, przedstawicieli „starej młodzieży”, jak to wyjaśniał reżyser. Ci młodzi zblazowani rockmeni byli bowiem w istocie prawdziwymi starcami, już wszystko wiedzieli, niczym się nie cieszyli, byli starzy od urodzenia.

Dlaczego młodzi reżyserzy tak rzadko sięgają po „Kartotekę”, skoro ich spotkania z Różewiczem są często oceniane jako odkrywcze?

mentarzem, przypisanym do powojennej historii, o tyle wypreparowany z „Kartoteki” scenariusz Kamzy przypomina gumową kość do obgryzania. Można bezpiecznie się nią bawić, nikomu przykroć nie sprawi. Reżyser cierpi na nadmiar pomysłów. Nie tylko niemiłosiernie kroi tekst, ale przedstawia kwestie, przypisuje je innym postaciom, niektóre powtarza.

Drugiemu z grupy wnuków, Pawłowi Kruszczyńskiemu (rocznik 1967), który przyznawał się publicznie, że inspiracją jego „Kartoteki” był spektakl Kazimierza Kutza w Teatrze Narodowym (1999), powiodło się lepiej. Jego „Kartoteka” z Teatru im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie (premiera 21 listopada 1999) wyróżniała się przemyślaną kompozycją scenariusza. Wychodząc od „Kartoteki rozrzuconej”, reżyser wpisał ją w „Kartotekę” klasyczną. Ten zabieg pozwolił mu na wykorzystanie niektórych scen

Prawdziwe trzęsienie w krytycznej interpretacji utworu Różewicza przyniosła kolejna, bodaj najgłośniejsza przygoda prawnuka z „Kartoteką” – spektakl Michała Zadary (rocznik 1976) we Wrocławskim Teatrze Współczesnym (2006). Jak wiadomo, Tadeusz Różewicz w swoim radykalnie zamierzonym dramacie otwartym chciał zrezygnować z Bohatera, ale uległ perswazji teatru i w końcu go ocalił, a nawet zmusił do działania.

Zadara nawiązał do pierwotnego zamysłu autora i zaczyna „Kartotekę” tam, gdzie poeta kończy, w gruncie rzeczy w duchu Różewiczowskim. „Kartoteka” z dramatu otwartego przepoczwarza się więc w utwór postdramatyczny, a Różewicz okazuje się po raz kolejny prekursorem, który wyprzedził epokę, a teraz epoka z trudem go dogania. Tak pokrótce mogłaby brzmieć teza rozprawy naukowej poświęconej recepcji



Próba „Kartoteki” w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

„Kartoteki” od Różewicza do Zadary i z powrotem. Gratka dla tych, którzy lubią śledzić przemiany idei i form w sztuce. Ale i wspaniały prezent dla staruchów teatromanów, którzy mogą smakować to cudowne ocalenie swojego ulubieńca (Różewicza) przed zarzutem stęchlizny czy starzyzny.

Jednak ten spektakl, kipiący bezkierunkową energią, przy okazji może udusić dziecko, które rodzi. „Kartoteka”, dramat otwarty i ułożony nielinearnie, z wieloma meandrami, w spektaklu Zadary zatracą kontury – rzecz nie w tym, że nie ma tu jednego Bohatera, jego kwestie krążą między aktorami. Doprawdy trzeba dużo umieć, aby pozwolić sobie na dekonstrukcję dekonstrukcji. Niewiele jednak z Różewicza ocalało: pouczenia wychowawcze rodziców, dialog z Tłustą Kobiętą (tu świetny Peszek), może coś jeszcze. Reżyser odnalazł swoją publiczność (notabene nie tylko wśród młodych widzów). Jedno jest pewne – Zadara potrzęsnał publicznością i wykazał, że jest czego w „Kartotece” szukać. Jego spektakl miał silne wsparcie marketingowe – pokazywany w Warszawie podczas Zadara.fest, a także wystawiany podczas szeroko zakrojonego projektu „Różewicz rozrzucony” (m.in. prezentacja w Krakowie), spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Z dramatem Różewicza konfrontował się też Piotr Ratajczak (rocznik

„Kartoteka rozrzucona”
w reżyserii Radosława Rychcika
w Teatrze Studio.



1975). Jego koszalińska „Kartoteka” (2011) zdobyła uznanie i stąd wędrowała potem po kraju jako spektakl zakwalifikowany do projektu „Teraz Polska”. Reżyser, który dowodził wrażliwości na powstające zagrożenia w życiu publicznym, w teatralnym programie zapowiadał: „WIELKI POETA jest, i był zawsze wnikliwym i wyczulonym obserwatorem rzeczywistości. Jego »Kartoteka«, genialny projekt teatralny, powstała ponad

50 lat temu. Dziś w kontekście nowej rzeczywistości politycznej i społecznej staje się niezwykle aktualnym obrazem świata i człowieka z kolejnego straconego pokolenia. W dobie oplatającej nas globalnej sieci, wszechobecnych mediów, kamer kontrolnych, czipów, ekranów, billboardów i podsłuchów, każdy z nas może stać się oskarżonym i skazanym. Każdy z nas ma własną skrzętnie uzupełnianą kartotekę”. Ta zapowiedź oznaczała przesunięcie punktu ciężkości z samego Bohatera na agresywny świat, w którym zaczyna dominować wirtualna przemoc. I tak się stało w tym spektaklu – pokoleniowe rozliczenia zeszły na plan dalszy.

Reżyser sięgnął po formę przypominającą „Big Brothera” albo popularny *talk-show*, w którym Bohaterowi przypada rola uczestniczącej w *show* jednostki, poddawanej testom i naciśkom. Praktycznie zrezygnował z dekoracji, jest tylko łóżko, na którym przysiadają przybywające z zewnątrz postaci, rozrzucone wśród widzów na widowni – to one są fiszkami.

Nie czekają na swoje pięć minut, ale dogadują, bucą, reagują na to, co się dzieje, czyli na to, co jest obserwowane przez kamerę Dziennikarza i rzucane na ekran. Prawdziwy świat kryje się w anonimowych mediach, a tzw. realny świat jest tylko scenografią.

Na koniec Ratajczak nieci iskry nadziei, bo oto Bohater przekracza szklaną ścianę, a choć za nią odśłania się pustka teatralnej widowni, to kto wie, czy nie uda się jej ożywić. Może to niejasne, ale reżyser stawia pytania, nie dając odpowiedzi, a jego spektakl zachęca do ich samodzielnego poszukiwania. Zastosował zatem Ratajczak zabieg radykalny – dramat pokolenia wojennego zmienił na dramat współczesnego pokolenia poddawanego elektronicznej obróbce. Opresję historyczną zastąpiła opresja technologiczna.

Spotkanie z Bohaterem okazało się także płodne dla Andrzeja Majczaka (rocznik 1972). Jego olsztyński spektakl (Teatr im. Stefana Jaracza, 2016) został wyróżniony licznymi nagrodami na festiwalu Klasyka Polska w Opolu, a wśród nich przez dziennikarzy za siłę i prawdę wyrazu. Na czym polegała owa siła? Przede wszystkim na niebywałej presji, jakiej ▶

► poddawany jest Bohater, który „musi spełnić oczekiwania – wyjaśniał reżyser – swojej kobiety, rodziców, dziecka. Jednocześnie powinien się określić politycznie, pamiętać o historii i dziedzictwie, dać wyraz temu, że pamięta. Wydaje mi się, że to sytuacja, która celnie odnosi się do

nie grać albo trzymać się scenariusza „kanonicznego”. Rychcik znalazł własny klucz, przenosząc Bohatera na dach budynku w warszawskim osiedlu i w nasze czasy – przesunął utwór o 20 lat do przodu, czyli w pewnym sensie opowieść dotyczy właściwie prawnuków Bohatera

wykorzystał kazanie Piotra Skargi, zastąpił fragmentami (pożal się Boże) debaty w Sejmie po sławetnych urodzinach Hitlera wyprawionych w lesie przez stowarzyszenie Duma i Nowoczesność. Teraz już wiadomo, przed czym uciekał Bohater (kolejna dojrzała kreacja Bartosza Porczyka), koczujący na dachu, skąd prowadzi się transmisję wideo, a obrazy rzucane na ekran przybliżają detale zachowań aktorów, zwłaszcza Bohatera.

Spektakl zyskiwał oryginalność dzięki wprowadzeniu elementów opery komicznej – śpiewane lub melorecytowane passusy tekstu będących w znakomitej dyspozycji wokalne aktorów dodawały przedstawieniu poloru wysmakowanej formy. Nie wszystkim to się spodobało, podobnie jak niejakość Bohatera, ale rzecz w tym, że tak właśnie miało

Michał Zadara potrząsnął publicznością i wykazał, że jest czego w „Kartotece” szukać.

dzisiejszej rzeczywistości: często jesteśmy poddawani presji i z trudem dajemy sobie z nią radę”. W tej niezmienniej, uniwersalnej sytuacji upatrywał Majczak trwałej aktualności dramatu Różewicza. Trudna konfrontacja biernego Bohatera z postaciami z przeszłości buduje rytmiczną akcję, podczas której traci on resztki wiary w sens świata. Jego rozczarowanie można rozmaicie interpretować. Reżyser podpowiada: „Nasz bohater już nie biegnie na manifestację, nie siedzi po nocach nad robotą. Już nawet nie wie, czy potrafi jeszcze kochać”.

I najświeższej daty spotkanie wnuka, Radosława Rychcika (rocznik 1981) z „Kartoteką rozrzuconą” w warszawskim Teatrze Studio (2018). Doradzał (ale i nie doradzał) sam Różewicz, żeby jego „Kartotekę rozrzuconą” składać po swojemu. A jak się nie ma klucza, to najlepiej

z pierwszej „Kartoteki” (1960). Niezbyt zainteresowanych problemami pradziadka, który jako partyzant prowadził działania w lasach, a potem próbował zmieścić się w powojennej rzeczywistości epoki stalinowskiej i małej stabilizacji. Recenzentom to nie przypadło do gustu.

Piotr Ratajczak dramat pokolenia wojennego zmienił na dramat współczesnego pokolenia poddawanego elektronicznej obróbce.

„Kartoteka rozrzucona” Rychcika opowiadała bowiem o Bohaterze, który konfrontuje się z czasem współczesnym, niezbyt dobrze się w nim czuje, odstaje, choć powody tego odstawania nie są zbyt jasne. No, może do czasu coś się wyjaśnia, kiedy sekwencję sejmową z „Kartoteki rozrzuconej”, w której Różewicz

być: „Dość szybko zgodziliśmy się co do tego – mówił przed premierą reżyser – że nie lubimy Bohatera. Jest to dość zbieżne z tym, co o »Kartotece« pisano, i z tym, co o głównej postaci sądzono, czyli, że jest to antybohater. To, co będziemy mogli oglądać na scenie Malarni w Teatrze Studio, jest właściwie godziną przestrogi przed tym, czego nie należy robić ze swoim życiem, bo gdy się to robi, to dojdzie się do takiego momentu, w którym jest Bohater”.

Dokonane skreślenia wyeliminowały ze spektaklu scenę, w której upojeni odzyskaną wolnością inteligenci plwają na przeszłość: „Ta czarna dziura / to polska kultura / to polska literatura / czterdzieści cztery / lata polskiej literatury / to same dziury / hańbo, hańbo, / o hańbo itd.”. Ten wyniosły gest unieważnienia ma do dzisiaj bolesne konsekwencje. Rychcika jednak mniej obchodzą dawne rozliczenia, skupia się na naszym tu i teraz. Odważnie mierzy się z dziełem Różewicza i dowodzi, że jego otwarta forma jest w stanie unieść ciężar wielu epok, czy ostrożniej – etapów historycznych. Innymi słowy, inscenizator potwierdza diagnozę Jana Kotta sprzed lat: „Różewicz napisał naprawdę tradycyjny narodowy dramat”.

Tomasz Miłkowski





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Obrona narodowa

Płonie ognisko na pasie ziemi niczyjej, gdzie niczyi ludzie dogorywają bez wody, żywności i pomocy medycznej, knieje szumią o obrońcach naszych polskich granic, którzy za bohaterską postawę dostają nagrody od ministra. Naród jest dumny ze swoich wojowników, tylko czekać, aż się pojawią nowe ronda imienia Obrońców Usnarza, w jednym ciągu z tymi spod Westerplatte, cóż, łatwo dziś zostać bohaterem pisowskiej Polski. Władysław Frasyniuk, człowiek, który się ch...om nie kłaniał, nazywa po imieniu, choć nadzwyczaj łagodnie, mundurowych, co to mówią *no pasaran* pomocy humanitarnej. Poetycko wręcz ich porównuje do watahy psów, choć błędnie, bo skoro psy, to najwyżej sfora, a także uznaje za śmieci, nie bez racji, bo mundur zhańbiony traci wszelkie dystynkcje, staje się szmatą, przepoconym przyodziewkiem w barwach maskujących; żołdaków ganiających za postem z reklamówką wiktuałów można więc uznać za szmaciarzy.

Szmatławce to nasze wojsko, które pilnuje, żeby grupa uchodźców z duszą na ramieniu przymierała głodem i marzłą, wodę mają chęptać z potoku, żreć trawę, srać pod siebie, jak zwierzęta. Tak, to śmieci, nie żołnierze, skoro w świetle kamer z dumą odczłowieczają garstkę Bogu ducha winnych cywilów – ta pokazówka jest nikczemnością i blamażem polskich sił zbrojnych na miarę bratniej interwencji w 1968 r. Kto tego nie dostrzega, jest podły albo głupi. Nasza dzielna armia dowiodła niedawno na ćwiczeniach, że zdota utrzymać niepodległość ojczyzny pięć dni – tyle wedle symulacji potrzebowałaby Rosja, by zająć Warszawę i przyprawić drugą koronowaną głowę naszemu orłu, co to się w kuraka zmienił na reprezentacyjnej sukni Miss Polonii. Nie należy więc się dziwić, że chłopcy Błaszczaka muszą sobie podnieść morale na łatwiejszym przeciwniku.

Mdli mnie od ciebie, Polsko; wpuściłabyś trochę świeżego powietrza, trochę smagłej, innowierczej, obcojęzycznej swobody, zamiast międlić tromtadrackie litanie do dumnego narodu. Zażywam krople na żołądek, opijam się miętą, ale nic nie pomaga, dławi mnie, jakbym połknął kawałek drutu kolczatego czy tam żyłkowego, który władza dumnie rozciąga przed obiektami kamer prorządowych stacji. Władza ciągnie druta w biały dzień i nie widzi w tym nic obscenicznego, ba, jeszcze się za to premiuje, sama sobie ciągnie, toż to autominetodon prawdziwy, czyli, jak mawiał Witkacy, „schujowacenie mózgowia”.

Drut, płot, mur – najlepiej zwieńczony pastuchem elektrycznym w kształcie różańca – cokolwiek tam zechce Polska postawić, niechże pierwszej dopuści lekarzy do tych kilkudziesięciu istot ludzkich, które dogorywają na gołej ziemi, w przeciwnym razie inaczej niż torturami i ludobójstwem tego, co wyczyniają nasze zielone ludziki na granicy, nazwać nie będzie można. Wszystkie reduty dobrego imienia z ich świętym oburzeniem na „polskie obozy koncentracyjne” winny się teraz przyjrzeć temu *anus mundi* pod Usnarzem Górnym, gdzie bezwzględność i okrucieństwo w uzwierzeczaniu człowieka, w odmawianiu mu jakichkolwiek praw, mogłyby zaimponować hitlerowskiemu naczałstwu. Trzydzieścioro nieszczęśników nie ma umrzeć, ma zdechnąć w męczarniach ku przestrodze – żeby Polska, ów „dumny kraj”, pokazała światu, że tu żadnego kanału przerzutowego nie będzie, operacja Śluza się nie powiedzie; nagle pogardzana przez kaczystów Unia, z której chcieliby nas wyprowadzić, może liczyć na niezłomność strażników jej granicy. Reakcje narodu, który się w sondażach opowiada

Trzydzieścioro nieszczęśników ma zdechnąć w męczarniach, żeby Polska pokazała światu, że tu żadnego kanału przerzutowego nie będzie.

po stronie uszczelniania granic za wszelką cenę i współczucie uchodźcom okazuje, przyznając, że faktycznie humanitarniej byłoby ich po prostu zastrzelić, tylko moje mdłości doprawiają. Stanisław Skarżyński opisuje na Facebooku stan, którego chwilowo z racji mentalnych duszności nie umiałem nazwać: „... polska endecka prawica po raz kolejny dowiodła, że za Jedwabne i inne pogromy nie odpowiadał wcale żaden margines albo degeneracji, tylko jakaś bezbrzeżna podłość, która chyba jest nieodłączną częścią polskości”.

W Usnarzu coraz zimniej, za to miasto stołeczne rozgrzewa wernisaż w Centrum Sztuki Współczesnej, zawładnięty przez pisowskiego nominata. Mamy tu wystawę „sztuki politycznej”, na którą zaproszono m.in. jawnych neofaszystów ze Skandynawii, co to rozlepiali po ulicach plakaty z Hitlerem w koronie cierniowej. Minister dziewictwa narodowego zapewne uświetni swoją obecnością otwarcie. Zapowiada się frekwencyjny sukces w brunatnym kolorze.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Szarość, czyli mieszanina najdzikszych kolorów

Niezwykłe historie czasem czekają tuż za płótnem

Rozmawia Rafał Piłkuła

Dlaczego ulica Cicha 3?

– Na początku chciałem napisać książkę o Polsce, o zwykłych ludziach i ich sprawach. Dopiero potem wymyśliłem, jak do nich dotrzeć. Postanowiłem, że będę jeździł po całym kraju i zachodził pod jeden konkretny adres. Tak naprawdę – co wyjaśniam w książce – nie była to wcale ulica Cicha, ale jedna z najpopularniejszych ulic w Polsce (w pierwszej trójce mamy Leśną, Polną, Słoneczną – przyp. red.). Odwiedzałem mieszkania, domy zlokalizowane pod numerem trzecim. Zmieniłem nazwę ulicy na Cichą z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, nie chciałem narażać bohaterów na rozpoznanie. Po drugie, Cicha pasuje do tych opowieści, tych bohaterów. To, co ich łączy, to fakt, że żaden z nich nigdy nie udzielał wywiadu. To, o czym mówią mieszkanki i mieszkańcy Cichej 3, nie jest słyszalne, nie trafia do głównego nurtu mediów. Pośród 106 bohaterek i bohaterów z 84 ulic Cichych, bo pod tyłoma – ze 150 odwiedzonych – adresami udało mi się porozmawiać, nie trafiłem na nikogo znanego, nikt tam nie był gwiazdą, ale każdy był ekspertem od swojej codzienności.

Książka jest efektem przeszło trzyletniego projektu reporterskiego #ZaDrzwiami. Wiem, że robiłeś też zdjęcia, ale one ostatecznie nie trafiły do książki? Dlaczego?

– To była trudna decyzja. Zdjęcia były klimatyczne, reporterskie, więc miałem poczucie, że włączenie ich do książki odciągnie uwagę czytelników od tekstu, a uważam, że te opowieści bronią się same. Chciałem pokazać, że ta książka może być kompletna bez ilustracji. Nie jest to książka podróżnicza, choć jest efektem podróży. Nie powstała na podstawie bloga, wpisów w mediach



KRZYSZTOF STORY

– reporter, autor książki „Stąd. 150 drzwi pod jednym adresem”

społecznościowych, jest to opowieść reporterska, a reportaże się czyta, to tekst jest najważniejszy.

Co jeszcze łączy twoich bohaterów i bohaterki?

– Największą emocją ulicy Cichej jest tęsknota za własnym. Młodzi narzekają, że jedyną opcją jest kredyt, a nie chcą sobie rujnować życia, starsi kiwają głową i powtarzają, że nikt już tak nie buduje jak oni. Cicha tęskni za domem, za swoim miejscem i ta tęsknota łączy mieszkańców Cichej i w dużych miastach, i na wioskach. Zresztą to widać we wszystkich badaniach, statystykach – ponad 80% Polaków chce mieć własne mieszkanie, dom. Posiadanie własnego miejsca jest warunkiem szczęścia, moi bohaterowie mówią nawet, że lepsza jest rozpadająca się chatka czy lepianka niż wynajmowany pałac. Z pewnością jest to efekt tego, że w ogromnej większości pochodzimy od chłopów, gdzie silne było

przywiązanie do domu, ojcowizny, własnego kawałka ziemi. Dom jest na ulicy Cichej słowem kluczowym.

I ta tęsknota wybrzmiewa zarówno w Warszawie, jak i w Zduńskiej Woli.

– Tak, praca nad tą książką była dla mnie czasem ostatecznego zerwania z podziałem na Polskę A i Polskę B, na centrum i prowincję, bo te podziały są w mediach, w naszych głowach. Historie z Katowic czy Gdańska były podobne do tych ze Sławatycz czy Oław. Tak naprawdę różne są tylko dekoracje, inna bywa przestrzeń, ale wciąż mamy te same kody kulturowe, mówimy podobnym językiem, mamy te same problemy, marzenia i tęsknoty. Na poziomie naszej codzienności Włodawa nie różni się zbyt od Warszawy. Ja tę książkę pisałem z dużą miłością do tego kraju, chciałem go zrozumieć, a to mogło się udać po wysłuchaniu tej milczącej większości, która mieszka anonimowo, gdzieś przy ulicy Cichej 3.

Ulica Cicha w Kutnie leży zaledwie 20 km od geometrycznego centrum Polski. W końcu nie udało ci się zebrać opowieści z Cichej w Kutnie,

ale spotkałeś tam panów, którzy ostro dyskutowali, gdzie w Polsce jest najlepiej. Nie mogli się zdecydować, czy lepiej w górach, czy nad morzem, ale byli pewni, że wszędzie jest lepiej niż na rynku w Kutnie.

– W ogóle bardzo często słyszałem, że najlepiej jest właśnie gdzieś indziej. Co ciekawe, z jednej strony moi rozmówcy narzekali na swoją Cichą, ale z drugiej strony nie mogli bez niej żyć. Pierwsza osoba, która przeczytała moją książkę w całości, powiedziała, że jest to książka o braku, o tym, czego nam brakuje. I faktycznie w rozmowach często słyszałem, że czegoś brakuje, że czegoś nie ma, że o czymś się marzy. Ale ci wszyscy rozmówcy pokazywali, że nauczyli się żyć z tym brakiem. Nie jest tak, że oni desperacko walczą o załatwienie pewnych braków, dziur, ale starają się kombinować, żeby być szczęśliwym tu i teraz. Ten brak traktuje się często jak upierdliwego sąsiada, który utrudnia życie, męczy, ale ostatecznie można na niego czasem liczyć, a jak jest lepszy dzień, to i na grilla można go zaprosić.

Nie potrafimy żyć bez tego braku, bo jest on niezbywalną częścią naszej przestrzeni.

– Tak, jest częścią tego, co nazywamy domem. Bo jeśli ta książka jest o braku, to jest też o domu. Mnie osobiście pisanie tej książki i podróże,

– Bardzo bym żałował, gdyby nie udało mi się zebrać głosu z Warszawy, chciałem mieć stolicę i mi się udało. Nie udało się jednak w Krakowie, w mieście, w którym na co dzień mieszkam. Akurat gdy odwiedzałem Cichą 3 w Krakowie, domownicy szykowali się na wyjazd wakacyjny i nie mieli ani czasu, ani przestrzeni. Szkoda mi tej rozmowy. Jednak nie próbowałem wracać, bo przyjąłem taką metodę reporterską, że będę odwiedzał dane miejsce tylko raz. Traktowałem każde ze 150 miejsc na równi.

A która z rozmów, jakie się udały, była dla Ciebie najważniejsza lub najbardziej ją zapamiętałeś?

– To była rozmowa ze starszym panem we wsi Stawki koło Węgorzewa. Zamieściłem tę rozmowę w rozdziale, w którym pojawiają się małe wioski, bez nazw ulic. Byłem pod wrażeniem losów mojego bohatera. Jego opowieść sięgała II wojny światowej i była naznaczona wieloma przeciwnościami losu. To była długa opowieść o tym, jak bardzo wydarzenia od nas niezależne mogą mieszać nam w życiu. Zastanawiałem się, czy ja sam zniósłbym ciężary, jakie spadły na mojego rozmówcę, czy poradziłbym sobie z tyloma życiowymi zakrętami.

Książka jest opowieścią z mieszkań, ale podejrzewam, że i sama droga do nich była inspirująca i ciekawa.

Ze 106 bohaterów i bohaterów z 84 ulic Cichych nikt nie był gwiazdą, ale każdy był ekspertem od swojej codzienności.

podczas których zbierałem do niej materiał, nauczyły, że potrzebuję poczucia, że mam jakiś dom, mam dokąd wracać. Odwiedziłem wiele krajów, poznałem wiele miejsc, ale wiem, że mój dom jest w Polsce, we Wrocławiu i Krakowie. Tak też mają moi bohaterowie – nawet gdy emigrowali, to wiedzieli, że muszą wrócić i zestarzeć się w rodzinnym kraju. Ten dom – w sensie fizycznym i metaforycznym – jest bardzo ważny. Kiedy zbierając wywiady, do książki odwiedzałem bohaterów w ich domach, oni koncentrowali się na sprawach bardzo zwykłych, bliskich. Nie silili się na abstrakcyjne opowieści, tylko mówili o swojej codzienności.

Którego adresu – pod jakim nie udało ci się zebrać wywiadu – najbardziej żałujesz?

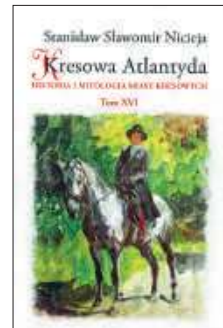
– Cały projekt rozpocząłem w 2017 r. i wymyśliłem, że tak będę wybierał miasta, wsie i miasteczka, by obraz Polski był możliwie najpełniejszy i uwzględniał geograficznie większość kraju. Przemierzałem kraj głównie na rowerze i przyznam, że cała wyprawa przypominała nawlekanie koralików na sznurek. Koralików przybywało wraz z przejechanymi kilometrami. Moją wyprawę można było śledzić w internecie i często dostawałem informacje, że w danej miejscowości, pod danym adresem mieszka ktoś z ciekawą historią, prowadzony reporterską ciekawością odwiedzałem te miejsca, choć nie były one przy Cichej 3 i niekoniecznie pasowały do książki. **Jaka była najciekawsze historia z drogi?**

KSIĄŻKI

Stanisław Sławomir Nicieja
Kresowa Atlantyda
Historia i mitologia miast kresowych. T. XVI

Wydawnictwo MS, Opole 2021

W XVI już tomie „Kresowej Atlantydy” wędrujemy do małych miejscowości, choćby takich jak Bolechów, Świrz, Chocin i Wędrzisz. Niby głęboka prowincja, a jakie tam były ciekawe zjawiska, jacy nietuzinkowi ludzie stamtąd wyszli! Wraz z prof. Nicieją zachęcamy do zgłębienia ich nieznannej powszechnie historii.



Emil Horoch

Polska w latach 1948-1953
Główne problemy

Zarząd Województwa Stowarzyszenia
POKOLENIA, Lublin 2021

Prof. Emil Horoch, wieloletni pracownik naukowy UMCS i przewodniczący Komisji Historycznej RW POKOLEN Lubelszczyzny, przedstawia okres powojennej konfrontacji Wschodu z Zachodem. To wtedy ok. 3 mln osób przeniosło się ze wsi do miast i zakładów przemysłowych. Dla młodzieży był to awans społeczny. Oceniając tamte lata, należy się wczuć w ich atmosferę, by ocenić je obiektywnie, bo historia niejedno miała imię.



Marek Pieczara

Jawa ze snu
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza,
Warszawa 2021

Trzy opowiadania napisane w poetyce groteski i surrealistu, gdzie realne miesza się z fantazją, a jawa ze snem. Zarazem ta książka osadzona jest w dzisiejszej rzeczywistości, przedstawionej w krzywym zwierciadle.



► – W Otominie pod Gdańskiem spotkałem pana Jana Markiewicza, emerytowanego inżyniera, który wrócił do pasji z dzieciństwa i przez 11 lat budował model radzieckiego myśliwca Jak-1b. Model był niemal w skali 1:1, samolot miał długość 6 m i rozpiętość skrzydeł 8,5 m. Kiedy trzeba było przenieść model na lawetę, potrzebny był specjalny dźwig,

klasyczne dziennikarstwo – wyjazd w teren, którego coraz mniej.

– Już parę razy słyszałem porównania do Szczurka i Springera, ale wydaje mi się, że chociaż całą trójką patrzymy na to samo, jeździmy do podobnych miejsc, to jednak szukamy innych opowieści i wybieramy inny język przekazu. Ja starałem się pisać „Stąd” z dużą życzliwością dla

– Aż żałuję, że nie byłem na ulicy Cichej w Końskich. Opowieści moich bohaterów, nawet tych z najmniejszych miejscowości, domagają się indywidualnego traktowania, nawet jeśli z perspektywy partyjnych siedzib w Warszawie łatwiej ich widzieć jako jedną masę. Są tam wierzący i ateści, ludzie głoszący na wszystkie partie, wyznają wszystkie poglądy. Są profesorowie i robotnicy, trzeźwi i pijani, brzydki i seksowni. Bardzo różni ludzie. Polska ulica Cichej to mozaika, którą warto poznać i zrozumieć.

To ogromne bogactwo.

– Podczas mojej podróży wszystko, razem z polityką, stanem giełdy i mitycznym podziałem na Polskę A i B, rozplątywało się w pełnej szczegółowości misternej zwykłości, traciło znaczenie wobec pospolitych dni, kolejnych wiosen, przyziemnych kryzysów i namiętności. Tam była rewia codzienności, festiwal zakładów pracy, przydomowych grządek i rozkładów jazdy PKS. Szarość, czyli mieszanina najdzikszych kolorów.

Rafał Pikuta

który uniósł samolot i przeniósł nad ogrodzeniem. Śmiałyśmy się, że był to ostatni przelot radzieckiego myśliwca nad Polską. Niezwykłe historie czasem czekają tuż za płotem. Spotkania z takimi ludźmi dawały mi naprawdę wiele energii.

Przeglądasz się Polsce zapomnianej, nieodkrytej, której nie ma ani w serialach, ani w folderach turystycznych. Trochę mi to przypomina literackie narracje Ziemowita Szczurka i Filipa Springera, trochę

Polski, co wcale nie jest łatwe. Realizacja tego projektu, napisanie tej książki dużo mnie nauczyło, jeżeli chodzi o pracę dziennikarską. Czuję, że jestem bliżej tego kraju, lepiej go rozumiem i analizując przekazy medialne z głównego nurtu, zadaję sobie pytanie: co to oznacza dla moich bohaterów? Co myśli o tym ulica Cicha? **Mówi się, że wybory wygrywa się w Końskich. Być może twoja książka pozwoliłaby wielu politykom to zrozumieć.**



wishsurfing

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

FESTIWAL

NA EKRANACH

55. FESTIWAL PIANISTYKI POLSKIEJ

Tradycyjnie w pierwszych dniach września (od 4 do 9) w Słupsku rozbrzmiewać będzie muzyka fortepianowa. Po raz 55. odbędzie się Festiwal Pianistyki Polskiej, od ponad półwiecza niezmiennie organizowany przez Słupskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne pod honorowym patronatem MKiDN.

W wieczorze inauguracyjnym Piotr Alexewicz wykona II Koncert fortepianowy f-mol op. 21 Fryderyka Chopina. Natomiast Piotr Sałajczyk, w 100. rocznicę śmierci Władysława

Żeleńskiego wykona Koncert fortepianowy Es-dur op.60 tego kompozytora. Pianistom towarzyszyć będzie Orkiestra Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” w Słupsku pod dyrekcją Rubena Silvy. W kolejnych dniach w programie festiwalu m.in. III koncert z cyklu „Witkacy – obrazy w dźwięku”, wieczór jazzu z serii

„Classic meets Jazz”, występy solowe laureatów Estrady Młodych 2021. Koncert finałowy poświęcony będzie Halinie Czerny-Stefańskiej w 20. rocznicę śmierci.

Andrzej Maślankiewicz



CZARNY MŁYN

reż. Mariusz Palej, Polska,
w kinach od 27 sierpnia

W ekranizacji poczytnej książki Marcina Szczygelskiego wprowadzono sporo zmian w stosunku do pierwowzoru, ale fani pisarza nie będą zawiedzeni. Filmowy „Czarny młyn” też oferuje wgląd w świat, o którym nie słyszymy na co dzień. Bohaterami są dzieciaki z ubogich rodzin na prowincji, które mieszkają gdzieś w pobliżu autostrad, ale ich rodzice jeżdżą raczej rękami po niewyasyfaltowanych drogach do pracy, zostawiając pociechy same sobie. Mariusz Palej już w świetnym „Za niebieskimi drzwiami” pokazał, że w kinie interesują go bohaterowie wykluczeni i tu też robi im miejsce. W efekcie nareszcie dostajemy nadwiślański film rodzinny, w którym oglądamy dziewczynkę z niepełnosprawnością w jednej z głównych ról. Brat i jego paczka będą musieli się do Meli przekonać, do czego będzie okazją, gdy przyjdzie im ratować miasteczko przed siłami zła. Świetnie poprowadzeni młodzi aktorzy, angażująca historia i ważne wątki społeczne czynią „Czarny młyn” jedną z ciekawszych propozycji dla dzieci i ich rodzin.

Artur Zaborski



MIĘDZY OKŁADKAMI

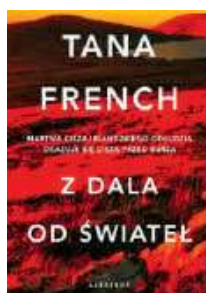
Tana French
Z DAŁA OD ŚWIATEL

tłum. Łukasz Praski

Albatros, Warszawa 2021

Policjant z Chicago, który postanawia zacząć nowe życie w irlandzkiej wiosce... Nie, to nie będzie typowa historia o samotnym jeźdźcu ratującym gnębionych przestępczością lokalsów. Cał nie chce się wtrącać ani w ludzkie, ani w zwierzęce sprawy. Lisy czy sardoniczne gawrony są w końcu u siebie, to on jest nowy, a przez mieszkańców został przyjęty wcale życzliwie. Ci jednak – oprócz starannie pielęgnowanych zadawnionych waśni – mają swoje tajemnice. Ktoś czai się pod domem Cala i wygląda na to, że z Meksyku zaniósł na zielone pastwiska Irlandii chupacabrę. Nietypowy jak na kryminał nastrój ma ta powieść, jest w niej dużo ciepła – w żartobliwych sąsiedzkich pogaduszkach, w podejściu bohatera do jego obecnego świata na zasadzie żyj i pozwól żyć, w pięknie natury łagodzącym samotność.

Aleksandra Pańko



Nehring, Zdunik,
Grobowski
**CHOPIN.
CHAMBER MUSIC**
NIFC

Muzyka Fryderyka Chopina kojarzy się, i słusznie, z jednym instrumentem, fortepianem. Mniej znane są jego dzieła kameralne z udziałem innych instrumentów. Nie ma ich zbyt wiele, zmieścić się na jednej płycie. Zaczyna ten przegląd młodzieńcze „Trio na skrzypce, wiolonczelę i fortepian”, ale jest też późne, dojrzałe dzieło „Sonata na wiolonczelę i fortepian”, uzupełnione żywiołowym polonezem oraz ciekawymi wariacjami na tematy z opery Meyerbeera „Robert Diabeł”. Grają znakomici muzycy młodego i średniego pokolenia, ciekawostką zaś jest po raz pierwszy dokonana w nagraniu podmiana skrzypiec na altówkę. O takim zabiegu pisał już w listach sam Chopin, ale dopiero po 200 latach ktoś podjął to wyzwanie.

Bronisław Tumitowicz



Maciej Polkowski

*Przez emocje, emocje, emocje
– oszalałem!*

Nasza reprezentacja strzeliła kolejny gol

A my z ręką na sercu śpiewamy hymn biało-czerwonych

Wszyscy Polacy ze swej drużyny tak dumni są.*

Tak miało być i było – 18 sierpnia 2021 r. dokonano zmiany na stanowisku prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Po 3235 dniach dobiegła końca era Zbigniewa Bońka. Miała zakończyć się w roku 2020, lecz z uwagi na pandemię została przedłużona do tego roku. „Zróbcie wszystko, żebym za cztery lata nie musiał wracać”, żartował odchodzący z prezesury Zibi. Pracujący od dłuższego czasu nad książką o nim Marek Wawrzynowski twierdzi: „Trudno o jednoznaczną ocenę rządów prezesa Zbigniewa Bońka. W kilku aspektach (wizerunek, marketing) odniósł wielkie zwycięstwo, ale w innych (szkolenie) poniósł spektakularną klęskę”. Formalnie odegrano spektakl z wrzucaniem kart do urny, ale *de facto* wszystko zostało pozamiatane już w poniedziałkowy wieczór, 16 sierpnia. Wtedy w siedzibie warszawskiej Legii doszło do ostatecznych ustaleń w sprawie nowego zarządu PZPN. Rekomendację od Cezarego Kuleszy do 18-osobowego zarządu związku dostało aż 13 wojewódzkich baronów, w tym trzech, którym wcześniej niekoniecznie było po drodze z byłym prezesem Jagiellonii Białystok. A to oznaczało, że wyborcze stronictwo Marka Koźmińskiego rozpadło się, zanim delegaci pojawili się w zjazdowej sali. Ostateczny wynik to 92:23 na korzyść Kuleszy.

Zaufanie, którym sztab nowego prezesa darzył poprzednie władze PZPN, było bardzo ograniczone. W przeddzień spotkania ludzie Kuleszy zażądali dostępu do... maszyn do głosowania. Przeglądali je fachowcy od cyberprzestępczości.

To po co my tu przyjeżdżaliśmy?

*Marzy nam się gra o finał
Rywale marzą o tym też
Cała Polska kciuki trzyma
Piłka nas łączy – dobrze wiesz!*



Cezary Kulesza
i Zbigniew Boniek.
Czy nowy prezes
rzeczywiście coś
zmieni w polskiej
piłce?

Kapela PZPN w rytmie disco polo

Cezary Kulesza nowym dyrygentem

Kandydaci na stanowisko prezesa dostali po 10 minut na prezentację siebie i swoich programów. Marek Koźmiński znacznie przekroczył limit i mówił prawie 25 minut. Wystąpienie odebrano jako sentymentalne wspomnienia i smutne wynurzenia. Koźmiński przez dwie kadencje był wiceprezesem, a opinia „człowieka Bońka” raczej mu w kampanii nie pomagała. Z tribuny zarzucił niektórym przedstawicielom klubów Ekstraklasy, że zbojkotowali (w przeciwieństwie do klubów I ligi) spotkanie z nim. I nie był to, jego zdaniem, przypadek. Powoływał się też na wypowiedzi osób, z którymi się spotykał: „Marek, ty jesteś fajny, wiesz, ale jakbyś tak przyjechał i wódeczki się z nami napił, to byłoby lepiej”.

Po nim na mównicę wszedł Cezary Kulesza i mówił około trzech minut! O tym, że był piłkarzem, prezesem Jagiellonii i odniósł sukces w biznesie. Kwadrans później został prezesem. Już jako szef podziękował, powiedział, że liczy na współpracę, a w ogóle to „łączy nas piłka”. Jeden

z działaczy młodszego pokolenia, najwyraźniej bez obycia zjazdowego, spytał po cichu: „To po co my tu przyjeżdżaliśmy? Mogliśmy przecież wysłać swoje głosy e-mailem?”.

A jak to wyglądało na żywo, czyli z bliska, świadczą internetowe wpisy...

@M_Wawrzynowski

Wysoki rangą urzędnik PZPN przeszedł do mnie przed chwilą. – Mam dwa słowa. Najpierw oficjalnie „Panie redaktorze”. A teraz prywatnie. „Ty ch...!”

@W_Kowal

Pierwszy sukces PZPN w nowym wydaniu. Siedzą sobie bez maseczek i głosują, a w Sejmie w maseczkach.

@mRokuszewski

Jeśli ktoś przegapił, to wystąpienie Cezarego Kuleszy w całości w Teleexpressie ??

@CommonSensePL

Zjazd PZPN. Dyskusja o sprawozdaniu z działalności. Wychodzi baron Ryszard Niemiec: Nie byłem SBe-kiem! Koniec dyskusji

@cwiakala

Chciałbym dożyć czasów, w których podczas wyborów PZPN nie będziemy słuchać o wódeczce i SB.

@ArekCz

Z Kuleszą i Koźmińskim jest jak z disco polo i muzyką klasyczną. Publicznie ludzie chwalą się, że słuchają tej drugiej, ale na weselu wszystkim nóżka chodzi pod „twe oczy zielone”.

@s_staszewski

Przewodniczący podziękował członkom „starego” zarządu i poprosił ich, aby opuścili swoje miejsca i usiedli na Sali. W tym momencie jeden z gości na końcu sali pod nosem: „wyp***dać”. Ale wyszło mu trochę za głośno.

„Gary” z Białegostoku

Przez twe bramki, brameczki strzelone oszalałem!

Nowy szef futbolowej centrali Cezary Kulesza nie jest postacią z pierwszych stron gazet i najpopularniejszych stacji telewizyjnych. A zatem kilka informacji... Urodził się 22 czerwca 1962 r. w Białymstoku. Od najmłodszych lat pasjonował się piłką nożną. Najpierw grał w białostockiej Gwardii, a potem w Olimpii Zambrów i Mławianie. W 1988 r. trafił do Jagiellonii Białystok. Miał pseudonim „Gary”, podobno od Gary’ego Linekera, znakomitego napastnika reprezentacji Anglii. Pierwszym i ostatnim klubem zagranicznym Kuleszy był belgijski trzeciolicowiec RFC Aulbe. Szybko jednak wrócił do Polski –

bo postanowił kandydować na szefa PZPN. W futbolowym świecie czuje się jak ryba w wodzie – w zarządzie PZPN był już od dziewięciu lat, a pięć lat temu został wiceprezesem ds. piłkarstwa profesjonalnego. Pełnił również funkcję wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej Ekstraklasy S.A.

Niedawno Kulesza był gościem telewizyjnego magazynu „Gol”. Mówił w nim tak:

Ludzie Kuleszy zażądali dostępu do... maszyn do głosowania. Sprzęt przeglądali fachowcy od cyberprzestępczości.

„Nie będę ukrywał, że proponowałem Markowi Koźmińskiemu, by wszedł do zarządu. Spotkaliśmy się dwa, trzy razy i rozmawialiśmy na ten temat. Nie powiedziałem od razu »nie«. Gdyby to zależało tylko ode mnie, pewnie byśmy się porozumieśli, ale ponieważ jestem niewolnikiem swoich delegatów. Co do wypowiedzi Marka. Miałem swój program, wiedziałem, co chcę zrobić. To nie jest tak, że przez miesiąc piłem wódeczkę i wygrałem wybory”.

„Najważniejsza jest reprezentacja narodowa. Musimy się dobrze przygotować do trzech najbliższych meczów. Na kolejnym miejscu jest szkolenie i bardzo ważna jest dla mnie integracja związków wojewódzkich i klubów. Myślę, że to może wyglądać lepiej. Związki wojewódzkie mają bardzo duży potencjał, który trzeba wykorzystać”.

mechanizm, to się go nie zmienia. Można ewentualnie dokonać pewnych korekt, bo sporo osób odeszło z własnej woli, więc pewne uzupełnienia będą konieczne. Przez dziewięć lat widziałem, że ludzie w PZPN dobrze pracują i nie ma sensu przy tym majstrować”.

„Będzie nowy sekretarz generalny. Dotychczasowy, Maciej Sawicki, cały czas pełni swoje obowiązki. Mógł

odmówić, ale tego nie zrobił i jestem mu za to bardzo wdzięczny, bo pokazał klasę. Umówiliśmy się, że będzie pracował do 2 września. A kto za niego? Mam pewnych kandydatów, ale poczekajmy jeszcze chwilę z ogłoszeniem.

„Jeśli chodzi o ewentualną pensję prezesa, jest mi to całkowicie obojętne. Jeśli zarząd nie zgodzi się, bym pracował za zero złotych, to tak się nie stanie. Nie muszę zarabiać w związku, by mieć za co żyć”.

Grzech pierworodny

*Doping przed telewizorem
W strefach kibica istny szal
„Jedenastko” strzelaj gole
i wielką radość dla nas daj!*

Już na starcie prezesury Cezary Kulesza popełnił grzech pierworodny. Nie mam pojęcia, czy zdaje sobie sprawę, że nonszalanckim, trwającym 180 sekund wystąpieniem, obraził sporą część obecnych w sali, a także kilkumilionową reszszę sympatyków piłki nożnej. W żadnym wypadku nie jest usprawiedliwieniem fakt, że „szedł jak po swoje”. Teraz, jak wszyscy na początku, opowiada o ciężkiej pracy i konieczności wielu korekt. Rodzi się więc pytanie, co robił działacz Kulesza w związku od 2012 r.? Nie znamy ani jednego znaczącego dokonania jego autorstwa. Czyżby przez te dziewięć lat tylko obserwował, co jest grane, a dopiero dzisiaj spłynęło na niego olśnienie? Pozostaje mieć nadzieję, że teraz razem ze swoją ekipą weźmie się do roboty. Bo skoro potrzeba wielu zmian, to oby wszystko nie pozostało po staremu...

* Z repertuaru Zenona Martyniuka.

Już 16 sierpnia w siedzibie warszawskiej Legii doszło do ostatecznych ustaleń w sprawie nowego zarządu PZPN.

w 1996 r. zakończył przygodę z piłką i zajął się biznesem. Założył firmę fonograficzną Green Star, przyciągającą największe gwiazdy muzyki tanecznej, głównie disco polo. Dzięki niej wypromował się m.in. zespół Boys, ale też Zenek Martyniuk. Działalność też na rynku deweloperskim – inwestował w hotele i nieruchomości.

W 2008 r. wrócił do Jagiellonii w roli działacza. Najpierw był doradcą ds. sportowych, a dwa lata później objął funkcję prezesa. Pod jego wodzą białostoczanie zdobyli Superpuchar i Puchar Polski (2010) i dwukrotnie (2017 i 2018) byli wicemistrzem Polski. Dwa miesiące temu Kulesza zrezygnował ze stanowiska prezesa Jagiellonii,

„Jeszcze nie czytałem umowy z Paulem Sousą. Z moich informacji wynika, że jeśli uzyska awans na mistrzostwa świata, jego umowa automatycznie zostanie przedłużona. A jeśli – odpukać w niemalowane – nie awansujemy, umowa zostanie rozwiązana. Rozmawiałem już z trenerem – uspokoiłem go”.

„Nie chcę już teraz niczego deklarować, ale na pewno przyjrę się sprawie ewentualnej budowy ośrodka dla reprezentacji oraz własnej siedziby dla PZPN”.

„Spotkałem się z pracownikami związku, bo krążyła plotka, że przyjdzie nowy prezes i wszystkich powyrzuca. To nieprawda. Jeśli jest dobry

Każdy ruch niesie zdrowie

Na usztywnienie kręgosłupa ludzie uczciwie pracują
– bezruchem, stresem i napięciem

Rozmawia Barbara Jagas

Jest pan współautorem książki „Zdrowie z udziałem własnym”. Tytuł znamienity, patrząc na czasy, w jakich żyjemy.

– Teraz, w okresie pandemii, wiadać wyraźnie, że stan naszego zdrowia ma niesamowite znaczenie. Im jest lepszy, tym lepiej radzimy sobie z koronawirusem. Jedni przechodzą covid ciężko i nawet umierają, drudzy – nie mają żadnych objawów.

Zapalenie płuc, do którego dochodzi w efekcie zakażenia koronawirusem, przypisujecie państwo m.in. złej postawie.

– Bo sprawny kręgosłup i prawidłowa postawa sprawiają, że nasz sposób oddychania jest optymalny. W przeciwieństwie do złej sylwetki i zaburzonego oddychania, co ma negatywny wpływ na jakość tkanek płucnej. I wtedy koronawirus ma idealne warunki, aby takiego człowieka zniszczyć.

To co robić? Jakie są tezy pana książki?

– Podstawowa brzmi: dbajmy sami o własne zdrowie. Zdrowie jest stanem równowagi między możliwościami a wyzwaniami, jakie człowiek w życiu spotyka. Jeżeli te możliwości przekładają się na wyzwania, to nagrodą jest poczucie dobrostanu człowieka. Bo zdrowie to nie tylko brak chorób i dobre wyniki badań, ale też możliwość działania w świecie. Ono dzieje się w trzech przestrzeniach – interakcji między człowiekiem a planetą, czyli chodzi tutaj o sprawność ruchową, która zależy od równoważenia przez mięśnie, także te głębokie, sił ziemskiego przyciągania, interakcji z bliską osobą oraz interakcji ze społeczeństwem.

A jeśli ktoś jest sam?

– To zazwyczaj ten deficyt kompensuje w przestrzeni społecznej, przynależąc do jakiejś grupy, gdzie



**DR N. MED.
TADEUSZ MAZUR**

– neurolog i rehabilitant,
kierownik krakowskiego Centrum
Rehabilitacji Zdrowie

dostaje gratyfikacje różnego rodzaju – np. przyjaźń czy uznanie.

Jest pan wynalazcą urządzenia, które koryguje postawę. Inaczej mówiąc, wprowadza ustrój na dawny zdrowy tor.

– Dzięki AMA, specjalnemu fotelowi aktywującemu mięśnie antygravitacyjne, człowiek doznaje rozluźnienia, przyjemności i wtedy organizm sam dokonuje korekty postawy – w kierunku tej prawidłowej, zdrowej. Jednym słowem, odbudowuje to, co sami zniszczyliśmy np. poprzez niewłaściwy tryb życia – siedzący, przed komputerem, telewizorem.

Ale nie tylko, w książce podaje pan przykład osoby chorej na alzheimera, której poprawiło się funkcjonowanie – zarówno ruchowe, jak i emocjonalne. Jest przykład kogoś po udarze, kto zaczął lepiej się ruszać i mówić. Wystarczy tylko usiąść na fotel AMA i już zdrowiejemy?

– Nie, powinniśmy to robić regularnie, aby mieć stałe efekty. Ale jednak norazowe skorzystanie z urządzenia

też coś daje – powstaje w nas ślad po przyjemności wynikającej z rozluźnienia mięśni, tych także głębokich, i organizm będzie potem intuicyjnie zmierzał do postawy, która daje tego typu wrażenia. Niektórzy poczuć ruch wewnątrz ciała, tak jak podczas ćwiczeń rozgrzewających do tai-chi, gdy ruch skłonu przechodzi na kolejne segmenty kręgosłupa aż do kości krzyżowej.

Nie za bardzo rozumiem.

– U nas na Zachodzie spotykamy się z ruchem na zewnątrz – mamy dobiec do jakiegoś punktu, podejść, nasza uwaga jest skierowana na zewnątrz. Natomiast istotą ćwiczeń Wschodu jest to, aby nasza uwaga była skierowana do wewnątrz – na ruch, który zachodzi w ciele. Ten temat jest doskonale znany małym dzieciom, które, gdy się ruszają, biegają, są zajęte doświadczaniem tego, co się dzieje w ich ciałach. My jako dorośli zgubiliśmy tego typu doznania. A jeśli mamy usztywniony kręgosłup, to w ogóle nic nie czujemy.

Skąd to usztywnienie?

– Ludzie na to uczciwie pracują – bezruchem, stresem i napięciem. Jedna z moich współpracownic została poproszona, by usiadła na fotelu AMA i przetestowała go, doświadczyła tego rozluźnienia, odciążenia, jakie on daje. Co się okazało? Że nic takiego nie poczuła, była sztywna, zablokowana. Zapytałem, o co chodzi. Odpowiedziała mi, że za dwie godziny ma rozprawę w sądzie. Była więc spięta, a to się przełożyło również na stan jej mięśni. Najwięcej do roboty mają ludzie, którzy siedzą długo w bezruchu albo stale są w lęku.

Dla takich osób jest urządzenie korygujące postawę AMA?

– Tak, poprawia ono postawę, ułożenie poszczególnych segmentów kręgosłupa, a tym samym jego ruchomość. Większość z nas nie potrafi ustawić własnego ciała, tak by usunąć napięcia mięśni i spowodować, by był możliwy płynny ruch.

Fotel AMA (aktywator mięśni antygravitacyjnych) to innowacyjne urządzenie do „aktywnego siedzenia” zaprojektowane przez dr. Tadeusza Mazura. Pomaga odkryć optymalną aktywność ruchową, korygując postawę, sposób poruszania się i oddychania. Oddziałuje na nasze ciało poprzez niestabilność podparcia, wymuszającą czynną korektę ułożenia. Pozwala przywrócić zapomniany lub utracony w wyniku choroby i własnych zaniedbań wzorzec prawidłowego ruchu.



Jak zatem działa ten prozdrowotny fotel?

– Siadając na nim, musimy skierować uwagę na doznania płynące z naszego ciała, by znaleźć takie ułożenie, w którym utrzymamy równowagę. Może to zabrzmieć dziwnie, ale po kilku próbach potrafią to zrobić nawet osoby z niedowładem po udarze mózgu. Tu muszę podkreślić, że nie słowa czy dotyk instruktora sterują ruchem siedzącego, ale jego doznania własnego ruchu nadawane przez receptory czucia głębokiego, czyli pojawia się wewnętrzny pozawerbalny obieg informacji. Satysfakcja płynąca z porażenia siebie z tym wyzwaniem daje poczucie zadowolenia i odprężenia, a więc nagrody, co z kolei przekłada się na rozluźnienie mięśni i łatwiejszy ruch. A taki ruch sprawia przyjemność, czyli staje się kolejną nagrodą. W ten prosty sposób nawiązujemy kontakt z własnym ciałem.

Często podaje pan przykłady osób chorych, które doświadczyły korzystnego działania tego

urządzenia. Słyszałam historię o kimś, kto wstał z wózka.

– To nie są zaraz cuda, ale od zmiany postawy zaczyna się poprawa funkcjonowania całego organizmu. A jak to jest, gdy stajemy się chorzy? Niestety, nie zauważamy powoli następującej degradacji postawy i ruchu oraz skutków tego w postaci dysfunkcji wielu narządów, która w dłuższej perspektywie zmienia się w widoczne choroby i kalectwo. Zaburzenia obejmują coraz większą liczbę obwodów zapewniających sprawne funkcjonowanie systemu organizmu. To, co na początku było proste i łatwe do skorygowania, już takie nie jest.

Tacy jesteśmy...

– Niestety, nie kierujemy od początku uwagi na nasze zdrowie, czyli sprawne działanie organizmu, interesujemy się nim dopiero wtedy, gdy zachorujemy.

Co doprowadziło do wynalezienia AMA? Jakież pana porażki jako lekarza?

– W pewnym sensie tak, nie wszystko należy oddawać medykom, liczyć tylko na nich. Wiele zależy od nas samych, w tym dbanie o postawę. Tak samo istotne są nasze związki z innymi. W ten sposób zaplanowała to nasza natura. I to widzieć od początku naszego istnienia. Na przykład matka, która bierze na ręce dziecko, przytula je, tym samym koryguje jego sylwetkę. Dziecko, będąc u niej na rękach, doświadcza przyjemności, ruchu wewnątrz ciała, uspokaja się.

Dorostych nikt nie chce wziąć na ręce.

– Fotel AMA ma zastąpić tę interakcję z drugą osobą. Daje, jak bliski człowiek, poczucie bezpieczeństwa ruchu w odchyleniu do tyłu, a tego wiele osób automatycznie się boi.

Zastępuje kochaną osobę?

– Tak, to bardzo dobrze powiedziałe. Popatrzmy, jak pierwszy dotyk matki obejmuje bezwładną głowę, szyję i plecy dziecka. Tylko wyobrażając go sobie, prostujemy sylwetkę i rozluźniamy się. Bliskość, dotyk tej jedynej osoby jest przypomnieniem tamtego doświadczenia.

Oglądałam kiedyś film o cudotwórcach i ten element został tam wykorzystany, gdy szaman dotykał „pacjenta” i jednocześnie popychał go do tyłu.

– Tamten człowiek musiał mieć całkowite zaufanie do uzdrowiciela, żeby na to się zgodzić. Ale taki właśnie ruch wychylenia pojawia się na tym urządzeniu, doprowadzając potem do przyjemnych odczuć. Mało tego, tak skorygowaną postawę potem utrzymuje się spontanicznie w czasie chodzenia. Często zdarza się, że koryguje postawę pacjenta i on, patrząc w lustro, ocenia ją jako znacznie lepszą, ale dodaje, że jest dziwna i nienaturalna. Jego mózg tę wadliwą postawę przyjął za normę. Aby ten sam mózg uznał za normę nową postawę, już skorygowaną, muszą upłynąć co najmniej dwa miesiące jego regularnej stymulacji zmieniającymi się sygnałami.

A jednak nie da się pójść na skróty.

– Nie zawsze. Właściwy kierunek poszukiwań zdrowia to nie apteka, ale doznania własnego ciała towarzyszące interakcji z naszą planetą, bliską osobą czy grupą.

b.jagas@tygodnikprzeglad.pl

Łukasz Łebek

Postawmy sprawę jasno, zwierzęta są na bakier z higieną żywności. To, co potrafią zjeść, przyprawia wielu z nas o mdłości. I dopóki zjadają rzeczy, powiedzmy, „organiczne”, to cała przygoda zwykle kończy się najwyżej rozwolnieniem. Niestety, psy i koty potrafią połknąć przedmioty, których organizm nie ma jak przerobić. Nazywamy je ciałami obcymi. Już jako młody lekarz dość szybko odkryłem, że problem ciał obcych pojawia się często. Diagnostyka nie zawsze jest łatwa i oczywista.

Zanim opowiem wam o zwierzęcej pomysłowości, musimy przyswoić sobie pewien prosty podział, który stosuje się w klasyfikacji ciał obcych. Nudy? Niestety, nie ma wyjścia. Zwykle dzielimy je na cieniujące i niecieniujące. Cieniem w radiologii nazywa się biały obraz na zdjęciu rentgenowskim. Tak, wiem, że cienie zwykle nie są białe, ale radiologia rządzi się własnymi prawami. Tak więc cieniującymi ciałami obcymi nazywamy te

Zwierzęta są na bakier z higieną żywności. To, co potrafią zjeść, przyprawia wielu z nas o mdłości.

obiekty, które pochłaniają promieniowanie rentgenowskie. Znaczy to, że będą widoczne na zdjęciu. Do tej grupy wrzucimy kamienie, przedmioty metalowe, kości, czasem gruby plastik. Znacznie poważniejszą grupę stanowią te, których nie widać na zdjęciu rentgenowskim. Sznurki, folie, guma, elementy drewniane, szkło, większość przedmiotów wykonanych z plastiku. Lista długa i nie ma końca. Te noszą nazwę właśnie niecieniujących ciał obcych = promienie RTG przez nie przechodzą (całkowicie lub prawie). To właśnie one są kłopotliwe do wykrycia.

Mój pierwszy w karierze przypadek ciała obcego można zatytułować „połykacz mieczy”. Było popołudnie, jakoś tak blisko przed Wielkanocą. Wpada do gabinetu pani z psem rasy beagle. Jaki jest beagle, każdy widzi. Żartok nieziemski, żyje, żeby jeść. W oczach pani zobaczyłem niemałe przerażenie, mimo że pies wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

– Ten głupek zjadł roladę! – Prawie płacze przy stole.

Generalnie trochę się zdziwiłem, bo roлада nie jest śmiertelnie groźna, chyba że...

– Ze sznurkiem? – pytam.

– Nie – odpowiada właścicielka.

– Ze szpilką do mięsa...

Jeśli ktoś nie wie, jak takie coś wygląda, to wyjaśniam. Szpilka do rolad jest kawałkiem drutu z zaostrozonym jednym końcem i z pętelką na drugim. Szpikulec ma ok. 8 cm długości. Połknięty jest w stanie wbić się gdziekolwiek. Może zdziwić to, że pies średniej wielkości połknął coś tak twardego i sztywnego. I właściwie po co miałby to robić? Wyjaśnienie jest proste. Właścicielka była w trakcie przygotowywania specjałów na wielkanocny stół, musiała jednak na

chwilę zostawić kuchnię bez opieki. Gdy wróciła, zastała czworonoga dobierającego się do rolad na stole. Niewiele myśląc, zawołała: „Zostaw to!”. Więc pies zrobił to, co zrobiłby każdy na jego miejscu. Połknął całą roladę razem z oprządkowaniem. Robiąc psu zdjęcie rentgenowskie, modliłem się, żeby przedmiot był już w żołądku. Bo taki szpikulec może przekuć przełyk.

(...) Szpilka przebyła całą drogę od jamy ustnej, poprzez gardło oraz przełyk i bezpiecznie wpadła do żołądka. Pies wyładował od razu na stole. Na zewnątrz wydobyliśmy całą, nawet nie nadgryzioną roladę. Prawdopodobnie właśnie fakt połknięcia całego specjału, ze szpilką tkwiącą bezpiecznie w środku, ochronił psa przed poważniejszym urazem.

Zawsze się cieszę, gdy właściciel szybko reaguje na incydenty zjedzenia czegoś niejadalnego. Poprawia to rokowanie i daje nam szansę na to, że przedmiot wyładowuje właśnie w żołądku, skąd łatwo go wyciągnąć. Pies „połykacz mieczy” nie był jedynym

degustatorem, który trafił w moje ręce. Wśród swoich pacjentów mam labradora, który jest bardzo sympatycznym facetem. Jak każdy sympatyczny facet lubi dobrze zjeść (...)

Właściciele Brunona spodziewali się gości. Pani zrobiła muffiny. Ale nie były jakie! Takie wytrawne, zaprawione szynką parmeńską i serem. Czujecie to? Nam działa wyobraźnia, a Bruno musiał zmierzyć się z muffinami w rzeczywistości. Chcę wierzyć, że walczył dzielnie, zanim pożarł siedem z nich. Razem z silikonowymi foremkami. Te, ułożone wewnątrz żołądka w zgrabny stosik, wyciągnęliśmy następnego dnia. Foremki trafiły na swoje miejsce w kuchennej szufladzie. Właściciele obiecali nam babeczki.

O ile labrador Bruno miał swoją chwilę przyjemności, a foremki zjadł przy okazji, pewien chihuahua nie zyskał nic na swoim łakomstwie. Jego pani tłukła kotlety dłonią odzianą w rękawiczkę. Gdy już wyżyła się na mięsie, chciała wyrzucić ją do kosza. Niestety pies przechwycił ją w locie, a że na skutek prac kuchennych została uperfumowana zapachem wieprzowiny, wciągnął ją niczym nitkę makaronu spaghetti. Nie minęło 30 minut, a już był na stole operacyjnym. Nie opłaciła mu się ta kradzież.

Takich przypadków „kulinarnych podróży” znam wiele i nie sposób ich wszystkich tu opisać. Dość często zjadane są metalowe spinki do wędlin. Zwłaszcza przez koty. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale mieliśmy w przychodni kilka takich przypadków. Tacki po jedzeniu na wynos, plastikowe widelce, wszystko, co jedzenie uczyniło atrakcyjnym, może stanowić potencjalne zagrożenie dla naszych czworonogich podopiecznych.

Najpowszechniejszymi ciałami obcymi, z jakimi musimy się borykać, są kości i kamienie. Kości to zhora nas i naszych pacjentów. Tak się przyjęło, że są one psom niezbędne do życia, do szczęścia, kontaktu z dzikimi



przodkami i nie wiem, do czego jeszcze. Mają całą rzeszę zwolenników i nie zamierzam nikogo nawracać, jednak moje doświadczenia z nimi są złe. I bez znaczenia, czy były one surowe, czy gotowane, wyciągałem z psich jelit wszystko. Kiedyś, pamiętam, musieliśmy operacyjnie usuwać z jelit kał, który z powodu dużej ilości zmielonych kości dodawanych do posiłku zamienił kupę w coś o twardości rzeczno kamienia. Jeśli ktoś już koniecznie musi dawać kości, to wydaje się, że najbezpieczniejsze są duże, surowe kości wołowe (np. udowe).

do niedrożności przewodu pokarmowego. Cóż to takiego? Otóż jest to stan, w którym uniemożliwiony jest pasaż treści jelitowej, czyli przesuwanie się treści w przewodzie pokarmowym. Dochodzi do niego dzięki mięśniom, które znajdują się w ścianie przewodu pokarmowego. Niedrożność przewodu pokarmowego może być czynnościowa, gdy jelita się nie kurczą i nie przesuwają treści jelitowej w stronę odbytu, lub mechaniczna, gdy coś zatyka światło jelita. Na przykład duży kamień albo pestka, albo nakrętka z plastikowej

się, a moim oczom ukazała się starsza pani i chłopak niosący w ramionach psa, który już na pierwszy rzut oka miał się zdecydowanie źle. Na pierwsze pociągnięcie nosa również niezbyt dobrze, bo smród, jaki od niego bił, wyciskał tży z oczu. Nastoletni kundelek był bardzo odwodniony, ledwo przytomny, z dusznością i biegunką. Biegunka bardzo widowiskowa, koloru trawy po deszczu i konsystencji agrestowej galaretki. Jak widzicie, kupa bywa malownicza. (...). W trakcie badania moją uwagę przykuwał olbrzymi brzuch. Początkowo, biorąc pod uwagę stan serca zwierzęcia, założyłem, że to płyn gromadzący się w jamie otrzewnej. Poprawcie mnie jednak, jeśli się mylę, ale z tego, co wiem, płyn nie bywa grudkowaty i nie grzechocze, jak się go dotyka.

Rentgen oświecił mnie w kwestii natury grzechotu. Całą jamę brzuszną wypełniały drobne kamyczki. Nie jelita, a właśnie jamę brzuszną. Udało mi się kilka z nich wydobyć z odbytu, a właściciele zidentyfikowali je jako żwir z ich podjazdu. Ostre fragmenty kamyczków przecięły jelito i wysypały się do jamy otrzewnej, doszło do zapalenia otrzewnej i silnej intoksykacji. Właściciele zdecydowali się na eutanazję zwierzęcia, jednak zanim

Wpada do gabinetu pani z psem rasy beagle. – Ten głupek zjadł roladę! – Ze sznurkiem? – pytam. – Nie. Ze szpilką do mięsa...

O ile jedzenie kości przez zwierzę to zwykle kwestia, o której decyduje właściciel (chyba że pies sam sobie organizuje wałkówkę na spacerach), o tyle kamienie raczej nie stanowią czegoś, co włożylibyśmy do psiej miski. Jednak niektóre czworonogi je zjadają, choć nie mam pojęcia, co w nich jest takiego apetycznego. Przodują w tym szczenięta, które – tak jak dzieci – badają świat za pomocą smaku. Niektóre skalne fragmenty wyjdą po prostu razem z kupą, jednak te większe mogą doprowadzić

butelki. Właściwie może być to cokolwiek, co będzie niestrawialne i na tyle duże, że nie przejdzie się z punktu A, czyli z ust, do punktu B, czyli do odbytu. Może to być także zbitek małych cośiów. (...)

Na dworze było zimno i ciemno. Padał deszcz. Pogoda, gdy człowiek ma ochotę zakopać się pod kocem z książką i kubkiem herbaty w zasięgu ręki. W takie dni odwiedzają mnie tylko tacy ludzie, którzy naprawdę muszą. O godzinie bliskiej fajrantu drzwi do ambulatorium otworzyły

zdążyliśmy zrobić cokolwiek, pies odszedł. Zważywszy na ilość żwiru, którą w sobie nosił, wydaje mi się, że musiał go jeść od dłuższego czasu. Szkoda, że nie udało się przydybać psa wcześniej. Może inaczej potoczyłby się jego los.

Jak zapewne zdążyliście zauważyć, wiele ciał obcych daje się zidentyfikować. Czy istnieją jednak takie, których odkrycie nastęrcza trudności? Całe mnóstwo. Największe kłopoty w diagnostyce sprawiają sznurki, nitki, wstążki. Wszystko, co długie i cienkie. (...)

Najpowszechniejszymi ciałami obcymi są kości i kamienie.

Dla zbudowania dramatyzmu założmy, że był ciemny grudniowy wieczór, a za oknem dął wichur pędzący tumany śniegu. (...) Zegar nieubłaganie zbliżał się do 20.00, kiedy to zamykamy przychodnię i udajemy się do domów. Nadzieja jednak okazała się płonna. O 19.45 drzwi do ambulatorium otworzyły się, a do środka weszła pani z psem. Spytałem tradycyjnie, co ich sprowadza. Dama zaczęła od dramatycznego westchnięcia. A wiedziecie, że to zawsze źle wróży... Półroczny kundelek nie jadł już dziesiąty dzień. A ja nie mogłem nawet nakrzyczeć z tego powodu na właścicielkę, ponieważ ona odwiedziła już wcześniej lekarza. A raczej lekarzy. Zaczęło się od wymiotów. Cokolwiek pies zjadł, prawie natychmiast było zwracane. Stopniowo, z dnia na dzień przyjmował coraz mniej pokarmu aż do całkowitego zaprzestania jedzenia. Torsje jednak nie ustąpiły, a pies przestał oddawać kał, co właściciele zrzucili na fakt niejedzenia. Brzuch stał się bolesny. W momencie, gdy ja go dotykałem, był twardy jak deska, a próba zbadania wywoływała silną reakcję obronną. Nie uwierzcie, jak dotkliwie potrafi gryźć pies, który waży mniej niż 2 kg.

Pani właścicielka pokazała mi plik dokumentów. Pies miał robione badanie krwi, USG, RTG z kontrastem, a nawet test na choroby odkleszczowe. Wszystkie wyniki w normie, a leczenie objawowe nie przyniosło żadnego rezultatu. Niestety, psu trafili się właściciele turyści. Byłem piątym lekarzem, który go badał w czasie trwania tej choroby. Za każdym razem

opiekunowie oczekiwali, że problem zniknie po jednej wizycie, więc na każdą kolejną wybierali inny gabinet.

(...) Gdy właścicielka skończyła opowiadać o tym, co było robione dotychczas, spytałem: „Czego pani ode mnie oczekuje?”. Wyjaśniłem, że zwierzę choruje bardzo długo i ja nie mam już wielu możliwości. Ta odparła, że chce mieć zdrowego psa. Wyrzuciłem wątpliwość, czy zdążyć cokolwiek zrobić, zanim pies wylądował u kogoś innego. Pani zapewniła (nie do końca uwierzyłem), że przestanie tak postępować. Jak wspomniałem,

nie miałem już wielu możliwości, jednak pozostała jeszcze jedna potencjalna przyczyna stanu psa. Zadałem jedno pytanie: „Czy pies mógł zjeść jakiś przedmiot?”. Tu właścicielka się rozpromieniła i wykrzyknęła: „Tak! Dziś mu sznurek z tyłka wystawał! Ale go odciąłem”.

Pies wylądował natychmiast na stole operacyjnym. W przewodzie pokarmowym znajdowało się około półtora metra nitki. Jej splątany kłęb zablokował się w odźwierniku żołądka, który jest końcowym fragmentem żołądka łączącym go z dwunastnicą. Reszta przeszła przez jelita cienkie

Kości to zmora nas i naszych pacjentów.

i grube. W końcu po 10 dniach wylądowała na zewnątrz, szkoda tylko, że nie w całości. Podczas operacji zastaliśmy zatrzymanie perystaltyki jelit, przecięcie jelit w dwóch miejscach i początek zapalenia otrzewnej. Na szczęście udało się wyciągnąć nitkę. Okazało się, że pochodzi właśnie z rolady. Pies nazajutrz żądał jedzenia. A według wszystkich badań był zdrowy.

Dlaczego nitki są takie wredne? Poza tym, że ciężko je znaleźć? Groźne jest to, co robią z jelitami. Jelita cały czas pracują. Kurcząc się regularnie, przesuwały treść pokarmową do stacji końcowej, odbytu. Niełatwo jest efektywnie przesuwać sznurek przez coś długiego i cienkiego. A gdy jest on zaklinowany w żołądku albo – jak to się często zdarza – zawinięty wokół języka lub zębów, staje się to wręcz niemożliwe. Jelita z zachowaną

perystaltyką stopniowo nanizują się na linearne ciało obce, czyli takie, które jest długie i cienkie, i zaczynają przypominać podwinięty na ramieniu rękaw. Są pofałdowane, poskręcane. Wskutek tego, jeśli nie nastąpi szybka interwencja, może dojść do przecięcia ścian jelita, czego rezultatem będzie wylanie się jego treści do jamy otrzewnowej i bolesna śmierć.

Podobnych problemów dostarczą wszystkie długie ciała obce. Wstążki, plastikowe taśmy, skarpety, rajstopy (i wiele innych pochłanianych przez zwierzęta przedmiotów) mogą wyrządzać szkody podobne do tych, które zafundowała nitka z rolady.

Czasem ciało obce jest znajdowane przypadkiem. Pamiętam labradora, który został wysłany do naszej przychodni z podejrzeniem choroby nowotworowej. Pies chudł mimo przyjmowania pokarmu. Wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. Poza tym obraz morfologii krwi sugerował, że należy brać pod uwagę nowotwór. Koledzy z zaprzyjaźnionego zakładu leczniczego prosili o zdjęcie klatki piersiowej, na którym nic nie znaleźliśmy, ale... na zdjęcie załapał się kawałek żołądka, w którym COŚ było. COŚ było okrągłe, o dość grubych ścianach. Natura nie wymyśla takich rzeczy. Po konsultacji z lekarzem kierującym otworzyliśmy psiaka.

W żołądku leżała piłka tenisowa. Jak ją połknął, nie mam pojęcia. Przecież po drodze mogła utknąć w tyłu miejscach! Pamiętam sekcję zwłok przeprowadzaną na studiach, której głównym bohaterem był bokser z taką samą piłką uwięzioną w gardle. Poza gardłem mogła utknąć jeszcze gdziekolwiek w przełyku. Na szczęście dla naszego pacjenta piłka trafiła do żołądka. Najstarsi filozofowie nie wiedzą, jak długo tam tkwiła. (...)



Fragmenty książki
Łukasza Łebka
Co gryzie weterynarza,
Wydawnictwo
Poznańskie, Poznań 2021

Ministra Jabłońskiego punkty za pochodzenie

Punkty za pochodzenie przyznawano w bardzo głębokiej PRL dzieciom rolników i robotników przy egzaminie wstępnym na studia. Miało to wyrównywać szanse między tymi młodymi ludźmi a kandydatami pochodzącymi z rodzin „inteligencji pracującej”. Tyle że dotyczyło to wyłącznie egzaminów wstępnych, a nie późniejszej pracy zawodowej. No i wtedy chodziło o pochodzenie robotnicze i chłopskie, a dziś – o pochodzenie pisowskie.

Nowa ustawa o służbie zagranicznej przyznaje preferencje nie tylko przy ścieżce naboru do MSZ RP, ale również przewiduje prostszą ścieżkę awansu dla pewnej kategorii pracowników. W zhakowanej i ujawnionej na komunikatorze „Telegram” poczcie ministra Dworczyka znalazł się też mejl wiceministra Pawła Jabłońskiego do premiera Morawieckiego. Mejl jest z lipca 2020 r. i w nim Paweł Jabłoński zwracając się do premiera po imieniu, wyraża swoje niezadowolone z obecnych kadr w MSZ, które „mają być skażone” m.in. wykształceniem uniwersyteckim („ideowo na tych uniwersytetach ukształtowani i raczej nam w większości niechętni”, pisze) oraz nauką, praktykami i stażami w Akademii Dyplomatycznej. Proponuje więc, by istniała również ścieżka alternatywna: „zatrudnianie dobrych, **zaufanych ludzi** (podkr. red.) z wolnego rynku, mających już pewne doświadczenie, oczywiście spełniających merytoryczne kryteria (zwłaszcza język) – ale bez konieczności przechodzenia na początku długotrwałych szkoleń i naborów. Te szkolenia oni mogą spokojnie odbyć w ciągu pierwszych dwóch-trzech lat pracy”.

W nowej ustawie taki zapis się znalazł. Przewiduje on możliwość zdawania egzaminu dyplomatyczno-konsularnego po trzech latach pracy np. na placówce.

Jak należy to czytać? Otóż krewny ministra, córka posła czy jakiś pisowski funkcjonariusz zostaje zatrudniony na placówce jako II sekretarz. Po dwóch latach przenosi się go – awansując – na inną placówkę, by nikt nie mógł mu zarzucić braku doświadczenia. Zdaje egzamin i dostaje awans na radcę.

A jak wygląda ścieżka kariery normalnego pracownika, takiego bez punktów za pochodzenie? Po studiach, egzaminie na Akademię Dyplomatyczną (wymagana dobra znajomość minimum dwóch języków obcych), procesie kształcenia w niej, stażach, wyjeździe na placówkę jako *attaché* (najniższy stopień dyplomatyczny). Jeśli w trakcie pobytu (trzy-cztery lata) będzie miał/ miała szczęście, po powrocie będzie III sekretarzem. Poziom pracownika z punktami za pochodzenie osiągnie za około 10 lat...

Dwa lata temu ówczesny dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz (gratulujemy nowego stanowiska), chwalił się, że podczas egzaminów wstępnych w latach poprzednich bardzo dokładnie sprawdzał preferencje polityczne kandydatów. Choć podobno w tym dziele „pisyzacji” Papierzowi nie do końca się powiodło... Podobnie jak w innym punkcie ustawy, w którym chciał przerzucić zadanie kierowania ambasadą z ambasadora na jego zastępców.

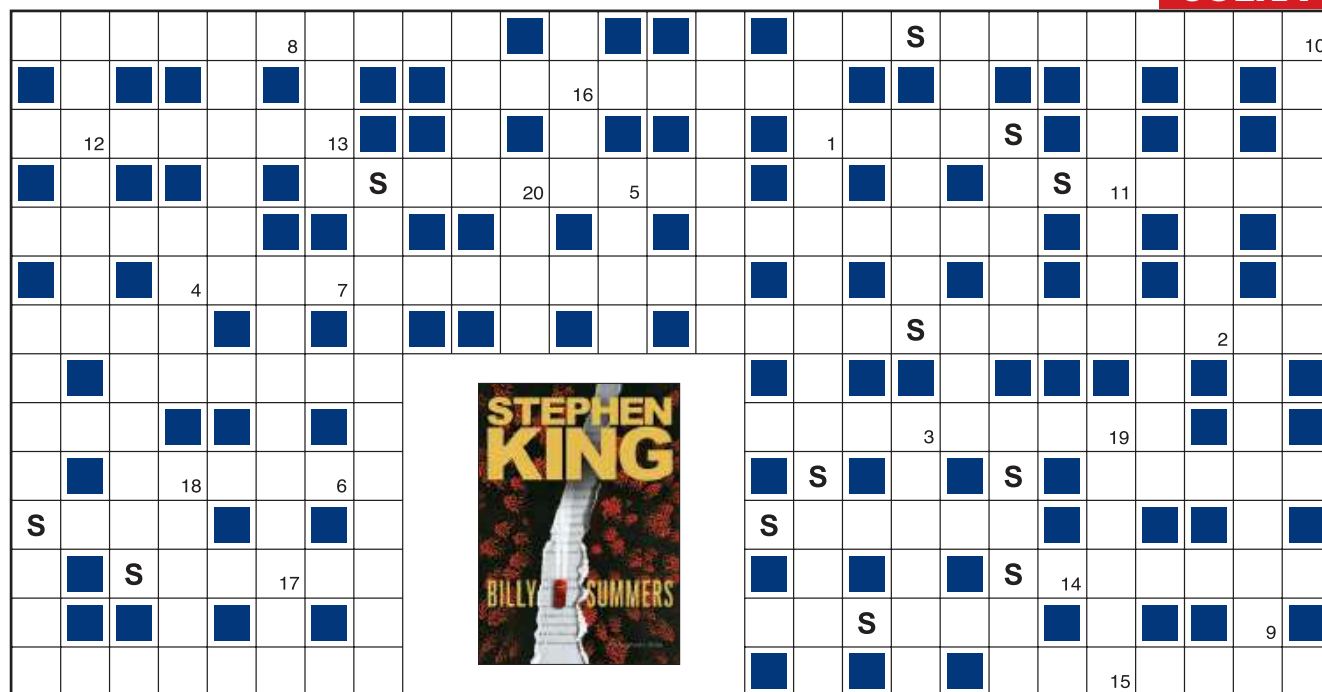
To się nie udało również ze względu na opór szefów placówek. Po pierwsze, ambasad, w których mamy dyplomatów w randze zastępcy ambasadora Polska ma około dziesięć. W kilkudziesięciu innych zastępcy nie ma. Zwykle funkcje te pełnią kierownicy wydziału polityczno-ekonomicznego, ale tych ustawa nie dotyczy! Po drugie, w przepisach wykonawczych do ustawy przekazano ambasadorom, że to do nich należy ustalenie zakresu obowiązków zastępców.

Reszty każdy się domyśla...

Attaché

Prezydent Rosji Władimir Putin podczas spotkania na Kremlu z kanclerz Niemiec Angelą Merkel. 20 sierpnia.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- dawny sposób walki na morzu
- minerał o barwnych pasmach
- imię drugiej żony Henryka VIII Tudora
- ...Schönberg, właściwy twórca dodekafonii
- brak równowagi elementów, proporcji
- podanie otwierające drogę do bramki

- nazwany z greki niepodzielnym
- druczek zostawiany przez listonosza
- miasto z filmu „Złodziej w hotelu”
- rodzaj rozmowy między internautami
- wybuch i towarzyszący mu huk

- osłabienie wartości waluty wobec złota lub innych walut
- państwo z Wyspami Zółtymi
- krewny ze strony matki
- elektryczna lub żwawość
- i odcinki trasy, i stadia, fazy
- w Tatrach taki wiatr to halny
- domek z bloków śniegowych
- na klawiaturze i włożony do gazety
- dzidzius lub stworzonko
- ślepe – to kątnica
- ozdoba ucha i sprężynujący spinacz
- duży orzech z mleczkiem

- z niego materiał na spodenki Krecika
- z toporem w pęku róż poprzedzał rzymskich dygnitarzy
- jednostka o skrócie MW
- kontrola, pilnowanie kogoś, czegoś
- uchybienie, *faux pas*
- kolejka lub krótka łodyżka
- niemiecka w latach 1939-1945
- mgła lub wyziew
- *entourage*, środowisko
- karmiący własną krwią pisklęta symbolem ofiary Jezusa
- ogół zagadnień z jakiegóż dziedziny
- powracający do zdrowia po chorobie
- część broni, narzędzia służąca do trzymania
- konstrukcja z rur przy remontowanym budynku

- to miasto w „Słodkim życiu”
- Hiszpańskie lub Potiomkinowskie
- na nim w żłobku Dzieciątko
- nim, czyli byle czym, można się wykręcić
- rzędowy lub krzyżowy na polu
- NSZZ...
- łączący mniej trwale niż zszywka
- do przenoszenia na stół potraw
- starszy kolega Teodora (na niego pora)
- przetwarza prąd na prąd o innych parametrach
- trochę misiowate, większe od pszczoł
- Hanoi jego stolicą
- z krzewami tempranillo, pinot noir
- „My, dzieci z dworca...”

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1028”. Do rozlosowania książki „Billy Summers” ufundowane przez Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 września 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1025” z nr. 33: Skromność pochwał nie lubi.
Nagrody otrzymują: Andrzej Bas z Krakowa, Jerzy T. Kruk z Wrocławia, Elżbieta Lewandowska z Warszawy.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

DOROTA ZMARZŁAK,
WÓJT GMINY IZABELIN

Im bardziej poznaję, jak funkcjonuje nasz kraj, tym bardziej mam poczucie, że nie wolno stać z boku – nawet jako wójt małej wiejskiej gminy. A nasz parlament tworzy fatalne prawo. W niektórych aspektach po prostu szkodliwe. To, że w Polsce nie ma rozszerzonej odpowiedzialności producenta za odpad, który on wprowadza, a cała odpowiedzialność jest przerzucona na konsumenta, jest absolutnym skandalem i ewenementem na skalę europejską. Żeby obrazić wójta, mówi mi się, że jest/chce być politykiem. Ale niezależnie od tego, co myślimy na temat polityki, ona się nami zajmuje.

charaktery
magazyn psychologiczny

DR HAB.
WIESŁAW SIKORSKI,
WYŻSZA SZKOŁA BANKOWA W POZNANIU

Teksańczycy generalnie uśmiechają się chętniej niż pozostali Amerykanie. Jeśli ktoś się w tym stanie nie uśmiecha, może zostać spytany, czy jest o coś zły, podczas gdy mieszkaniec Nowego Jorku, widząc uśmiechającą się osobę, może spytać, co ją tak rozwesela. Prezydent Jimmy Carter także pochodził z Południa i miał zawsze przyklejony do twarzy uśmiech. Często niepokoiło to obywateli z Północy, którzy obawiali się, że wie coś, o czym oni nie mają pojęcia. Innymi słowy, osoba, która bez przerwy się uśmiecha, sprawia, że inni zastanawiają się, co ona kombinuje.

POLSKA

WŁODZIMIERZ NAHORNY,
MUZYK JAZZOWY

Oprócz tego, że Trzaskowski uczył nas grać, to i uczył, jak się zachować w hotelu i w różnych innych miejscach. Andrzej nas przestrzegał, że jeśli dosiada się do nas Amerykanin, to kończą się rozmowy po polsku. Mówiliśmy: „Andrzeju, ale my nie znamy angielskiego, to co mamy zrobić?”. Odpowiedział: „Wstyďte się i uczcie się”. Choć byliśmy z nim zaprzyjaźnieni, to bardzośmy się go bali. Pod każdym względem byliśmy kolegami, potem wręcz przyjaciółmi. Wypiłem z nim tyle whisky! Ale respekt pozostał. Andrzej coś powiedział, to było święte.

PANI

JOLANTA FRASZYŃSKA,
AKTORKA

Jarocki był dla mnie absolutnym mistrzem. Chociaż był szalenie apodyktyczny, matematycznie precyzyjny, bezkompromisowy i bywał złośliwy. Niektórzy aktorzy powtarzali jedną frazę 3-4 godziny, stojąc na scenie, mnie na szczęście omijała jego surowość, wiedziałam, że jeśli zrealizuję to, o co prosi, zostanę pochwalona. Czułam, że mnie lubi i akceptuje moje aktorstwo. U Krystiana Lupy było inaczej. Nie rozumiałam, dlaczego Krystian manipuluje naszymi emocjami, obraża się, wychodzi, nie chce z nami rozmawiać. Był integralną częścią spektaklu, a nagle wychodził w trakcie, obrażony i znikał. Bardzo to przeżywałam.

Aby język giętki...

KAROLINA GRUSZKA
O ŚWIECIE CELEBRYTÓW

Dzieci i młodzież bezkrytycznie traktują media społecznościowe jako prawdę, a to bardzo często jest tylko kreacja, nasiąknięta cynizmem, złymi emocjami. Toksyczna.

STANISŁAW TYM O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Sędziowie, którzy nie zasięgną opinii ministra przed wydaniem wyroku, wydadzą wyrok na siebie.

JACEK ŻAKOWSKI
O MARKU MAGIEROWSKIM

Wydalenie z luksusowej ambasadorskiej posady nie powinno być jedyną karą, jaka go spotka.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
O STUDENTACH

Aż 30-40% studentów nie powinno znaleźć się na uczelniach.

JANUSZ MAJEWSKI O KONSEKWENCJI
WIKTORA ZBOROWSKIEGO

Imponuje mi jego konsekwencja w stosunku do niektórych potraw. Mówi: „Tego nie lubię”. A próbowałeś? „Nigdy, bo nie lubię”.

NATALIA PRZYBYSZ
O STOSUNKU DO NATURY

Bardziej boimy się pogłaskać konia, który służy ludziom od tysiącleci, niż wsiąść do samolotu.

CEZARY ŻAK O ŻONIE KATARZYNIE

Uczę się od niej czułości. Ja pragmatyk, ona marzycielka. Ja domator, ona motyl, który chętnie wyfrunąłby w świat.

MACIEJ MALEŃCZUK O KOBIECIACH

Wszystkie kobiety, jakie bliżej poznałem, są gwoździem do trumny mojego feminizmu.

IZABELA KUNA O JEDZENIU

Nie rozumiem zasady „często i mało”. Wolę rzadko i dużo.

MATEUSZ DAMIĘCKI
CIESZY SIĘ JAK DZIECKO

Gdy raz na 10 lat trafi na reżysera, który powie: a teraz zagraż kogoś, kim nigdy jeszcze nie byłeś.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O CISZY

Czasem trzeba poleżeć na dywanie w domu i odpuścić. W ciszy coś się rodzi. Rozmowy rodzą się w ciszy.



Uczniowie szkoły podstawowej w Osace. 25 sierpnia.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Na zdrowie – nocne Hiszpanów rozmowy

Hiszpańska miejscowość Algar chce, by sąsiedzkie pogawędki prowadzone na jej ulicach po zmroku zostały wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości. Burmistrz José Carlos Sánchez tłumaczy, że wciągnięcie tego wielowiekowego zwyczaju do rejestru UNESCO pomoże chronić go przed presją mediów społecznościowych i telewizji. Samorządowiec podkreśla, że przynosi on korzyści dla zdrowia psychicznego mieszkańców. – Wychodzą na ulicę i zamiast czuć, że są sami, uczestniczą w sesji terapeutycznej – zachwala. Ten to ma gadane!

Mistrz ciupagi ucieka

W Lublinie 51-latek na wózku inwalidzkim dokonał brawurowego skoku na jeden z marketów. Mężczyzna pojawił się w sklepie tuż przed zamknięciem, wziął z półki butelkę whisky, a następnie próbował wyjechać za linię kas bez płacenia. Gdy ochroniarze rzucili się, by go zatrzymać, koneser destylatów obezwładnił ich gazem pieprzowym i czmychnął. Policja ujęła krępkiego inwalidę w jego mieszkaniu; trafił do aresztu i usłyszy zarzut kradzieży rozbójniczej. Obstawiamy, że zatrzymany nadużywa nie tylko trunków, ale także serialu „Janosik”.

Skończył się szpan, zaczęły się schody

Natomiast w Chorzowie mundurowi interweniowali w sprawie terenowego bmw, które... utknęło na schodach. Kierowca, na trzeźwo zresztą, chciał przetestować swoją efektowną furę i przy okazji wytrzymałość wspomnianego elementu architektonicznego, znajdującego się



przy ul. ks. Gałęzki. Nikomu nic się nie stało, jedynie auto uległo uszkodzeniu. Teraz będzie musiało jeździć windą.

Z czerwonych dywanów do garów

We wrześniu na antenie telewizji PULS 2 zadebiutuje nowe *reality show*. Dziewczyny, których pracą jest lansowanie się na Instagramie, skonfrontują się w nim z zupełnie innymi obowiązkami. „Tu nie będzie egzotycznych wyjazdów, szalonych imprez, drogich samochodów, markowych ciuchów i pięknych zdjęć. Zobaczymy za to bohaterki w obliczu wyjątkowo trudnych dla nich zadań do wykonania”, zapowiadają twórcy programu. Internetowe celebrytki, które będzie oceniać jury niezwiązane z mediami społecznościowymi, będą m.in. patroszyć ryby i pracować jako opiekunki. Bo influencerka pracująca żadnej pracy się nie boi!

Do sprzedaży po trupach

Sklep z zegarkami OdCzasu DoCzasu zareklamował się na Facebooku z wykorzystaniem fotografii z Afganistanu, opublikowanej przez Onet. Zacytujmy promocyjny post w oryginale: „My oczywiście zwracamy uwagę na ewentualnie pokazywane na zdjęciach zegarki. Jakiej marki mamy zegarek na tym zdjęciu? To oczywiście CASIO G-SHOCK – jedna z marek, którą oferujemy w naszym

MEMY BEZ ŚCIEMY





24 sierpnia zmarł Charlie Watts, perkusista legendarnej grupy rockowej The Rolling Stones. W zespole spędził 57 lat, tyle samo, ile u boku swojej żony, z którą łączyła go m.in. pasja – hodowla koni krwi arabskiej. Wiele razy odwiedzali wspólnie polskie hodowle.

salonie. Jak potwierdzają zdjęcia, te zegarki sprawdzają się w trudnych warunkach. Polecamy zegarki z naszej witryny". A my polecamy po-myśleć. Choć od czasu do czasu.

Rasista? Byle wypłacalny!

Szwedzki dziennik „Dagens Nyheter” ujawnił, że tamtejsze placówki służby zdrowia, w tym również publiczne, przychylają się do prób pacjentów o przydzielaniu im lekarzy i dentystów, którzy są etnicznie czystymi Szwedami. Dziennikarze skontaktowali się ze 120 przychodniami i klinikami i aż 51 z nich pozytywnie

odpowiedziało na takie oczekiwanie, a w jednym przypadku wręcz pochwalono się zatrudnianiem dwóch blondynów. 40 placówek co prawda odmówiło, ale bardzo niewiele wyraziło oburzenie. Ktoś wie, jak jest po szwedzku „pieniądze nie śmierdzą”?

To się nazywa bum

Aby nie musieć opłacać całego łańcucha pośredników, w Chinach farmerzy jeden po drugim rozpoczynają sprzedaż za pośrednictwem tamtejszego odpowiednika TikToka. Niektórzy osiągają na tym, *nomen omen*, polu duże sukcesy. Przykładem może być użytkownik Brother Pomegranate, który dzięki licznemu gronu fanów w ubiegłym roku zarobił równowartość 46 mln dol. Siłę jego marki pokazuje to, że podczas jednej z transmisji granaty o wartości 6 mln dol. udało mu się sprzedać w ciągu zaledwie 20 minut. Dla nas bomba!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. komunikacji i PR

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Maria II



Banksy II



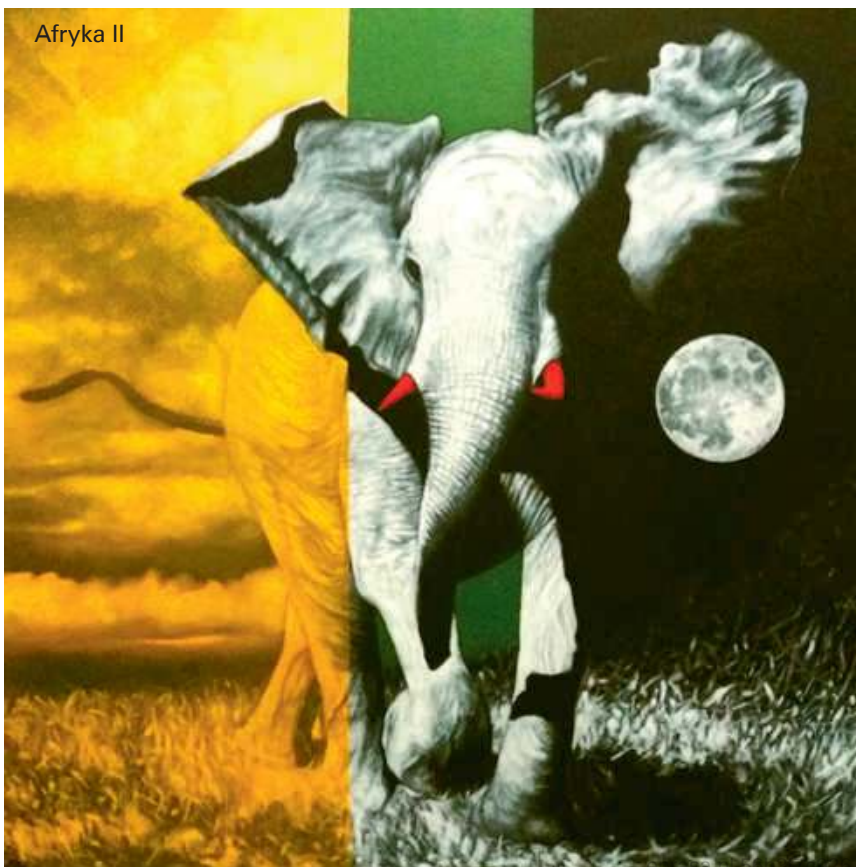
LUKSFERYZM ART

Marian Lorek, urodzony wrocławianin, malarstwem olejnym zajmuje się od 20. roku życia, wcześniej – rysunkiem. Prezentowane na wystawie prace w dużej mierze są surrealistyczne z odrobiną hiperrealizmu i pop artu. Charakteryzują się dużą głębią tła i wyrazistością barw. Szczególnie te obrazy, które podczas twórczych poszukiwań malowane były na aksamicie, stąd wziął się „surrealizm aksamitny”. Od jakiegoś czasu artysta maluje również akrylami, a także łączy na obrazie akryl z olejem.

Stosuje różne techniki zaskakujące końcowym efektem, używając przy tym dużo laserunku, co powoduje, że kolory się przenikają, tworząc wielowarstwową głębię obrazu. Poprzez to obraz staje się bardzo luksusowy.

**Galeria Witryna, Wrocław, ul. Rуска 34
do 30 września**

Afryka II



Paląca



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MARIA DE BUENOS AIRES

PASJA NAMIĘTNOŚĆ MIŁOŚĆ TANGO OPERITA

BASEN ARTYSTYCZNY WOK
UL. KONOPNICKIEJ 6

29,30/09/2021 GODZ. 19:00
1,6,7,8,9/10/2021 GODZ. 19:00
10/10/2021 GODZ. 18:00

60
Warszawska
Opera
Kameralna

NOWY SEZON

- LESZEK MOŹDŻER & ORKIESTRA MACV ■ CROSSOVER Z TRE VOCI
- R. HARWOOD - KWARTET ■ UWERTURY/ MOZART DA CAPO AL FINE
- TANGO Z PLÁCIDO DOMINGO JR.
- G. DONIZETTI - TŁUSTY CZWARTEK / NOCNY DZWONECZEK - **PREMIERA**
- J.P. RAMEAU - CASTOR ET POLLUX - **PREMIERA**
- W.A. MOZART - DON GIOVANNI

SCENARIUSZ I REŻYSERIA: WOJCIECH KOŚCIELNIAK

PRZYBYSZ



SPEKTAKŁ MUZYCZNY
INSPIROWANY ALBUMEM
„THE ARRIVAL” SHAUNA TANA

THE ARRIVAL

TEATR
COLLEGIUM
NOBILIUM

ul. Miodowa 22/24 | 22 635 99 99 | Kasa czynna: pn-pt 11.00-19.00, sb-nd 13.00-17.00
oraz do rozpoczęcia spektaklu | tcn.at.edu.pl | ewejsciolowski.pl | KupBilecik.pl | eBilet.pl



KULTURA
DOSTĘPNA

partneri medialni

naszemiasto.

chili
zet

P
przebieg

partnerzy teatru

eBilet.pl



REALNA
KULTURA